



PRZESZKOWA

MEIR EZOFOWICZ





97149

El. Orzechowa



TANIE
ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI
ELIZY ORZESZKOWEJ.

Tom XXIX.
Meir Ezofowicz.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 41.
1886.

ELIZA ORZESZKOWA.

MEIR EZOFOWICZ.

POWIEŚĆ
w dwóch tomach.

Tom drugi.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 41.
1886.

KOMPITEN



884-3

821162.1-311.2

Дозволено цензурою
Варшава 20 Апрель 1886 года.

Т О М II.



5.8.215.6.45

M

74 n.

I.

Bet-ha-Midrasz był to budynek obszerny, widny i dość okazały, stojący przy synagogalnym dziedzińcu, tuż obok domu modlitwy. Przeznaczenia miał on różne. Tu zgromadzano się na mniej uroczyste modły, toczono długie i zapalczywe rozprawy nad przeróżnemi punktami i wyjaśnieniami Talmudu; tu mieściły się księgozbiory bractw, czyli stowarzyszeń, mających różne cele, a których każda izraelska gmina posiada w łonie swém znaczną ilość; tu także, w wypadkach wyjątkowych wprowadzie i wyjątkowej surowości wymagających, młodzi ludzie, wykraczający przeciw religii lub obyczajom, przesiadywali krótszy lub dłuższy czas pokuty, bardziej zawstydzającej, niż ciężkiej.

Naprzeciw Ha-Midraszu wznosiła się budowa inna, mniejsza nieco, lecz z tą samą starannością wzniesiona i utrzymywana. Był to Bet-ha-Kahoł, czyli izba kahalna, miejsce posiedzeń i obrad admi-

nistracyjnych władz miejscowych. Dalej jeszcze, w skromniejszym już nieco budynku, zawierał się Hek-Dosz, przytułek dla ubogich, do którego wszyscy głodni, zmęczeni, schronienia i spoczynku potrzebujący, kolatać posiadali prawo. Naprzeciw domu młotliwy, w ciasnym, niskim domku mieścił się Heder, czyli szkoła, w której nauczał uczony i czczony Reb Mosze.

Podwórze to, słowem, wraz z otoczeniem swém, przedstawiało istotną stolicę małego udzielnego państewka. Wszystko tu, poczynawszy od czarnej chatki mędrca ascety, przysiadłej u samej prawie świątyni, aż do widniejącej już zdala nieco, obszernej i drzewami ocienionej lecznicy, od wspaniałego domu młotliwy do niziuchnego, szczupłego hederu, odnosiło się do spraw i potrzeb publicznych.

Pierwotne téż pochodzenie i cele każdego z budynków tych posiadały myśl jakąś piękną i wysoką: porządku społecznego, miłosierdzia, nauki, wznoszenia ducha ku Bogu, lub rozmyślenia nad wysokimi rzeczami. W jaki zaś sposób wynaturzyły się niektóre z pierwotnych pojęć tych i dlaczego niektóre z celów tych pierwotnych przybrały sens i charakter wbrew sprzeczny z temi, jakie nadaje im świat cały? Inna to już rzecz — pytać o nią należy historyi.

Ośm dni minęło od wieczora tego, w którym na zielonej łące marzyło, śpiewało i poufnie gwarzyło grono młodych przyjaciół. W dziewiątym dniu, około

zachodu słońca, z wnętrza Ha-Midraszu wyszedł i na wysokim ganku jego stanął Meir. Posłuszny rozkazowi zwierzchnika rodu swego, przepędził on dnie ubiegłe w samotności zupełnej, czytając i rozważając księgi Talmudyczne, które znał biegle, względem których zrodziły się w umyśle jego mnogie wątpliwości, lecz dla których czci, wpojonój mu od dzieciństwa, utracić całkiem nie mógł i nie utracił. Pokuta, na którą skazano go, nie była ciężką, nie przyniosła mu najłżejszych cierpień fizycznych, bo w pożywienie nawet, przynoszone mu dwa razy dziennie z rodzinnego domu, czułe i litościwe ręce kobiet wkładały najlepsze kąski. A jednak zmienionym był bardzo. Poblady i schudł, zarazem przecież wydawał się silniejszym. W postawie i wyrazie twarzy jego nie było już ani śladu téj dziecięcej prawie nieśmiałości, która cechowała go przed kilku jeszcze miesiącami. Rozum jego oburzał się może na niesłuszną wymierzoną nań kary; samotność, w której go pogrążono, ponowne wczytanie się w odwieczne księgi, których pełnemi były szafy, otaczające ściany Ha-Midraszu — wytworzyły może w umyśle jego wiele nowych pojęć, wzbudzając go jeszcze bardziej. To tylko pewna, że gorąca bladeść jego czoła zdradzała mozolną, bo bezpomocną pracę ducha; a w blasku, rozplamieniającym mu źrenice, objawiało się namiętne, przemocą tłumione, rozdrażnienie. Zadana pokuta chybiła celu. Za-

miast uspokoić i ukoić burzliwego młodzieńca, uczyniła go zuchwalszym i skłonniejszym do buntu!

Kiedy zszedł z ganku Ha-Midraszu i zwolna przechodzić zaczął dziedziniec szkolny, widać było, że do uczuć innych łączył się w nim jeszcze i wstyd. Na widok kilku ludzi, wkraczających w bramę dziedzińca, spuścił oczy i zarumienił się. Ludźmi tymi byli urzędnicy kahalni, którzy śpiesznie dążyli ku zwykłemu miejscu obrad swoich. Ujrzawszy Meira, śmiać się zaczęli i wskazywać na niego palcami. Jeden tylko Jankiel Kamionker nie śmiał się i nie spostrzegał nawet Meira. Szedł on prędko bardzo i w pewnym od towarzyszy swych oddaleniu, a wyraz twarzy miał bardziej jeszcze zgryziony i zakłopotany, niż zwykle. Po środku dziedzińca znalazłszy się, zboczył nieco z drogi i, zamiast wejść za towarzyszami swymi do Ha-Kahołu, przesunął się pod ścianą Hek-Doszu, przytułku ubogich. Przesunął się tylko pod tą ścianą, ale wystarczyło mu czasu tego, aby zamienić kilka cichych słów i tajemniczych giestów z człowiekiem jakimś, którego głowa rozczochrana, z twarzą nabrzmiałą, wychylała się przez otwarte okno Hek-Doszu.

Meir znał człowieka, z którym tajemniczym, krótkim szeptem zamienił się Kamionker, i zdziwił go nieco poufały stosunek dwóch tych ludzi.

— No! — pomyślał — co to za znajomość może

być między pobożnym i bogatym Reb Janklem, a takim włóczęgą i złodziejem, jak furman Jochel?

Niedługo jednak myślał o tém. Postępował zwolna i nie w stronę rodzinnego domu swego, do którego snadź śpieszno mu nie było, ale w stronę małej uliczki, która, dotykając szkolnego podwórza, wiodła ku polom. Pragnął snadź wyjść z miasteczka i pójść na ten szeroki, widny rozłóg, który jaśniał ostatnimi blaskami dnia i szemrał z dala lecącemi nad nim świeżemi powiewy. U końca jednak podwórza przystanął. O uszy jego obił się gwar dziwny, złożony z mnóstwa głosów dziecinnych, to zniżających się do szeptu prawie, to podnoszących się do wrzaskliwego i śpiewnego zawodzenia. W głośnym tym i kołyszącym się szmerze dziecinnych głosów ozywały się tu i ówdzie piskliwe jęki i westchnienia zmęczonych jakby i udręczonych piersi, a nad niemi panował głos męzki, gruby, to opowiadający niby coś, lub czytający, to łąjący i rozgniewany.

Po ustach Meira przewinał się uśmiech szczególny. W uśmiechu tym były: ból, gniew i litość. Stał on tuż obok hederu, w którym nauczał melamed Reb Mosze, i w którym właśnie kipiał i wrzał ów gwar niezrozumiały, chaotyczny, a posiadający w sobie coś dziwnie smutnego i grubiańskiego zarazem.

Przekorném jakby uczuciem pociągany ku hederowi, Meir wsparł się obu łokciami o niskie otwarte okienko i patrzył przez nie we wnętrze budynku.

Wnętrze to ciasne było, ciemne, cuchnące i natłoczone. Pomiędzy niskim czarnym sufitem, czterema ciasnemi, czarnemi również, ścianami i podłogą, ukrytą całkiem pod grubą warstwą śmieci i brudu, w wilgotném, stęchlém, ciężkiém powietrzu, kołysała się i wrzała choralném, zapalczywém mruczeniem szara masa jakaś, której istoty i składowych części niepodobna było rozróżnić przy pierwszém wejrzeniu. Po chwili zaledwie, przed wzrokiem patrzącego, niby z mgły czy kurzawy, wyłaniać się zaczynały twarze postaci dziecinne. Twarze to były różne: jedne grube, ciemne, chorobliwie nabrzmiałe; inne białe, drobne, delikatne i prześlicznie zarysowane; jedne z ustami wpółidyotycznie rozwartemi i mętным, sennym wzrokiem; inne z oczyma błyszczącemi hamowanym gniewem i z wargami drgającymi od nerwowego zniecierpliwienia; inne jeszcze blade, uważne, pokorne, cierpiące, lecz cierpliwe. Podobnie i ubiory dzieci tych były różne — od dostatnich surducików, znamionujących dzieci bogaczy, do spencerków, pozabawionych rękawów, i szarych łachmaniastych kapot nędzarzy. Było ich kilkadziesiąt w izdebce, mogącej pomieścić wygodnie kilkanaście zaledwie, a wszystkie tłoczyły się, i jedne na drugich niemal siedziały, na ławach zbyt wąskich i wysokich, twardych, brudnych, wszérz izby ustawionych.

Hederów podobnych było w Szybowie niemało, ale żaden z nich tak licznie nawiedzany nie był, jak

ten, któremu przywoził Reb Mosze. Bogacze i nędzarze z równą gorliwością starali się o miejsce w nim dla dzieci swoich, albowiem Reb Mosze był mełamedem nad mełamedami, ulubionym uczniem wielkiego rabбина, a przytém kabalistą biegłym i ascetą, prawdziwym *Chachamem*, doskonałym pobożnym.

Nie należy jednak mniemać, aby Reb Mosze poniżał się aż do nauczania pierwszych stopni wielkiej nauki najdrobniejsze dzieci gminy. Było-by to marnowaniem wysokich jego zdolności, które ku czemuś wyższemu już używanemi być musiały. Wyrostki, przepełniające heder jego, miały od dziesięciu do dwunastu lat wieku, i od siedmiu już lat żywione były świętym chlebem nauki. W hederach innych, niższych, nauczono już ich hebrajskiego czytania i wyłożono im Humesz (pięcioksiąg) z wielu wyjaśnieniami i komentarzami; teraz zaś, pod przewodnictwem Reb Mosza, wstępowały one na trzeci stopień mądrości, którym jest nauka Talmudu wraz z nieprzeliczoną ilością składających go działów, rozdziałów, podziałów, paragrafów, punktów spornych, rozstrzygnięć, wyjaśnień, komentarzy, wyjaśnień wyjaśnień i komentarzy nad komentarzami.

Było to już, jak się zdaje, dość szerokie pole dla rozwijania się rozumu i pamięci wyrostków tych, bladych, obrzękłych, zniecierpliwionych, albo z pokorą cierpiących; ale Reb Mosze, w rzeczach religii i nauczania jój, nie zwykł był przestawać na małym. Na-

pełniając rozum i ćwicząc pamięć swych uczniów, rozbudzać on jeszcze usiłował fantazją ich przez wprowadzanie jój w zaczarowane krainy przypowieści i allegoryi, których pełną jest Hagada, a nawet przez dawanie im do zakosztowania czegoś z wysokiéj i mistycznej metafizyki Kabały. Opowiadania te lub czytania stanowiły rodzaj odpoczynku, którego błogość głęboko uczuwać musiały dusze słuchających ich dzieci; zdarzały się jednak wtedy tylko, gdy mełamed uczuł się w dobrém, radosném usposobieniu ducha.

W chwili, gdy Meir przypatrywać się zaczął przez otwarte okno odbywającéj się we wnętrzu hederu lekcyi, uczniowie uczyli się na pamięć wskazanego im na on dzień ustępu Talmudu, a nauczyciel, siedząc naprzeciw nich na katedrze, złożonéj z drewnianego stołka, wczytywał się ze swój strony w leżącą przed nim na kulawym stole wielką i bardzo starą księgę. Wczytywał się on w księgę tę z zajęciem wielkiém i niemniejszą widocznie lubością; błogi uśmiech pojawiać się zaczynał na wargach jego, zaledwie widzialnych śród ogromnego zarostu, — przyczém kołysał się zwolna w tył i na przód, poruszając tém stół kulawy, który kołysał się także; koysali się również na ławach swych, każdy nad rozwartą przed sobą wielką księgą, uczniowie jego, to szemrząc z cicha, to podnosząc głosy niekiedy, jakby dla przygłuszenia wewnętrznego bólu jakiegoś; uderzając ściśniętymi pięściami o brzegi ławek, albo obu rękoma chwytając

się za głowy i strzępiąc tém bardziej jeszcze, i tak już, w mozołe wielkim a rozpacz, postrzępione i zczochrane włosy.

Nagle mełamed kołysać się przestał, podniósł rozpromienioną twarz, ujął w obie ręce wielką księgę i z całej siły uderzył nią o stół kulawy. Znaczyło to rozkaz umilknięcia. W mgnieniu oka téż umilkli i kołysać się przestali uczniowie. Popodnosili oczy na twarz nauczyciela, jedni z trwogą nadzwyczajną, a wzburzoną mniemaniem, iż przyszła już pora wydawania zadanéj lekcyi, inni ze złośliwą przekorą i tajoném naigrawaniem się.

Ale mełamed nie spostrzegł wrażeń, malujących się na twarzach jego uczniów. Nie spostrzegał on i nie widział w téj chwili nic naokoło siebie. Duch jego porwanym został prądem niewymownéj słodyczy i uniesionym w krainę zachwycenia. O tyle jednak czuł się mistrzem i obowiązki mistrza rozumiał, iż część zachwycenia swego przelać zapragnął na rozczochrane i strapione głowy swych uczniów.

Podniósł w górę wskazujący palec i, z podniesioną twarzą, ze sterczącą brodą, z oczyma w ogniu i miodzie, czytać zaczął głośno ustęp ze Schiur-Komy.

— „Wielki książę świadectwa tak opowiada wielkość Jehowy. Od domu stolicy wielmożności Jehowy do góry jest sto ośmnaście razy dziesięć tysięcy mil. Wysokość jego jest sto sześć i trzydzieści razy tysiąc mil. Od prawej ręki Jehowy do lewej jest siedm-

dziesiąt siedm razy dziesięć tysięcy mil. Czaszka głowy jego ma trzy razy dziesięć tysięcy wzdłuż i w szerz. Korona na głowie jego ma sześćdziesiąt razy dziesięć tysięcy mil. Podeszwy króla królów mają trzydzieści tysięcy mil. Od pięt jego aż do kolan dziewiętnaście razy dziesięć tysięcy mil; od kolan aż do kłębów liczy się dwanaście razy dziesięć tysięcy i cztery mile. Od bioder aż do szyi dwadzieścia cztery razy dziesięć tysięcy mil. Taką jest wielkość króla nad królami, Pana świata!"

Po wydaniu ostatniego wykrzyknika, Reb Mosze pozostał chwilę nieruchomy, jak posąg, na katedrze swój, z rękoma podniesionemi a spojrzeniem pływającym w rozkoszy. Uczniowie jego siedzieli również nieruchomi i wlepiali w niego osłupiałe wejrzenia. Wszyscy już teraz bez wyjątku, pokorni i figlarni, wpółidyotyczni i roztropni, szeroko pootwierali usta swe. W podobny sposób opisana wielkość Jehowy w odrętwienie wprawiła wszystkie umysły.

Melamed przecież wkrótce ocknął się z ekstazy swój i z rozkazującym giestem zawołał:

— Gej!

Na ten wykrzyk, którego znaczenie dobrze zrozumiałem im było, chłopcy rzucili się znowu do wielkich ksiąg swych, zakolysali postacie swe i wyśpiewywać poczęli dany im do nauczania się ustęp Talmudu. Jak brzmiał i co opiewał ustęp ten? nie zrozumiałoby tego, wśród mieszaniny kilkudziesięciu głosów,

żadne niepoświęcane ucho. Meir przecież, który sam zupełnie podobny temu kurs nauk odbywał przed niewielu jeszcze laty, a przytém, obdarzony pamięcią wyborną, nic zeń nie zapomniał, pojął od razu, że dnia tego chłopcy uczyli się VIII rozdziału traktatu *Berachot* (o błogosławieństwach).

Jednogłośnie tedy, nieprzerwanie, z zapalczywością nadzwyczajną, z umęczeniem wywołującym jęki z piersi a pot na czoła, dzieci czytały i wyśpiewwały:

„*Miszna 1.* Oto są sporne punkta pomiędzy szkołami Szamaja i Hillela. Szkoła Szamaja mówi: błogosławić należy dzień (Sobotni), a potem wino. Szkoła Hillela twierdzi: niech błogosławią wino, a potem dzień.

„*Miszna 2.* Szkoła Szamaja mówi: umywają ręce a potem napełniają puhar. Szkoła Hillela twierdzi: napełniają puhar, a potem umywają ręce.

„*Miszna 3.* Szkoła Szamaja mówi: po otarciu rąk, składają ręcznik na stole. Szkoła Hillela twierdzi: składają go na poduszce.

„*Miszna 4.* Szkoła Szamaja mówi: zamiatają pokój, a potem umywają ręce. Szkoła Hillela twierdzi: umywają ręce, a potem zamiatają pokój.

„*Miszna 5.* Szkoła Szamaja mówi: ogień, pokarm i woń. Szkoła Hillela utrzymuje: ogień, woń i pokarm. Szkoła Szamaja mówi: stworzywszy jasność ognia. Szkoła Hillela utrzymuje: stworzywszy jasność ognia..."

Tu rozległ się znowu po izbie podwójny stuk: księgi, uderzającej o kulawy stolik, i kulawego stolika, uderzającego o podłogę. Uczniowie zamienili się téż znowu w sztywne i milczące posągi. Mełamed toczył po wszystkich ich twarzach spojrzeniem takim, jak gdyby ofiarnikiem był, mającym wybrać jedno z tych dzieci na całopalną ofiarę. Wyciągnął nakoniec palec ku jednej z ostatnich ławek i zawołał groźnie:

— Lejbele!

Na wołanie to podniosło się z pośród towarzyszy wysmukłe, blade dziecko, w szarą, długą surducinie, i patrzyło w twarz mełameda — ogromną, czarną, osłupiałą żrenicą.

— *Kom her!* (Chodź tu!) — zawołał mistrz.

Pomiędzy uczniami zrobił się ruch. Przejść przez izbę tę nie było łatwo. Chłopcy usuwali się wezwanemu z drogi, tłocząc się jedni na drugich, spadając pod ławki i przez tłum popychając towarzysza pięściami.

Lejbele wyszedł nakoniec z tłumu i stanął wśród waznuchnego przejścia, oddzielającego katedrę mistrza od pierwszej ławki uczniów. W obu chudych rękach swych trzymał on wielką księgę, pod której ciężarem co chwila ręce jego ku dołowi się ugięły; usta miał szeroko roztwarte a ramiona poruszały się w krótkich przerwach nerwowym drganiem. Nie patrzył teraz na mełameda. Twarz jego pochylała się

ku stronicom pochylającej się wciąż księgi. Reb Mosze uderzeniem wymierzonym pod brodę podniósł mu głowę.

— Nu — krzyknął — czego ty jak rozbójnik jak na ziemię patrzysz? patrzaj na mnie!

Dziecko patrzyło mu znowu w twarz nieruchomą żrenicą, która zapływać poczęła łzawą zasłoną.

— Nu! — zaczął mełamed — co mówi Szkoła Szamaja, a co mówi szkoła Hillela?

Długie nastąpiło milczenie. Siedzący na pierwszej ławie chłopcy tręcali nieznacznie pięściami w boki współuczniów, szepcząc mu:

— *Szprych! Szprych!* (mów! mów!)

— Szkoła Szamaja — zaczął Lejbele drżącym i ledwie dosłyszalnym głosem — mówi: Błogosławić trzeba wino...

— Dzień! dzień! a potem wino! — zaszeptały z pierwszej ławki litościwe, pomocnicze głosy. Ale w téjże chwili ręka mełameda znalazła się w bliskości ucha jednego z podpowiadających, tak bezpośredniej, że z piersi właściciela jego wydobył się pisk przeraźliwy, a inni współuczniowie pozamykali usta, w zamian zaś pootwierali oczy ze strachu i osłupienia.

Reb Mosze zwrócił się znowu do examinowanego ucznia:

— Miszna pierwsza! — zawołał — co mówi szkoła Szamaja?

Cichszy jeszcze niż wprzód, trzęsący się głos dziecięcy odpowiadać zaczął.

— Szkoła Szamaja mówi: Błogosławcie wino...

Pięść mełameda opuściła się ciężko na ramię ucznia, z którego rękę wypadła zarazem wielka księga.

Mełamed poskoczył ze swój katedry.

— *A schlechter, dummer, ferszoltener bube!* — krzyknął, rzucając się ku dziecku. — Ty wielki naukuczyć się nie chcesz, i kiedy ja tobie lekcję zadał, mówisz, że szkoła Szamaja każe błogosławić piérwój wino a potém dzień... i jeszcze święte książki na ziemię rzucaasz... a czy ty nie czytał, że Szamaj kazał błogosławić piérwój dzień, a potém wino...

Tu, za krzyczącym i miotającym się mełamedem, ozwał się głos mężki, dźwięczny lecz drżący jakoś, i szyderski.

— Reb Mosze! To biedne dziecko nigdy na oczy swoje wino nie widziało, a w każdym dniu swego życia bicie i głód cierpiało; to jemu i trudno zapamiętać, co piérwój błogosławić trzeba: wino, czy dzień?

Ale Reb Mosze przemówienia tego nie słyszał. Obie ściśnięte pięści jego opuściły się niezmiernie szybko i po razy kilka na głowę i ramiona bladego dziecka, a gdy ono, nie wydając najlżejszego jęku, cichutko tylko osunęło się pod razami temi na upuszczoną wprzód wielką księgę, podniosły się raz jeszcze, aby opaść na osłonięte podartą surduciną plecy jego. Zanim jednak zdołały dokonać tego, silna ręka

jakaś porywczo odepchnęła go na stronę, tak, że aż uderzył się o róg kulawego stolika i, przewracając go, sam nawznak upadł na ziemię.

— Reb Mosze! — zawołał tenże głos młodzieńczy, popędliwy a szyderski, który wymówił kilka uprzednich wyrazów. — Reb Mosze! — powtórzył — czy to nie Izraelskie dziecko jest, abyś ty na nie morze złości swój wylewać miał? Czy to nie ubogie dziecko nędzarza jest? czy to nie nasz brat?

Wołając tak, Meir, z gorącym rumieńcem na blądziej wprzód twarzy, pochylił się nad skurczonóm przy ziemi, niemém i nieruchomém dzieckiem, i wziął je na ręce. Wnet téż zmierzać zaczął ku drzwiom. Odwrócił się jednak raz jeszcze i zawołał:

— Reb Mosze! ty z głów izraelskich dzieci wyjmujesz rozum, a z serc ich wydierasz litość. Ja słyszałem, jak niektórzy z chłopców tych śmieli się, kiedy ty Lejbela biłeś, i u mnie od śmiechu ich serce pełne leż.

Powiedziawszy to, wyszedł z dzieckiem w objęciu. Reb Mosze teraz dopiero obudził się z osłupienia, w które pograżył go najniespodziewańszy dla niego napad. Porwał się z ziemi i krzyknął:

— *A Merder!* rozbójnik! *ferszoltener!*

I zwracając się ku szkole swój, ze ściśniętymi pięściami, wołał:

— Gońcie! łapcie! bijcie! kamienujcie!

Nie było jednak nikogo, kto-by rozkazów tych

wysłuchać i spełnić je mógł. Szkoła świeciła najpiękniejszymi pustkami. Poobalane tylko ławy i porzucane na ziemię księgi świadczyły o gwałtownie dokonanej dezercyi kilkudziesięciu chłopców, którzy, widząc współuczniwa swego wyratowanego z pod pięści mistrza, a samego mistrza obalonego na ziemię i walczącego z kulawym stołem, co, acz kulawy, przygniatał go i powstać mu z upadku przeszkadzał, częścią ze strachu, częścią ze swawoli i tęsknoty za wolnością, gromadnie ruszyli się z ław swych, i z wrzaskiem przeraźliwym wyskoczywszy z hederu, czém kto mógł, drzwiami i oknami, rozsypali się po miasteczku całém, naksztalt stada ptaków, z klatki uwolnionego.

Heder był pusty, dziedziniec szkolny był pusty, i tylko na ganku Bet-ha-Kahołu stało, poważnie ze sobą rozmawiając, kilku urzędników kahalnych. Ku nim-to, w poskokach przebywając dziedziniec, chwytając się obu rękoma za rozczochraną głowę, krzycząc i dysząc, pobiegł znieważony mędrzec, Reb Mosze.

Meir tymczasem, szybko idąc, niósł w objęciu swém dziecię, po którego chudych policzkach spływały teraz wielkie łzy. Dziwna rzecz przecież! Z za łez, ku twarzy Meira wzniesione oczy Lejbela, mniej były martwe i mniej idyotyczne, niż zwykle, a po ustach jego, drżących od płaczu, pomimo przestachu i bólu, którego doświadczył, krążył uśmiech. Uśmie-

chając się, dziecię wybawione płakało i patrzyło w twarz wybawiciela swego.

— *Morejne!* — szepnął po chwili Lejbele.

— *Morejne!* — powtórzył ciszej — jaki ty dobry!

Na rogu biednej uliczki o domkach malutkich i ciemnych, Meir postawił dziecię na ziemi.

— No! — rzekł, wskazując mu widniejącą zdala chatę krawca Szmula — idź teraz do domu...

Lejbele zmartwiał znowu. Wsunął ręce w rękawy surduciny i stał śród drogi, jak nieruchomy posążek. Meir uśmiechnął się i spojrzał w twarz dziecka.

— Boisz się? — zapytał.

— Boję się! — odpowiedział mu posążek gardłowym głosem.

Młody człowiek, zamiast wrócić, jak miał zamiar, poszedł ku chatce Szmula. Tuż krok w krok za nim, z rękoma w rękawach i otwartemi usty, szedł Lejbele.

Dzień kończył się. Na ubogiej uliczce kończyły się teżienne prace. Ludność mizerna, ogorziała, ołachmaniona, cuchnąca, wysypała się przed progi domowstw.

Zaledwie Meir uszedł kilkadziesiąt kroków, spostrzegł szczególną zmianę, która wśród ludności tej zaszła względem niego. Dawniej przechodzącego wnuka bogatego Saula witano tu z niskimi pokłonami; bliżsi znajomi przystępowali do niego i z poufałością, pełną przyjaźni, powierzali mu troski swe, biedy,

a niekiedy nawet skrupuły sumienia; inni, z okien otwartych lub z pod ścian domowstw, przesyłali mu głośnie i przyjazne *Szolem Alejchem!* (pokój tobie!)

Teraz zwróciło uwagę jego kilkanaście spojrzeń, rzuconych nań, skośnych i niechętnych; kobiety przypatrywały się mu z rodzajem osłupiałej ciekawości, i szepcząc między sobą, ukazywały go palcami; jeden nawet z traczy owych, którzy przez miesiąc cały pracowali na dziedzińcu domu Saula i z którymi nieraz dzielił on pracę wesoło i przyjacielsko, nie pozdrowił go, lecz na widok jego smutnie a trochę niechętnie wsunął się do szarego wnętrza swój chatki.

Meir niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Co to jest? — pomyślał — czego oni chcą ode mnie? co ja im złego zrobiłem?

Dziwném mu się także wydać mogło, że krawiec Szmul nie wybiegł z chaty swój, jak zwykle bywało, ażeby spotkać go, rzucić się mu do rąk i osypać go gradem podziękowań, pochlebstw, skarg i narzekań. Wszedł jednak do małego domku, a Lejbele pozostał przed progiem i w skurczonój postawie usiadł pod ścianą.

Młody człowiek pochylić musiał głowę, ażeby przejść przez niskie drzwiczki, prowadzące z ciemnej sionki, w której śród zmroku ruszały się i biegały w kącie dwie kozy, do izby ciasnej i, pomimo otwartego na ulicę okienka, dusznej i cuchnącej. W progu rozminęła się z nim kobieta chuda, z ciemną, po-

marszczoną twarzą. Była to żona Szmula, która wyszła przez próg i, milcząc, dała siedzącemu przy ścianie dziecku kawał czarnego, suchego chleba. Była to wieczerza, którą Lejbele otrzymywał zwykle po powrocie z hederu.

Cała zresztą rodzina Szmula, w chwili wejścia Meira do izby, spożywała podobną wieczerzę, z tą różnicą, że trzy dorosłe dziewczyny, dwaj mali chłopcy, Szmul sam i stara matka jego do chleba dodawali drobne szczypty cebuli, znajdując się w dość skąpej ilości na wyszczerbionym czarnym talerzu. Oprócz dwóch chłopców, znacznie młodszych od Lejbela, którzy, przysiadłszy w kącie na ziemi, gryźli zawzięcie wydzielone sobie porceye stwardniałego chleba, dwuletnie dziecko pełzało po podłodze u stóp ogromnego czarnego pieca, a inne jeszcze, kilkomiesięczne, spało w kolebce, zawieszonój na sznurach u belki sufitu i poruszanej przez jedną z dorosłych dziewcząt. Druga dziewczyna krzątała się około kóz w ciemnej sionce, trzecia zaś łamała chleb na drobne kęski, które posypywała cebulą i wkładała w drżące ręce niewidomój matki Szmula. Stara ta, niewidoma matka siedziała na jedyném łóżku, które znajdowało się w izbie; inne bowiem osoby, rodzinę składające, sypiały na twardych wązkich ławach, lub na ziemi. Ale stara matka posiadała łóżko, dość dostatnio usłane; chustka, skrzyżowana na piersiach jój, cała była i czysta; a wielki czepiec, okrywający głowę, uszytym

był z czarnego atlasu i suto nawet wygarniowanym. Siedząca obok niej wnuczka, w brudnej odzieży, z rozczochranemi włosy, wkładała w ręce jęj, a czasem i w usta, mniej niż ubogą żywność, z powagą taką, jak gdyby ciągle myślała o tém, że spełnia coś bardzo ważnego. Niekiedy nawet grubą, czarną prawie ręką swą gładziła pomarszczoną, trzęsącą się rękę babki, a widząc trud, z jakim spożywa ona twarde jedzenie, wstrząsała głową, uśmiechając się pobłażliwie i zachęcająco...

Jak w obszerném i zamożném domowstwie bogatego Saula, tak w natłoczonej, brudnej, ciemnej izdebce nędzarza Szmula, najstarsza w rodzinie kobieta zajmowała miejsce najwygodniejsze i przedmiotem była ogólnej troskliwości i czci. Nigdy albowiem nie widziano wśród Izraela, aby syn, bogacz lub nędzarz, zaniedbał w starości czy w niedoli tych, którzy mu dali życie. „Jak gałęzie od drzewa swego, tak my wszyscy od niej początek bierzemy!” powiedział o matce swęj zwierzchnik rodziny Ezołowiczów. *Chajet* Szmul nie umiał wyrażać uczuć swych tak, jak kupiec Saul, lecz gdy matka jego oślepiła, w żalu wielkim wyrwał sobie z głowy czarne kędzierzawe włosy; potem wraz z rodziną swą pościł przez trzy dni, aby za cenę pożywienia, którego się wyrzekł, kupić dla niej stare, rozpadające się łóżko; potem łóżko to własnymi rękoma zbijał i naprawiał, aby do ściany przyparte stać mogło; a otrzymawszy od Sary Ezo-

fowiczówny, żony Bera, czarną atlasową suknią do uszycia, odciął spory kawałek cennej materii i uszył dla matki wywałowany i wygarniowany czepiec.

Ujrawszy wchodzącego do izby Meira, Szmul porwał się ze stołka, na którym siedział, i poskoczył ku gościowi. Pochylił się przed nim zwykłym swym niskim, giętkim ukłonem, ale nie pocałował go w rękę, jak dawniej, i nie zawołał z wielką radością: aj! co za gość! co za gość!

— *Morejne!* — zawołał — już ja wiem, co ty dziś zrobił! Bachury biegli tędy z hederu i krzyczeli, że ty mego Lejbela z silnych rąk Reba Mosza wyrwał, a jego samego popechnął i przewrócił! Ty to z dobrego serca zrobił, ale to źle, *Morejne!* bardzo źle! Ty przez to wielkiego grzechu dopuścił się i mnie w wielkiej biédzie utopił. Teraz Reb Mosze — niech sto lat żyje — nie zechce już mego Lejbela, ani moich młodszych synów do swego hederu przyjąć, i oni nigdy uczonymi nie zostaną! *Aj waj! Morejne!* co ty, przez swoje dobre serce, sobie i mnie narobił!

— Nade mną ty, Szmulu, nie biadaj! niech już ze mną stanie się co chce! — z żywością odparł Meir — ale ty ulituj się nad swoim własnym dzieckiem i w domu przynajmniej nie bij go. On dość już w hederze cierpi...

— Nu! jakto cierpił to co, że cierpił — zawołał Szmul — pradziady, i dziady, i ojcowie moi do hede-

ru chodzili i cierpieli! i ja chodziłem i cierpiałem tak samo! a co robić, kiedy trzeba!

— A czy ty, Szmulu, nigdy nie pomyślałeś sobie, że może inaczej trzeba! — łagodnie już zapytał Meir.

Szmulowi oczy zaświeciły!

— *Morejne!* — zawołał — ty grzesznych słów w chacie mojej nie wymawiaj! Moja chata bardzo biedna jest; ale w niej, dziękować Bogu, wszyscy świętych Zakonów strzegą i rozkazań starszych słuchają! *Chajet* Szmul biedny jest bardzo i z pracy dwóch rąk swoich utrzymuje żonę, ośmioro dzieci i starą, ślepą matkę! Ale on czysty przed Panem i ludźmi, bo święte zakony on wiernie chowa. *Chajet* Szmul sabbaty święci, koszerów pilnuje, wszystkie naznaczone *szemy* i *tefile* do Pana Boga krzycząc i jęcząc odmawia, a *chazaru* on nigdy na oczy swoje nie widział i z *goimami* przyjaźni żadnej nie trzyma, bo wie, że Jehowa jednym tylko Izraelitów kocha i strzeże, i że Izraelici tylko duszę w sobie mają. Tak robi biedny *chajet* Szmul, bo tak Pan Bóg przykazał, i tak robili pradziady, dziady i ojcowie jego!...

Gdy cienki, giętki i zapalczywy Szmul wszystko to wypowiedział, Meir zapytał go łagodnie i z namysłem:

— A czy pradziady, dziady i ojcowie twoi szczęśliwi byli? A czy ty sam, Szmulu, szczęśliwy jesteś?

Na zapytanie to ozwało się znowu w Szmulu z żywością całą poczucie nędz znoszonych.

— Aj! aj! — zawołał — takiego szczęścia żeby nieprzyjaciele nie mieli! Skóra przyschła do kości moich, a w sercu mojem ja zawsze wielkie boleści czuję...

Tu w jęklivą mowę krawca wmieszał się odgłos odzywającego się w najciemniejszym kącie izby ciężkiego westchnienia. Meir obejrzał się, a widząc szarzącą w zmroku, pomiędzy ogromnym piecem a ścianą, postać jakąś wysoką i barczystą, zapytał:

— Kto tam taki?

Szmul żałośnie skinął głową i ręką.

— O! — rzekł — to furman Jochel zaszedł do mojej chaty! my z sobą dawno znajomi!

W téj chwili wysoka i barczysta postać poruszyła się z kąta, w którym nieruchoma stała, i zbliżyła się do rozmawiających. Jochel był mężczyzną potężnej budowy ciała, pomimo to, wydawał się znędniałym i przygnębionym. Spencerem bez rękawów, podartym i brudnym, przyodziany, stopy miał bose i poranione, włosy rude, ogromne, splątane, usta obrzękłe, oczy ze spojrzeniem zuchwałém, a jednak często spuszczał je ku ziemi. Przystąpił do stołu i wziął z talerza szczyptę cebuli, którą przysypał kęs czarnego chleba, trzymany w ręce.

— Meir! — rzekł, śmiało patrząc na młodzieńca, — ty mój dawny znajomy! ja stryja twego Rafała wozilem, kiedy on jechał po ciebie małego sierotę, a potem przywozłem jego i ciebie do Szybowa.

— Ja ciebie, Jochelu, i później widywałem — rzekł Meir — ty porządnym furmanem byłeś... cztery konie miałeś...

Uśmiechnął się obrzękłymi usty terazniejszy mieszkaniec *Hek-Doszu*

— Nu — rzekł — to prawda! ale mnie potem nieszczęście przytrafiło się! Ja chciałem jeden wielki interes zrobić... i ten interes mię zgubił. A jak on mię zgubił, to mnie drugie nieszczęście przytrafiło się...

— To drugie nieszczęście, Jochelu — rzekł Meir — to był grzech twój... Naco było tobie konie ze stajni *purycy* w nocy wyprowadzać?

Zapytany roześmiał się cynicznie.

— Jakto naco? — rzekł — ja chciałem je sprzedać i dużo zarobić...

Szmul litościwie wstrząsnął głową.

— O! oj! — westchnął — Jochel jest biednym, bardzo biednym człowiekiem! On trzy lata pokuty swojej w turmie odsiedział, a teraz, jak jego ztamtąd wypuścili, on nie ma żadnego zarobku i musi w *Hek-Doszu* siedzieć...

Jochel ciężko westchnął znowu, ale wnet potem energicznie podniósł głowę.

— Nu, — rzekł — cóż robić? może ja i będę miał prędko wielki zarobek...

Słowa te włóczęgi-nędzarza przypomniały Meirowi tajemniczą krótką rozmowę, którą przez okno

Hek-Doszu prowadził on przed godziną z możnym Kamionkerem. Uderzyła go zarazem zmiana, którą słowa Jochela wywołały na twarzy Szmul. Delikatna, blada, ruchliwa twarz ta zadrżała mnóstwem drgnień nerwowych, objawiać mogących zarówno gwałtowną radość, jak boleść. Zarazem oczy jego roziskrzyły się i ręce zatrzęśły.

— Nu! — zawołał — co tu można wiedzieć, co z człowiekiem jutro stanie się! Kiedy on dziś bardzo biednym jest, to jutro może być bardzo bogatym! Co to można wiedzieć? może i *chajet* Szmul wybuduje sobie kiedy piękny dom przy rynku i będzie wielki handel prowadził!

Meir uśmiechnął się smutnie. Bezzasadne, jak mu się zdawało, nadzieje dwóch biedaków budziły w nim litość. Patrzył on teraz w zamyśleniu na widniejące przez okno, za niskimi domowstwami, szerokie rozłogi pól.

— Ty, Szmulu — rzekł — z pewnością nie zbudujesz sobie nigdy wielkiego domu przy rynku, i Jochel nie znajdzie tu sobie wielkiego zarobku! No! co to dziwnego? Was tu tylu jest w jednym miejscu, że nikt dobrego zarobku mieć nie może. Ale ja sobie myślę: żebyście nie cisnęli się tu wszyscy na tych brudnych, małych uliczkach, lecz rozsypali się po szerokim świecie, i żebyście wy, wielkich zarobków nie spodziewając się, pracować zaczęli koło ziemi, jak

chrześcijańscy chłopci; to-by wam może lepiej na świecie było!

Mówił to w zamyśleniu i mniej, jak się zdaje, myśląc o dwóch ludziach, toczących z nim rozmowę, niż o całej tej tłumnej ludności, która w tej chwili napełniała powietrze nieopisaną wrzawą zmieszanych razem klótni kobiecych, hałasów dziecinnych i nieokreślonych jakichś, niewyraźnych lamentów, zawodzeń, i westchnień.

Ale krawiec Szmul, usłyszawszy słowa gościa, dwa razy we wzburzeniu wielkiem podskoczył i dwa razy jarmułkę na głowie swój targnął i przekrzywił.

— *Morejne!* — zajęczał — jakie brzydkie słowa z ust twoich wychodzą! *Morejne!* czy ty chcesz wszystko w Izraelu do góry nogami przewrócić?

— Szmulu! — popędliwie zawołał Meir — to prawda! Kiedy ja patrzę na nędzę waszą i na cierpienia dzieci waszych, i kiedy ja we własne swoje serce patrzę, to jabym wtedy chciał wiele rzeczy w Izraelu do góry nogami przewrócić!

— Gwałt! — chwytając się obu dłońmi za głowę, krzyknął gwałtowny i wrażliwy Szmul — ja nie chciałem temu wierzyć! Ja ludziom tym, co to gadali, w oczy plułem; ale teraz ja sam już widzę, że ty, *Morejne*, złym Izraelitą jesteś, i że tobie Święty Zakon nasz i obyczaje pradziadów naszych niemiłe!

Meir drgnął cały i wyprostował się.

— A kto to mówił, że ja złym Izraelitą jestem? — zawołał z palającymi oczyma.

Szmul zmiarkował się w uniesieniu swém. Złagodniał nieco i do Meira bardzo blisko przystąpił. Nikt tego słyszeć nie mógł, co mówić miał, bo Jochel stał już znowu w głębokim cieniu pieca, przeżuwając głośno chleb z cebulą, a kobiety i dzieci wysypały się z chaty na ulicę. Jednak mówił on bardzo cicho i z wyrazem takiej grozy na twarzy, jakby słowa jego zawierały w sobie tajemnicę potężną i groźną.

— *Morejne!* ty darmo pytać się będziesz: kto to mówi? Jak liście na drzewach szeleszczą, tak usta ludzkie szepczą, a nikt nie zgadnie, który liść poruszył się, i które usta zagadały. O tobie, *Morejne*, cały naród złe rzeczy mówić zaczął! O tobie mówią, że ty sabbatów nie strzeżesz, przekłete książki czytasz, obrzydliwe pieśni śpiewasz, młodzieńców izraelskich przeciw świętemu zakonowi buntujesz, uczonych i bogaczy nie szanujesz, i...

Tu wstrzymał na chwilę szybką mowę swą Szmul, a potem zaledwie już dosłyszalnym, wstydliwym szeptem dodał:

— I z karaïmską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzymasz!

Meir stał, jak skamieniały. Zbladł, a oczy pałały mu coraz goręcej.

— Kto to wszystko mówi? — powtórzył stłumionym od wzruszenia głosem.

— *Morejne!* — odpowiedział Szmul, rozkładając oba ramiona rozpaczonym giestem. — Ty za pokutę siedział przez cały tydzień w Bet-ha-Midraszu, a my wszyscy biedni ludzie, co przy uliczce téj mieszkamy, dowiedziawszy się o tém, wielki gwałt zrobili! I byli tu tacy ludzie, co chcieli iść do dziada twego, Saula, i do samego Rabbina, prosić ich, aby oni z ciebie ten wielki wstyd zdjeli. Tracz Judel chciał iść, i furman Baruch chciał iść, — nu! i chajet Szmul także chciał iść! Ale potem zaczęły się pomiędzy ludźmi gadania różne. A jak my z tych gadań dowiedzieli się, że ci ciebie ukarali, to między nami zrobiło się cicho. My powiedzieliśmy sobie: choć on dobry i litościwy bardzo, i pysznym z nami nędzaczami nie był, i wiele nam w biedach naszych pomagał; ale kiedy on Zakonu Świętego nie strzeże, to niech stanie się tak, jak powiedział *zejde* jego, wielki bogacz, i niech on ukaranym będzie!

Umilkł наконец, zdyszany długiem i szybkim mówieniem, Szmul, a Meir, patrząc mu w twarz pałającą, przenikliwem wejrzeniem, zapytał:

— A żeby mnie bogacze i uczeni ukamienować kazali, wybyście znów powiedzieli: niech się tak stanie?

Szmul przeraził się z razu strasznym przypuszczeniem Meira tak bardzo, że aż o parę kroków odskoczył.

— Gwałt! — zawołał — na co takie brzydkie rzeczy przypuszczać sobie do głowy!

Potem jednak dodał spokojnie:

— Nu! *Morejne!* żebyś ty Świętego Zakonu naszego nie strzegł...

Nie dokończył, bo przerwał mu Meir pełnym uniesienia głosem:

— Szmulu! a czy wy wszyscy wiecie, co jest Święty nasz Zakon? Co w nim jest Bożkie rozkazanie, a co ludzkie wymyślenie?

— Szaa! — syknął z cicha Szmul — nas ludzie słuchają! ja nie chcę, *Morejne*, żeby w mojej chacie spotkała ciebie nieprzyjemność!

Meir rzucił spojrzenie za okno i zobaczył, iż w istocie kilku dojrzałych mężczyzn obsiadło długą, wąską ławę, stojącą u ściany domowstwa Szmula. Ludzie ci nie podsłuchywali bynajmniej, owszem, rozmawiali nawet z sobą, ale parę ostatnich wykrzyków Szmula i Meira usłyszeli snadź, bo nachylili twarze ku otwartemu okienku i patrzali we wnętrze izby oczyma wpółdziwionemi a wpółniechętnemi. Meir niecierpliwie rzucił ramionami i, nie żegnając Szmula, zmierzał ku wyjściu. Ale gdy był już przy progu, Szmul poskoczył ku niemu i, schyliwszy szybko giętką swą postać, w rękę go pocałował.

— *Morejne!* — szepnął — ja ciebie bardzo żałuję! Ty upamiętaj się! U ciebie serce bardzo dobre, ale głowa bardzo zła! W niej ogień pali się! *Aj waj!* co ty z melamedem dziś zrobił! *Morejne!* ty upamiętaj się i nie rób zgorszenia w Izraelu!

Trzymając wciąż rękę Meira w twardej swój dłoni, podniósł ku niemu twarz nerwowo znów drgającą i dodał śpiesznie:

— *Morejne!* żebyś ty nie był pod takiem straszném oskarżeniem, jabym dziś przed tobą serce moje otworzył. Bo dziś *chajet* Szmul ma wielkie kłopoty! Nu, sam nie wié, co zrobić! On może pozostać takim biednym na całe życie, jakim jest, i może zrobić się bogatym! On może być bardzo szczęśliwym i bardzo nieszczęśliwym, bo do niego teraz przychodzi wielkie zczęście i w ręce jemu lezie, ale on lęka się jego brać, bo ono wygląda tak, jak nieszczęście!

Meir ze zdumieniem patrzył na nędzarza, czyniącego mu w ten sposób zagadkowe jakieś półzwierzenia. Ale w téj chwili z za czarnego pieca ozwał się gruby, chrypiący głos Jocheła:

— Szmull czy ty będziesz milczał? *Kom her!*

Szmul z drgającą wciąż, nieprzytomną prawie twarzą, odskoczył od Meira, który, zamyślony i z palającém okiem, wyszedł na ulicę.

Tu, na widok jego, schmurzyły się widocznie twarze siedzących u ściany ludzi. Dwaj z nich pozdrowili go krótko i obojętnie; nikt, jak zwykle bywało dawniej, nie wstał przed nim i nikt nie postąpił ku niemu, aby towarzyszyć mu i poufnie z nim rozmawiać przez całą długość ulicy.

Tylko z pod ściany domu podniosło się dziecko, w szarój, długiej surducinie, i zaledwie Meir o parę

kroków oddalił się od progu domowstwa, postąpiło za nim. Ręce miało wsunięte w rękawy odzieży i oczy zmęczone, przymykające się niemal od senności. Szło jednak, a że młody człowiek postępował krokiem wzburzonym i szybkim, ono także przyśpieszało kroku.

Tak jeden za drugim idąc, Meir i Lejbele przebyli długą uliczkę i znaleźli się wkrótce na pustych gruntach, oddzielających ostatnie domowstwa miasteczka od Karaimskiego wzgórza.

Zmierch panował już zupełny, ale w chacie Abła Karaima nie paliło się żółte światelko małej świeczki. Nie spano w niej jednak, bo zaledwie Meir zbliżył się do otwartego jéj okna, zarysowała się w niém wysmukła postać Gołdy.

Pozdrowili się wzajem milczącém skinieniem głowy.

— Gołda! — rzekł Meir z cicha, lecz pośpiesznie — czy ciebie żadna nieprzyjemność od nikogo nie spotkała? czy tobie nikt nie złego nie zrobił?

Dziewczyna milczała chwilę, a potem odpowiedziała wzajemném pytaniem:

— Dlaczego ty, Meir, zapytujesz mnie o to?

— Bo ja lękam się, żeby tobie jaka krzywda nie stała się. Ludzie zaczęli o tobie gadać!

Gołda wzgardliwie nieco wzruszyła ramionami.

— Ja o ich krzywdy nie dbam — rzekła — ja z krzywdą razem wyrosłam i ona jest siostrą moją.

Umilkła na chwilę. Meir wydawał się wciąż nie-spokojny.

— Dlaczego u was dziś ciemno w chacie? — za-pytał.

— U mnie wełny niéma do przedzenia, a *zejde* modli się sobie w ciemności.

W istocie, w kącie izby szemrał drżący głos mo-dlącego się Abła.

— A czemuż ty wełny nie masz do przedzenia? — zapytał Meir.

— Odniosłam Hanie Witebskiej i Sarze, żonie Bera, to, co dla nich uprzedłam, a one mi więcej ro-boty nie dały.

— Czy tobie one nie złego nie powiedziały? — po-rywczó zapytał Meir.

Gołda milczała znowu przez chwilę.

— Ludzkie oczy mówią czasem gorsze rzeczy, niż usta; — wymówiła spokojnie.

Widocznie skarżyć się nie chciała ani obwiniać nikogo.

Być może zresztą, iż mało obchodziło ją wszystko, co się tyczyło jój saméj, i że umysł jój był czém in-ném zajęty.

— Meir! — rzekła — ty w tych dniach wielką nie-przyjemność miałeś...

Meir usiadł na małej, wązkiej ławce, stojącej pod otwartém oknem, oparł głowę na dłoni i westchnął ciężko.

— Największą zgryzotę ja dziś miałem — odpo-wiedział — lud mój odwrócił twarz swoją ode mnie i za wroga swego mnie ogłosił... Kiedy przechodzę, widzę na miejscu przyjaźni — nieprzyjaźń, a ci, którzy przede mną serca swoje otwierali, mają mnie teraz w podejrzeniu...

Gołda smutnie pochyliła głowę; Meir mówił po chwili dalej:

— Ja już teraz nie wiem sam, co robić i jakim być... wielkie wątpienie duszę moję objęło. Jeżeli ja będę mówił i robił według serca mego, lud mój znienawidzi mnie i różne nieszczęścia na mnie spa-dną... a jeżeli będę mówił i robił przeciw sercu me-mu, sam siebie znienawidzę i żadne szczęście miłém mi nie będzie... W Ha-Midraszu siedząc, ja sobie my-ślałem zgodę ze wszystkimi trzymać, na głupie i złe rzeczy oczy zamykać i spokojnie sobie żyć... ale z Ha-Midraszu wyszedłszy, zaraz nie mogłem wytrzymać i za jedno biedne dziecko bardzo na siebie obraziłem mełameda, a przez mełameda wszystkich starszych i cały lud... Ot, co ja dziś zrobiłem! A teraz znów myślę o sobie: na co to przyda się? Czy przez to me-lamed nie będzie biednym dzieciom rozumu z ich głów wyjmować i zdrowia ich ciałom odbierać?... Co ja mogę? ja jeden... młody... żony i dzieci jeszcze nie mam, i interesów wielkich nie prowadzę... to nade mną wszyscy wszystko mogą, a ja nic nad nikim... Moich przyjaciół prześladują za to, że oni ze mną

przyjaźń trzymają... oni zlekną się i mnie porzucą... Ciebie zaczęli już prześladować za to, że ty serce swoje połączyłaś z moim sercem i głos swój dałaś za towarzysza mojemu głosowi... i ja ciebie przez to zgubię... Może już lepiej oczy i usta zamknąć... smutkowi i tęsknocie kazać, żeby z serca szły precz... i żyć tak, jak oni wszyscy żyją?...

Coraz ciszej mówił to Meir; w głosie jego czuć było, że pierś mu targały srogie bóle niepewności i zwątpienia.

Dość długie potem zapanowało milczenie, a w tej chwili za wzgórzem, u którego stóp stała chatka, odzywać się zaczęły szczególne jakieś szmery. Z razu słabo tylko rozróżnić można było wśród szmerów tych turkoty kół, cicho sunących po piaszczystym gruncie, przyciszone rozmowy i tłumne stąpania ludzkie. Po chwili jednak coraz wyraźniejszymi i bliższymi stawały się odgłosy te, a wśród ciszy głębokiej, która w miejscu tym panowała, było w nich coś tajemniczego.

— Co to jest?—prostując się, wyrzekł Meir.

— Co to jest?—powtórzyła spokojniej Gołda.

— Mnie się zdaje—zaczął młody człowiek—jakby z tamtej strony góry wiele wozów jechało i stanęło...

— A mnie się zdaje, jakby w tej górze huczało coś i stukało.

Istotnie zdawać się mogło, że stąpania ludzkie odzywały się teraz w samym wnętrzu wzgórza, a oprócz

nich słyhać tam było stuk rzucanych jakby, czy ustawianych, ciężkich przedmiotów.

Trwoga odmalowała się na twarzy Meira. Spojrzał głęboko w twarz Gołdy.

— Zamknij okno i zarygluj drzwi!—rzekł pośpiesznie—ja pójdę zobaczę, co tam takiego?

Widocznie lękał się o nią. Ale dziewczyna wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

— Na co ja mam okno i drzwi zamykać? One są bardzo słabe i choćbym je zamknęła, każdy, kto dotknie się do nich silną ręką, otworzy je sobie.

Meir okrążał już wzgórze i wkrótce znalazł się po drugiej jego stronie. Widok, który tam ujrzał, nappełnił go zdziwieniem.

Na piaszczystych zagonach stały, półkrygiem wzgórze otaczając, wozy, jedno i dwukonne, naładowane drewnianymi beczkami najrozmaitszych rozmiarów. Około wozów ruszało się mnóstwo ludzi: wieśniaków-chrześcijan i Izraelitów. Wieśniacy zdejmowali beczki z wozów i wtaczali niektóre z nich w głęboką jamę, wytworzoną naturalnie czy sztucznie we wnętrzu wzgórza; Izraelici zaś krążyli pomiędzy wozami, przypatrywali się beczkom, uderzali w nie lekko palcami, a potem skupiali się dokoła człowieka, który stał, przyciśnięty do ścian wzgórza, i toczyli z nim przyciszone, lecz nadzwyczaj żywe rozmowy.

Pośród Izraelitów tych Meir ujrzał kilku znanych mu z widzenia sąsiednich szynkarzy; człowiekiem zaś

który przyciskał się do wzgórza i wiódł z nimi tajemnicze, choć zapalczywe, jakieś targi i umowy, był Jankiel Kamionker.

Wieśniacy, dokonywający pracy przenoszenia beczek lub stojący nieruchomo u wozów, milczeli ponuro. Silna, odurzająca woń alkoholu rozchodziła się po równinie i przejmowała nawskróś powietrze letniego wieczoru.

Zdziwienie Meira krótko trwało. Zaczął on snadź domyślać się znaczenia sceny, na którą patrzył, i widać było, że powziął postanowienie jakieś; bo w zamiarze jakby zbliżenia się do Kamionkera, postąpił parę kroków na przód. Lecz nagle, od ściany wzgórza oderwała się i drogę mu zagrodziła wysoka, barczysta postać człowieka z bosemi nogami, i rozczochranemi włosy.

— Czego ty tu idziesz? Meir! — stłumionym szeptem wyrzekł człowiek ten.

— A czemu ty, Jochelu, iść mi nie pozwalasz? — odpowiedział Meir i chciał ominąć stojącą mu na drodze przeszkodę, ale Jochel przytrzymał go silnie za rękaw od surduta.

— Czy ty już na tym świecie żyć nie chcesz? — szeptał — mnie ciebie żal, bo ty dobry jesteś i ja tobie mówię: idź ty sobie ztąd.

— A jeżeli ja ciekawy jestem wiedzieć, co tutaj takiego Reb Jankiel ze swymi szynkarzami i z temi beczkami robi?

— A co tobie do tego? — szeptał raz jeszcze Jochel — niech twoje oczy nie widzą i twoje uszy nie słyszą tego, co tutaj Reb Jankiel robi! On wielkie interesa robi i ty jeszcze mu przeszkodisz... A na co tobie przeszkadzać? czy ty będziesz z tego korzyści jakie miał? czy ty co przeciw niemu możesz?

Meir stał chwilę, jak oniemiały. Potém odwrócił się i poszedł zwolna w inną stronę.

— Czy ja co mogę? — wymówił drgającemi wargami.

Przechodząc mimo chaty Abła Karaima, zobaczył Gołdę, która stała jeszcze w oknie. Skinął ku niej głową i rzekł:

— Śpij w pokoju!

Ale ona zawołała go:

— Meir! tu jakieś dziecko siedzi na ziemi i śpi!

Meir zbliżył się i spostrzegł w istocie u końca ławki, na której siedział był przed chwilą, skurczoną na ziemi, szarą postać dziecięcą.

— Lejbele! — rzekł ze zdziwieniem.

Nie widział chłopca, który tu za nim przyszedł i cicho za nim téż usiadł. Teraz spał on głęboko, łokcie wspierając na podniesionych kolanach, a głowę trzymając w obu dłoniach.

— Lejbele! — powtórzył Meir i położył dłoń na głowie śpiącego.

Dziecię obudziło się, otworzyło senne oczy i, wzno-

sząc je ku twarzy pochylającego się nad niem młodzieńca, uśmiechnęło się.

— Czego ty tu przyszedłeś, Lejbele?—uśmiechając się też, zapytał Meir.

Dziecko namyslało się chwilę, potem odpowiedziało:

— Za tobą...

— Ojciec i matka nie wiedzą, gdzie ty się podziałeś...

— Ojciec już śpi i matka już spi...—zaczął Lejbele, przechylając głowę na obie strony i wciąż uśmiechając się.

— I kozy już śpią...—dodał po chwili, i na wspomnienie zapewne tych najlepszych towarzyszek swoich, zaśmiał się głośno.

Ale z ust Meira zniknął przelotny uśmiech, wywołany uśmiechem dziecka. Wyprostował się, westchnął i pochylając głowę, wymówił do siebie:

— Co mnie teraz robić?

Gołda obu dłońmi objęła swoją głowę, podniosła twarz i smutnymi oczyma patrzyła w gwieździste niebo. Po chwili szepnęła z cicha i nieśmiało:

— Ja *zejdy* spytam się! *Zejde* bardzo uczony jest... on całą biblią na pamięć umie.

— Spytaj się!—odpowiedział Meir.

Dziewczyna zwróciła się ku ciemnemu wnętrzu chaty i zawołała:

— *Zejde!* Co Jehowa czynić każe człowiekowi, od

którego lud odwraca twarz swoją za to, że on przeciw sercu swemu robić i mówić nie chce?

Na zapytanie to, Abel przerwał modlitwę odma-wianą półgłosem. Przywykł był snadź do częstych zapytań wnuczki i do udzielania na nie odpowiedzi, bo milczał, długo w rozważaniu słów jej, czy w przypominaniu sobie słów świętych, zatopiony. Potem, w ciemności, napelniającej wnętrze chaty, ozwał się stary, trzęsący się, lecz podniesiony nieco głos jego:

— Jehowa rzekł: uczyniłem cię, proroku, stróżem Izraela! Słuchaj mowy mojej i powtarzaj ją ludowi twemu. Jeżeli czynić to będziesz, nazwę cię wiernym sługą moim, lecz jeśli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!

Stary głos, wymawiający słowa te, umilkł, a Meir słuchał jeszcze z podniesioną, pobladłą twarzą i żarzącym się okiem. Po chwili wskazał palcem ku temu punktowi ciemnej izby, w którym znowu szemrać poczyniała modlitwa starca, i drżącym głosem, rzekł:

— To jest prawda! przez usta jego przemówił stary Zakon Mojżeszowy! prawdziwy nasz Święty Zakon!

W oczach Gołdy świeciły wielkie łzy, ale nie widział ich Meir. Zatopiony w myśli jakiejś, która objęła i rozplomieniła całą jego istotę, zwolna skinął głową ku młodej dziewczynie na znak pożegnania i odszedł.

Ona pozostała u otwartego okna i patrzyła za od-

chodzącym. Postawa i twarz jój były spokojne, ale po ciemnych, chudych licach, łzy płynęły jedna za drugą.

— Prorokowi Ozyaszowi głowę ścięli... Proroka Jeremiasza z Palestyny wygnali!...—szeptała.

Meir zaś, o kilkanaście kroków od małej chatki znajdując się, z podniesioną ku niebu bladą twarzą, wymówił:

— Rabbi Akiba za prawdę swoją w wielkich męczarniach umarł!

Oczy Gołdy szeroko otwierały się, aby mózgi jak najdłużej dojrzyć, pośród wieczornych ciemności, oddalającą się zwolna postać młodzieńca. Powoli spłotyły się jój ręce, a usta, zwilżone łzami, szepnęły:

— Jak Ruth powiedziała świekrze swojej, Noemi, tak niech ja powiem tobie, światłości duszy mojej: Bóg twój jest Bogiem moim, lud twój jest ludem moim, a smutek mój ja dam za towarzysza twemu smutkowi duszę moję rozwiode z ciałem razem z duszą twoją!...

W ten sposób dzieci te, przejęte nawskróś techniem starych dziejów i podań Izraela, które im całą mądrość świata zastępować musiały z nich czerpały dla siebie naukę, pociechy, miłość i łzy.

II.

Na świecie dniało zaledwie, ale w domowstwie Jankla Kamionkera, oprócz dzieci najmniejszych, nikt już nie spał. Wschodzący dzień ważnym miał być dla właściciela zajezdnego domu,—był to albowiem jeden z głównych w roku dni targowych, sprowadzających do miasteczka tłumy okolicznej ludności wszech stanów i stopni społecznych. To też dwie córki Jankla, dorosłe, silne, brzydkie i rozczochrane dziewczyny, z pomocą czternastoletniego brata, Mendla, którego gapiowata i złośliwa twarz, nosiła na sobie ślady długoletnich studyów, w hederze Reb Mosza odbywanych, uprzętały z lekka dwa paradne pokoje, przeznaczone dla najdostojniejszych gości,—przybrane w żółte, odwieczne, kulawe sprzęty, popielate od brudu firanki i w gliniane wazon, z których wyrastały ciemne jakieś karykatury roślin.

Obok paradnych apartamentów tych, znajdowała

się ogromna izba szynkowa, w której zazwyczaj, w dnie podobnych zjazdów, zgromadzały się, piły i tańczyły tłumy wieśniaków. W izbie tej dziewczka służąca próbowała czyścić, nigdy nie wyczyszczające się, długie, wąskie stoły, ustawione dokoła ław, otaczających ściany, i rozniecała skąpy ogień w głębokiem i czarném jak otechłań piecowisku; ranek bowiem chłodny był, a wielką, niską szynkownią napełniało powietrze stęchłe i wilgotne.

W mieszkaniu Jankla, w pierwszej od wejścia izbie, u dwóch okien, wychodzących na plac targowy, pusty jeszcze zupełnie i mgłą poranną okryty, stały dwie osoby: Jankiel i żona jego Jenta. Twarzami zwróceni ku oknom, odmawiali oni oboje długie modlitwy poranne.

Jankiel, w takiem już ubraniu, w jakim zwykle dnie całe przepędzał, więc w długim, wyszarzanym chałacie i grubej czarnej chustce, wkoło szyi okręconej, modlił się głośno:

— Błogosławionym bądź Boże, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mnie poganinem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mnie niewolnikiem! Błogosławionym bądź za to, żeś nie stworzył mnie kobietą!

Wymawiając to śpieszącemi się i drżącemi od żarliwości ustami, kołysał postać swą w tył i na przód namiętnemi ruchy. A w téjże chwili Jenta, w szafiorowym kaftanie bez rękawów i krótkiej spodnicy,

z pod której ukazywały się stopy w ciemnych pończochach i płytkiem obuwiu, składała przed oknem krótkie, szybkie pokłony, i znacznie ciszej od męża swego wymawiała:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, za to, żeś stworzył mnie tak, jak była wola Twoja.

Jankiel zarzucił sobie na piersi i plecy lekką płachtę płócienną, u której czterech końców wisiały białe sznurki, i mówił:

— Błogosławionym bądź, Boże, panie świata! któryś oświecił nas przykazaniami swojemi i dał nam zakon o *cycelach*!

Jenta z krótkim pokłonem zaszepotała głośniej:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który oswobadzasz więźniów i prostujesz tych, co zgięci są w łęki!

Jankiel przebierał palcami nici, wiszące u rozpoczętego przed nim na stołku *talesu*, mówiąc:

— Wielki jesteś, Boże, Panie świata! bardzo, wielkim! Oblokłeś się wielkością i światłością, jako płaszczem!

Jenta, kłaniając się wciąż, wdychać ciężko zaczęła:

— Błogosławionym bądź, Boże, Panie świata, — szepotała, — który dajesz siłę zmęczonemu, sen z oczu a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Wziął nakoniec Jankiel ze stołka *tales* swój, a owijając się płaszczem tym z białej, miękkiej materyi

o żałobnych szlakach, podniósł twarz wysoko i zawołał:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś oświecił nas przykazaniami swemi, i rozkazał nam oblekać się w *tales*!

Potém jeszcze, kołysząc się wciąż i poruszając ustami, włożył na głowę ramię ze sporym guzem, przylegającym do czoła, a inny podobny okręcając w koło palca swego, wymówił:

— Zaręcę cię z Sobą na wieki! zaręcę cię z Sobą w prawdzie, miłości i łasce! zaręcę cię z Sobą w wierze, przez którą poznasz Pana!

Tak byli zatopieni w modlitwach swych, że nie słyszeli rozlegających się za nimi kroków ciężkich a śpiesznych.

Meir Ezofowicz przeszedł szybko izbę, w której modlili się Jankiel i żona jego, i, minawszy izdebkę, napełnioną łózkami, skrzyniami i kołyskami, w której spało jeszcze dwoje małych dzieci, uchylił z cicha niskie drzwiczki, prowadzące do izdebki kantora.

Szaro tu jeszcze było od porannego świtania. W błękitnawym zmroku, który napełniał izdebkę, twarzą zwrócony ku oknu, stał Eliezer i modlił się także. Usłyszał on wejście przyjaciela, bo z razu głowę ku niemu zwrócił, modlitwy swój jednak nie przerwał. Owszem, wznosił nieco w górę ręce swe, i jakby wezwać chciał przybyłego do wspólnych modłów, głosił i wymówił:

— Boże Izraela! zagaś płomienny gniew Twój i zdejm niedolę z głowy ludu Twego!

Meir stanął o parę kroków za modlącym się przyjacielem, i odpowiedział słowami, któremi zazwyczaj lud odpowiada kantorowi, intonującemu modlitwy:

— Spójrz z niebios i ujrzyj, jakośmy stali się pośmiewiskiem i wzgardą między narodami; jako jaźnię wiedziono nas na męki, hańbę i zniszczenie:

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twojego; nie zapomnij-że i Ty o nas!—intonował znowu Eliezer.

W ten sposób odpowiadając sobie wzajem, dwaj młodzi ludzie odmawiali wspólnie jedną z najpiękniejszych modlitw, jakie kiedykolwiek z rozbolełych serc ludzkich podnosiły się do nieba. W modlitwie tej słowo każde jest łąką, a każda strofa akordem, opiewającym tragiczne dzieje wielkiego ludu.

— O! wyrzec się pomsty swój i okaż litość wybranemu Twemu! — mówił kantor.

— Obroń nas Panie i nie oddawaj nas w ręce okrutnych! Bo i pocóż mówić mają ludzie: Kędyż ich Bóg!

— Usłysz jęk nasz i nie oddaj nas w ręce wrogów, pragnących zgładzić imię nasze! Wspomnij, coś przysiągł przodkom naszym: Rozmnożę potomstwo wasze jako gwiazdy“, a teraz z wielkiego mnóstwa, pozostało już nas tak mało!

— Jednak nie zapomnieliśmy imienia Twego; nie zapomnij i Ty o nas!

— O, straży Izraelowa, chroń ostatki Izraela, ażeby nie zginął lud, wierzący w jedyne imię Twoje i mówiący: Pan nasz, Bóg jedyny!

Postawy dwóch przyjaciół były wśród modlitwy tak różne, jak różnemi były ich charaktery. Eliezer wznosił w górę drżące nieco ręce, błękitne oczy jego wilżyły się od miękkiego wzruszenia, a wiotka postać chwiała się mimowoli, zjęta jakby rozmarzeniem czy zachwytem. Meir stał prosto i nieruchomo, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z ognistą żrenicą, utkwioną w błękitnawe obłoki, i z głęboką zmarszczką na czole, która całej twarzy jego nadawała wyraz tłumionego gniewu i bólu. Obaj jednak modlili się całym sercem, z wiarą głęboką w to, że: Straż Izraelowa, Bóg jedyny, słyszy ich głosy. U końca modlitwy dopiero rozdziwiły się ich duchy. Eliezer intonował prośbę za izraelskich uczonych i mędrców.

— Podtrzymuj, Ojczy nasz niebieski, mędrców Izraela z żonami, dziećmi i uczniami ich, wszędzie, gdziekolwiek przebywają! Wołajcie: Amen!

Meir nie wymówił: Amen. Milczał chwilę, a gdy kantor milczał także, odpowiedzi czekając, Meir podniesionym nieco głosem i drżącymi usty mówić zaczął:

— Braci naszych z domu Izraelowego, poddanych ubóstwu i grzechom, gdziekolwiek przebywają, wywiedź z oków na swobodę, z ciemności na światłość, jak najprędzej! Wołajcie: Amen!

— Amen! — zawołał Eliezer i zwrócił się twarzą ku przyjacielowi.

Wyciągnęli ku sobie ręce i uścisnęli się wzajem.

— Eliezer! — rzekł Meir, — ty dziś nie tak wyglądasz, jak tydzień temu!

— I ty, Meirze, nie tak wyglądasz! — odpowiedział kantor.

— Nad naszemi głowami jeden tylko tydzień przepłynął, ale czasem jeden tydzień, to więcej niż dziesięć lat.

— Ja przez ten tydzień wiele przecierpiałem, — szepnął kantor.

Meir nie skarżył się.

— Eliezer! — rzekł, — daj mi *More Nebuchim* (*). Ja po tę książkę przyszedłem dziś do ciebie tak rano. Mnie téj książki bardzo teraz potrzeba!

Eliezer stał z pochyloną głową.

— U mnie téj książki niema już! — wyrzekł z cicha.

— A gdzież ona jest? — zapytał Meir.

— Książki téj, Meirze, z której głowy nasze piły światłość, a serca nadzieję, na całym świecie już niema! Ja ogień pożarł, a prochy jęj na śmiećisko wyrzucono...

— Eliezer! ty zląkłeś się i oddałeś ją na pożarcie ogniowi! — zawołał Meir.

*) Przewodnik błądzących, dzieło Mojżesza Majmonidesa.

— Moje ręce nie mogły-by popełnić takiego morderstwa; żeby nawet usta moje rozkazywały im uczyć to, one-by ust moich nie posłuchały. Ale tydzień temu przyszedł tu ojciec mój, i z wielkim gniewem rozkazał mi, ażebym oddał mu tę „przeklętą“ książkę, którą my razem w *Sabbat* czytaliśmy na łące. Ja milczałem. On krzychał: czy u ciebie jest ta książka?—powiedziałem: u mnie; ale kiedy znowu zapytał się mnie: gdzie ona jest? — ja milczałem. Biłby mnie, ale, wspominając na mój urząd w synagodze i na wielką miłość, którą lud ma dla głosu mojego, bardzo się lękał dotykać ciała mego. Zaczął tylko rozrzucać wszystko w izbie, a jak pościel rozrzucił, to i książkę znalazł. Chciał ją nieść do rabina, ale ja wtedy do nóg jego upadłem i prosiłem, żeby on tego nie robił, bo nie pozwolono-by mi za to śpiewać przed Panem, i odebrano-by mi tę miłość, którą lud ma dla mnie za śpiewanie moje. Ojciec sam tego zląkł się, bo on dumny bardzo z tego, że syn jego, taki młody, ma już wielki zaszczyt w synagodze, i on myśli, że za to, iż syn jego Panu śpiewa i ludowi słowa modlitwy podaje, Pan jemu powodzenie w interesach dawać będzie i grzechy mu jego przebaczy. Nie poniósł książki do rabina, ale ją sam w płomień rzucił, a gdy się już paliła, śmiał się i skakał z radości.

— I ty, Eliezer, patrzyłeś na to, i nic nie robiłeś? — drżącym głosem zapytał Meir.

— A co ja miałem zrobić? — odszepnął kantor.

— Jabyś książkę tę na piersi mojej położył.... jabyś ją ramionami memi do siebie przycisnął... jabyś powiedział ojcu: kiedy ty ją do ognia rzucać chcesz, rzuć-że razem i mnie!...

Słowa te Meir wymówił z iskrzącym się wzrokiem i płomieniem rumieńca na czole; Eliezer stał przed nim smutny, zawstydzony, z pochyłą twarzą i spuszczoneym wzrokiem.

— Ja nie mogłem, — szepnął, — ja lękałem się, żeby mię od ołtarza Pana nie odepchnięto i przed ludem za bezbożnego nie ogłoszono... ale patrz na mnie, Meir, i zobacz, czy pisanie mistrza naszego ja nie kochałem tak, jako duszy mojej... odkąd jego niema już w izdebce mojej, twarz moja pobladła, a powieki zaczerwieniły się od łez...

— O, łzy, łzy, łzy twoje! — zawołał Meir, siadając gwałtownie na stołku i czoło ujmując w obie dłonie; — o! te łzy, łzy, łzy twoje, Eliezer! — powtarzał szczególnym głosem, szyderskim niby, niby łzawym; — one przez wiekiistość płynąć mogą, a nie dobrego nie uczynią ani Tobie, ani mnie, ani Izrael-skemu ludowi! Eliezer! ja ciebie kocham, jak brata! ty żrenica w oku mojem! ale ja łez twoich nie lubię, i na powieki twoje, od nich zaczerwienione, patrzeć nie mogę! Eliezer! nie pokazuj ty mi nigdy łez swoich, ale pokaż ty mi choć raz ogień w oczach swoich, i siłę w tym głosie swoim, dla którego lud taką miłość czuje, że byłby jemu posłuszny, jak dzie-

cko matce. — Złorzeczając w ten sposób łzom przyjaciela, Meir sam oczy miał pełne łez. Nie chciał może ukazać ich, bo zakrył twarz dłońmi. Zakolysał też boleśnie postać swą i mówił dalej:

— Oj! oj! oj! Eliezer! co ty zrobiłeś, książkę tę ojcu swemu na spalenie dając! Zkąd my teraz drugie źródło mądrości dostaniemy! Gdzie my teraz głos jedynego mistrza naszego usłyszymy! Płomienie pożarły duszę dusz naszych, a prochy jęj na śmieci-sko wyrzucono... rozniosą je wiatry na wszystkie strony, a jeżeli dusza mistrza naszego zobaczy je lecące tak na zginienie, zasmuci się i rozgniewa bardzo i powie: oto drugi raz wykleli mię ludzie!

Mówiąc tak, nie mógł już utaić namiętnego płaczu, który go porywał. Łzy bujne i gęste, przenikając mu przez palce, spadały na chropowatą powierzchnię stołu. Nagle przestał wyrzekać i płakać. Umilkł i, nie zmieniając postawy, pogrążył się w ciemnym żalu czy rozmyślaniu.

Eliezer otworzył okno.

Na piaszczystym gruncie rynku snuły się tu i owdzie różowe i złotawe ścieżki. Były to pierwsze promienie słońca, które wschodzić zaczynało. Jedną ze świetlistych ścieżek tych postępował, ku domowstwu Kamionkerów zmierzając, wysoki, barczysty, bosonogi człowiek. Ciężkie stąpania jego ozwały się wkrótce w bliskości okna, przy którym siedzieli dwaj młodzi ludzie. Meir podniósł twarz, a chociaż głowa idącego

człowieka o rozczochranych włosach i nabrzmiałych ustach mignęła mu tylko przed oczyma, poznał, że był to Jochel.

W parę minut potem, tuż za otwartym oknem, przeszli szybko dwaj ludzie czarno ubrani. Jeden wysoki był, poważny i błogo uśmiechnięty, drugi niski, żwawy i ze zmarszczonym czołem pod gęstwiną popielatych od siwizny włosów. Był to: *Morejne* Kalman i Abram Ezofowicz.

Szli tu snadź nie przez plac, na którym widać ich wprzód nie było, ale drogą jakąś uboczną, ukrytą za ścianami i podwórzami domowstw, bo ukazali się nagle z kąsisi, z za węgla niskiego zajezdnego domu. Z chodu ich, milczenia i z samej twarzy Abrama, schmurzonej i niespokojnej, znać było, że życzyli sobie gorąco, aby nikt ich tu przybywających nie widział. Przebywszy elastyczny od nagromadzonego śmiecia grunt, który oddzielał okna domowstwa od podjazdowych słupów, zniknęli, jak przed chwilą Jochel, w sieni głębokiej, mrocznej jeszcze zupełnie a będącej zarazem stajnią.

Eliezer oderwał w tej chwili wzrok od nabożnej książki, którą czytać zaczął i, spojrzawszy na Meira, zawołał:

— Meir! dlaczego twarz twoja zrobiła się taką srogą? Ja u ciebie takiej srogięj twarzy nie widziałem nigdy!

Mogło się zdawać, że Meir nie usłyszał nawet wykrzyku przyjaciela. Ze wzrokiem utkwionym w ziemię, szeptał do siebie:

— Stryj mój Abram! Stryj mój Abram! biada domowi naszemu! wstyd i hańba domowi Ezofowiczów!

W izbie przyległej, cienkimi, niskimi drzwiami oddzielonej od izdebki kantora, odezwały się teraz głośne i tłumne szmery. Najpiérw Jankiel krzyknął tam na żonę, aby wyniosła i wyprowadziła dzieci; potem załopotalo po podłodze przydeptane, płytkie obuwie Jenty; dzieci rozbudzone zapłakały, a gdy coraz przeraźliwszy wrzask oddalał się w głąb domu, tuż za ścianą ozwały się stapania kilku ludzi, śpieszne i głośne posuwanie drewnianych stołków, i nakoniec stłumiony, lecz dość głośny, bo gwałtowny, szept, rozpoczynając się rozmowy.

Meir wstał nagle ze stołka.

— Eliezer! — rzekł śpiesznie — idźmy ztąd!

— Dlaczego my mamy ztąd iść? — zapytał kantor, odrywając się znowu od nabożnego czytania swego.

— Bo ściana ta cienką jest... — zaczął Meir.

Nie dokończył i umilkł nagle, bo za ścianą dał się słyszeć gwałtowny wykrzyk stryja jego Abrama:

— Ja o tém nie wiedziałem! ty, Janklu, nie mi o tém nie powiedziałeś.

Jednocześnie zabrzmiał zółciowy, przykry śmiech Jankla.

— Bo ja mam rozum w głowie! — zawołał — ja wiedziałem, że u ciebie, Abramie, zgoda na interes taki trudna będzie! Ale, jak ja sam interes ten załatwię...

— Szaa! — syknął Kalman, a dwa głosy, które podnosiły się były przed chwilą, zaczęły znowu szeptać.

— Eliezer! idź ty ztąd! — zawołał Meir.

Kantor nie rozumiał nic.

— Eliezer! — czy ty chcesz czcić ojca swego, jak przykazaném jest na górze Synai?

Syn Kamionkera westchnął.

— Ja, płacząc, proszę Jehowy, abym mógł czcić ojca mego...

Meir rękę jego pochwycił.

— Nu, to idź ztąd! idź ztąd! bo jak zostaniesz tu jeszcze trochę, nigdy już... nigdy... nigdy czcić ojca twego nie będziesz...

Młody człowiek mówił to z takiém uniesieniem, że Eliezer zbladł i zmieszał się bardzo.

— A jak ja pójdę teraz ztąd? — szepnął — jeżeli oni o wielkim sekrecie rozmawiają...

Tu znowu zabrzmiał za ścianą głośniejszy nieco wykrzyk Jankla:

— *Chajet* Szmul, nędzarz, i furman Jochel, złodzieje... oni obaj grube pieniądze wezmą...

— A chłopci co wódkę wieźli? — zawołał Abram. Jankiel zaśmiał się.

— Oni u moich szynkarzy, z ciałami, duszami i dobytkami swemi, w kieszeniach siedzą...

— Szaa! — syknął znowu flegmatyczniejszy i ostrożniejszy od towarzyszy swych Kalman.

Tym razem Eliezer drżać już począł. Przeblysk domysłu jakiegoś w głowie jego zaświtał.

— Meir! Meir! — zaszeptał z niezwykłą sobie gwałtownością — ja chcę ztąd iść, ale tamtędy, koło nich, lękam się... bo oni domysla się, że ja z ich sekretu dowiedziałem się czegoś...

Meir jedną ręką odsunął stół, przy oknie stojący, drugą popchnął przyjaciela ku otwartemu oknu.

W mgnieniu oka Eliezer zniknął z izdebki. Wtedy Meir wyprostował się i rzekł do siebie:

— Nu! teraz ja im pokażę się! niech wiedzą, że tu były uszy, które słyszeć mogły!

Mówiąc to, otworzył niskie drzwiczki i wszedł do sąsiedniej izby.

Tu, pod ścianą, na trzech blisko ku sobie przysuniętych stołkach, siedzieli trzej ludzie. Rozdzielał ich mały stół z prostego białego drzewa. Jankiel i Abram wspierali się na nim łokciami i nisko pochylali ku sobie głowy. Kalman siedział wyprostowany, wspaniały, błyszczący od okrywającej go sajety, jak zwykle. Jankiel miał twarz płonącą od ceglastych, gorączkowych rumieńców, Abram był blady; oczy pierwszego połyskiwały ostro, cheiwie, złośliwie, wzrok drugiego spuszczał się ku ziemi, jakby w trosce i srogięj niepewności: Ale plastycznego spokoju Kalmana nic zachwiać nie mogło. Policzki jego rumieniły się zwykłą czerstwością, a na pulchnych warzawach spoczywał wiekuisty miodowy uśmiech doskonałego zadowolenia.

Gdy Meir otwierał drzwiczki, do uszu jego doszły jeszcze wyraźnie słowa stryja jego Abrama.

— A jeżeli cały dwór spalisz razem z *podwalem*? ¹⁾.

— Aj! aj! aj! — odszerpnął szyderczo Kamionker — wielka bieda! Jeden Edomita więcej żebrakiem się zrobi!

Tu mówiący umilkł i zatrzęsł się cały od trwogi, czy gniewu. Zobaczył otwierające się drzwiczki i wchodzącego przez nie Meira. Zobaczyli go też dwaj towarzysze jego. Uśmiechnięte usta Kalmana otworzyły się szeroko; czoło Abrama zmarszczyło się groźnie.

Meir widział wrażenie, które sprawiło wejście jego. Przystąpiwszy próg, zatrzymał się na chwilę i wzrok utkwiał w twarzy stryja swego. Wzrok to był przenikliwy, śmiały, ale zarazem taki jakiś pokorny, smutny i błagalny, że, spotkawszy się z nim, oczy Abrama niepokojnie zamigotały i spuściły się ku ziemi. Głowa jego, szarą siwizną okryta, pochyliła się także, a ręce opadły na kolana i drżać zaczęły.

Meir z wolna przeszedł izbę i wnet znalazł się w innej, w której nikogo nie było, oprócz stojącego pomiędzy ścianą a piecem Jochela. Stał on tam w wyczekującej jakby postawie, plecami łachmania-stego spencera wycierał nędzną pobiałą ścianę, a bezmyślnymi oczyma spoglądał na bosa swe stopy.

¹⁾ *Podwał* — miejscowa nazwa składu napojów spirytualnych, wyrobionych w gorzelni.

Za odchodzącym ozwał się wykrzyk Jankla.

— *A ferszoltener!* (przeklęty).

Abram i Kalman milczeli długo.

— Dlaczego ty, Janklu, w takie złe miejsce nas przyprowadziłeś? — flegmatycznie zapytał potem Kalman.

— Dlaczego ty nas nie ostrzegłeś, że za temi drzwiami może kto być i słyszeć? — gwałtownie zaszeptał Abram.

Jankiel tłumaczył się, że za drzwiami temi była izdebka syna jego, kantora, który dla interesów zupełnie jest obojętny, wcale ich nie rozumie, a czytając zawsze i modląc się, nic wkoło siebie nie słyszy.

— Zkąd ja mogłem wiedzieć, że ten przeklęty dzieciak tam był? któregoś on wszedł? chyba przez okno, jak złodziej?

— Nu, — rzekł po chwili, namyślając się i ośmielając — a co to szkodzi, że on słyszał? On Izraelitą jest! naszym. On pary z ust przeciwko swoich wypuścić nie będzie śmiał!

— On może śmieć; — zauważył Kalman. — Ale my na niego oko mieć będziemy, i jeżeli jego usta choć jedno słowo z siebie wypuszczą, zegnjemy go w lęk...

Abram wstał.

— Róbcie, co chcecie — rzekł porywczo — ja do tego interesu należeć nie chcę...

Jankiel rzucił na niego zjadliwe spojrzenie.

— Nu, — rzekł — i owszem. Dla mnie i dla Kalmana zarobek będzie większy... bo czyje ryzyko, tego i korzyść powinna być...

Abram usiadł. Ciężka walka malowała się na twarzy jego wrażliwej, nerwowej, zbrudzonej namiętnościami w różne kierunki.

Jankiel, który trzymał w ręku kawałek kredy, zaczął pisać nią na małej czarnej tabliczce.

— Ośm tysięcy wiader — mówił — po cztery ruble wiadro, 32,000 rubli. Trzy w 32-ch tysiącach... 10666 rubli, 66 kop. i $\frac{1}{3}$... Po 600 rubli od każdego wezmą Jochel i Szmul, nu! dla nas będzie po 10,066 rubli, 66 kop. i $\frac{1}{3}$.

Abram wstał znowu. Nic jednak nie mówił; — patrzył w ziemię i w obu rękach miał chustkę. Po chwili, nie podnosząc oczu, zapytał:

— A kiedy to nastąpi?

— To bardzo prędko nastąpi! — odpowiedział Jankiel.

Abram, nic już więcej nie mówiąc i nie żegnając towarzyszy, szybkim krokiem wyszedł z izby.

Śród obszernego placu zaczynał się ruch, gwar i turkot przybywających na wielki targ wozów i ludzi. Ludność całego miasteczka stała już na nogach, gotując się do robienia w dniu tym licznych i najróżnorodniejszych interesów. W domu Ezofowiczów nikt też już nie spał; wstano tam także wcześniej, niż zwykle.

W stronie domu, którą zamieszkiwali z rodzinami swemi Rafał i Ber, słychać było kilka głosów męskich, rozmawiających ze sobą żywo, głośno i wesoło. Wymieniano tam różne przedmioty handlu, i przy każdym z nich stawiano liczne szeregi cyfr. W rozmowę tę mieszało się od czasu do czasu opowiadanie jakieś, śpiewnym głosem wypowiedane, a po niém następowały wykrzyki zdziwienia, tłumne zapytania, albo wesołe śmiechy. Czuć tu było pokój i zadowolenie ludzi, pracujących gorliwie około dobrobytu swego i rodzin swych, a troskę o sprawy życiowe osładzających sobie wzajemną otwartością, ufnością i przyjaźnią.

W dużej, widnój bawialnój izbie, pachnącej jedliną, której gałązkami dnia tego posypano podłogę, staranniej jeszcze niż zwykle wymyta i wymiecioną, na stariej żółtej kanapie, przed stołem, zasłanym barwistą serwetą, siedział Saul w odświętném ubraniu z błyszczącój sajety, w axamitnój czapeczce na srebrzystych włosach i zwolna, szczerosrebrną łyżeczką, popijał woniejącą, wyborną herbatę. Ogromny, błyszczący jak złoto, samowar, nie stał poranku tego jak zwykle na szafie, z której przeglądały dostatnie naczynia kuchenne i stołowe, lecz żarzył się węglami i buchał parą w sąsiedniej izbie wielkiej, czystej, ławami i stołami dokoła ostawioną, a jaskrawo oświetloną szerokim płomieniem ogniska, roznieconym w wielkim kuchennym piecu. Nastawienie ogromnego sa-

mowaru tego, szerokość kuchennego ogniska, żwawe krzątanie się około niego niewiast i dość licznój służby domowój, a także odświętne ubranie Saula i niepokalana białość firanek, ozdabiających okna bawialnój izby, znamionowały, że w domowstwie bogatjej rodziny kupieckiej spodziewano się dnia tego licznych gości, i na przyjęcie ich czyniono wesołe i staranne przygotowania.

Teraz przecież ranek był wczesny jeszcze i stary Saul siedział sam jeden, lubując się widocznie atmosferą ładu i dostatku, która go otaczała, jak też odgłosami rozmów i krzotań się, napelniających od szczytu do podstaw dom obszerne i ludny. Była to jedna z chwil, dość częstych zresztą, które poważnemu patriarsze starożytnego rodu w całej pełni uczuć dawały wszystkie łaski i dostojeństwa, obficie zlane przez Jehowę na błogosławioną starość jego.

Zaledwie jednak otworzyły się drzwi od sieni, a przez nie wszedł do izby Meir, pierzchnęła błogość, napelniająca przygasłe źrenice Saula. Widok wnuka przywiódł mu snadź na pamięć bolący cień jakiś, o którym, wśród wdzięcznego rozpamiętywania kwiatów żywota swego, zapomniał był przed chwilą. Piérwsze też spojrzenie na młodego człowieka sprawiało wrażenie fałszywój, a raczej smutnój i burzliwój nuty, wmieszanój w akord harmonijny i wesoły. Troska i niepokój malowały się na pobladłej twarzy jego, a w oczach płonął ogień wzburzonych uczuć

i myśli. Wszedł do izby śmiało i prędko, ale gdy spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem dziada, pochylił twarz i zwolnił nieco kroku. Niegdyś zbliżał się on do dobroczyńcy i ojca swego z ufnością i pieszczotą ulubionego dziecka. Teraz jednak czuł, że pomiędzy nim a starcem tym, który wypiastrzał dzieciństwo i młodość jego, wznosiła się coraz wyższa i twardsza zaporą. Wiedział też, że zaporę tę wznosił sam słowami i postępami swemi; tęskno mu było za dawną czułością przygasłych oczu tych, które teraz patrzyły nań surowo i gniewnie; to też zbliżył się do dziada ze spuszczoną smutnie powieką, stanął przed nim w nieśmiałej postawie i proszącym, pokornym prawie głosem, rzekł:

— *Zejde!* ja-bym chciał z tobą o jednej ważnej rzeczy pomówić!

Na widok nieśmiałości tej, z jaką ulubione mu niegdyś dziecko zbliżało się do niego, Saul mniej surowym stał się, a więcej smutnym.

— Mów! — odpowiedział krótko, lecz łagodnie.

— *Zejde!* czy pozwolisz mi zamknąć drzwi i okno, aby nikt rozmowy naszej posłyszeć nie mógł.

— Zamknij! — odpowiedział Saul i z pewnym niepokojem oczekiwał dalszej rozmowy z wnukiem.

Meir zamknął drzwi i okno, a blisko dziada stanawszy, zaczął:

— *Zejde!* ja wiem, że słowami mojemu przyniosę tobie znowu zmartwienie i kłopot. Ale do kogóż udać

się mam? Ty dla mnie byłeś ojcem i dobroczyńcą; do ciebie naprzód ciągnie mnie serce w każdej zgryzocie mojej...

Głos jego zadrżał. Widać mu było z twarzy, że głęboka czułość serca ciągnęła go do kolan i w ramiona starca tego, który, zmięczony widocznie, z rozbłysłem nagle okiem, odpowiedział:

— Mów wszystko! chociaż mam przyczyny gniewać się na ciebie, bo ty nie jesteś takim, jakim pragnie widzieć cię dusza moja, lecz nie zapomnę nigdy o tém, że jesteś synem syna mego, który prędko bardzo z oczu moich zniknął... Jeżeli ty kłopot jaki masz, ja go z głowy twojej zdejmę, a jeżeli tobie kto krzywdę jaką wyrządził, ja stanę naprzeciw krzywdziciela twego i ukarzę go za ciebie...

Na Meira słowa te wywarły wpływ ośmielający i pocieszający.

— *Zejde!* — rzekł śmielszym już głosem — na głowie mojej, dzięki tobie, kłopotu żadnego niema i mnie nikt krzywdy żadnej nie wyrządził. Ale ja o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się i nie wiem sam, co z nim robić. Zataić go w sobie ja nie mogę. Więc pomyślałem, że o sekrecie tym tobie, *zejde*, powiem, żebyś ty, z siwemi włosami swemi i powagą swoją, którą nad duszami ludzkiemi masz, grzechowi i wstyadowi na przeszkodzie stanął...

Teraz już Saul wpatrywał się w twarz wnuka na-pół z ciekawością, na-pół z niezadowoleniem.

— Nu! — rzekł — lepiej daleko tym ludziom jest, którzy żadnych sekretów strasznych nie przenikają i nigdy o nich ust swoich nie otwierają. Ale ja boję się, że kiedy ty nie otworzysz serca swego przede mną, otworzysz je przed innymi ludźmi, i znowu z tego nieprzyjemności jakie wypadną... Mów! jaki to jest ten straszny sekret?

Meir odpowiedział:

— Sekret ten jest taki: Jankiel Kamionkier trzyma w posesyi od Kamiońskiego dziedzica wielką gorzelnię jego... On w tej gorzelni wypędził 6,000 wiader wódki, ale nie sprzedawał jej przez całe lato. On jej nie sprzedawał dla tego, że cena niska była. Teraz cena podskoczyła w górę i on ją sprzedać chce, ale podatku, który od niej rząd bierze, zapłacić nie chce...

— Mów ciszej! — przerwał nagle Saul, w którego twarzy zdradzał się wzrastający niepokój.

Meir głos zniżył do szeptu prawie:

— Żeby podatku nie zapłacić, Kamionker wódkę tę wykraść ze dworu i przeszłej nocy przewiózł ją pod Karaimskie wzgórze, gdzie ją szynkarze z różnych stron targowali i rozkupywali... Ale on pomyślał sobie: a co będzie, jak urzędnik przyjedzie rewidować *podwał* i wódki nie znajdzie?... Wielka będzie odpowiedzialność zato i wielki sąd... Jak on tak pomyślał, to dwóch ludzi najął... *Zejde!* on dwóch nędzarzy pieniędzmi skusił...

— Szal! — zawołał nagle przyciszonym głosem Saul. — Milcz i niech żadne słowo więcej z ust twoich nie wyjdzie! Już ja końca mowy twojej domyśliłem się!

Ręce starca drżały, siwe brwi jego zsunęły się i zjeżyły.

Meir umilkł i pełnemi niespokojnego oczekiwania oczyma patrzył na dziada.

Saul milczał długo, potem, nie podnosząc spuszczonej powiek, niepewnym głosem wymówił:

— Twoje usta kłamstwo wyrzekły. To nie może być!

— *Zejde!* — zaszeptał Meir — to prawda jest taka, jak to słońce, co dziś na niebie świeci! A dla czego to nie może być! Czy ty, *zejde*, nie słyszałeś, że wypadki takie przytrafiały się już zaprzeszłego roku i przeszłego roku w różnych stronach... Takie wypadki, *zejde*, przytrafiają się coraz częściej, a od nich każdemu prawemu Izraelicie serce ściska się od boleści, a czoło pali się od wstydu!

— Zkąd ty to wszystko możesz wiedzieć? Zkąd ty to wszystko tak dobrze możesz rozumieć? ja tobie nie wierzę!

— Zkąd ja to wszystko mogę wiedzieć i rozumieć! *Zejde!* ja w twoim domu chowałem się. A do twego domu wielu zawsze ludzi przychodziło i przyjeżdżało: Żydów i chrześcijan, kupców i panów, bogatych i biednych... Oni z tobą o innych rozmawiali

a ja słuchałem i rozumiałem. Czemuż ja teraz nie mam rozumieć?...

Saul milczał znowu. Najsprzeczniesze uczucia malowały się na twarzy jego, głęboko zaniepokojonej. Nagle gniew na wnuka wezbrał mu w piersi.

— Ty zanadto rozumieś! — zawołał — ty zanadto ciekawy jesteś! Dusza twoja, pełna niespokojności, niespokojność wszędzie roznosi! Ty mnie spokój mojej starości trujesz! Ja dziś szczęśliwy byłem, dopóki ciebie oczy moje nie zobaczyły! Jak ty wszedłeś, weszła z tobą zgryzota!

Meir pochylił głowę.

— *Zejde!* — rzekł smutnie — zaco ty mnie łajesz? Ja nie ze swoim interesem do ciebie przyszedłem...

— A naco tobie do cudzych interesów mieszać się — z wahaniem się w głosie wyrzekł znowu starzec.

— To nie jest cudzy interes! — żywiej już odparł Meir, — Kamionker Izraelitą jest... on nasz... a naco on brzydkimi postępками swemi duszę Izraela psuje i sławę jego przed światem plami? *Zejde!* i dla ciebie interes ten cudzym nie jest! Syn twój, Abram, do interesu tego należy!

Saul podniósł się nagle z kanapy i znowu na nią opadł.

— Syn mój Abram! — zawołał.

Potém bystrém, przenikliwém spojrzeniem przeszyl twarz Meira.

— Ty nie kłamiesz?

— Ja widziałem i słyszałem... — szepnął Meir.

Saul namyslał się długą chwilę.

— Nul! — rzekł z wolna — ty masz prawo skarżyć się przede mną na stryja swego! On brat twego ojca i z jego postępuku spaść może wielkie nieszczęście i wielka hańba na ciebie i cały ród nasz. W rodzie Ezofowiczów takich paskudnych rzeczy nigdy nie było i ja synowi memu zabronię do interesu tego należeć...

— *Zejde!* powiedz ty także Kamionkerowi i Kalmanowi, żeby oni tego nie robili!

— Ty głupi jesteś! — rzekł Saul — czy Kamionker i Kalman są synami mymi, albo mężami moich córek? Oni mię nie posłuchają!

— Jeżeli oni nie posłuchają — zawołał Meir — to ty, *zejde*, oskarż ich przed dziedzicem Kamiońskim... oskarż ich przed sądem!

Saul podniósł na wnuka wzrok nagle roziskrzony.

— Twoje rady głupie są! — zawołał z wybuchem — twoje serce napojone żółcią i piołunem przeciw narodowi własnemu! Co to! ty z dziada swego donosiciela chcesz zrobić! ty chcesz, żeby dziad twój głowy braci swych, Izraelitów, niebezpieczeństwu poddawał!

Chciał jeszcze coś mówić; ale w téj chwili otworzyły się drzwi i do izby weszło kilku Izraelitów, przybyłych z sąsiedztwa na targ Szybowski. Byli to

poważni i zamożni kupcy lub dzierżawcy sąsiednich dóbr wiejskich. Saul podniósł się nieco na ich powitanie, ale oni szybko ku niemu przystąpili, za ręce go ściskali i wraz z uprzejmymi pozdrowieniami oświadczyli, iż celem przybycia ich do Szybowa były nie tyle interesa, które tu dnia tego sprawić mieli, co chęć odwiedzenia mądrego i wysoce przez nich szanowanego Reba Saula. Reb Saul na grzeczności gości wzajemnymi grzecznościami odpowiadał; poważnym gościem wskazał im krzesła, dokoła stołu stojące; a sam, nie opuszczając poczesnego miejsca swego na żółtej kanapie, w ręce chude i pomarszczone głośno klasnął. Hasło to wywołało z sąsiedniej izby hożą dziewczkę służącą, która na srebrnej tacy kilka szklanek herbaty wniosła i przed gośćmi je ustawiła. Oni za gościnność przyjęcia sędziwemu gospodarzowi z uśmiechami i ukłonami dziękowali; herbaty, której mocna woń rozeszła się po izbie, z wyraźną przyjemnością zakosztowali, i wnet o interesach swych handlowych i sprawach familijnych żywe opowiadania i rozmowy wieść zaczęli.

Meir, ujrawszy, że daremnie oczekiwał-by teraz na możność dalszego rozmawiania z dziadem, usunął się do wielkiej kuchennej izby, w której wrzało jak w garnku. Tu także znajdowali się goście, całkiem tylko nie podobni do tych, których w bawialni ugaskał naczelnik domu.

Na ławach, u ścian stojących, siedziało kilkunastu

mężczyzn w ubogich znoszonych ubraniach, a córka Saula, Sara, i synowa jego, żona Rafała, uprzejmie z nimi rozmawiając, częstowały ich czarkami miodu, wielkimi białymi chałami i dymiącym się w misach krupnikiem. Siedzący na ławach ludzie odpowiadali uprzejmym gospodyniom domu wesoło, ale trochę nieśmiało, a za ofiarowane sobie pożywienie pokornie bardzo dziękowali. Pochodzili oni bowiem z ubogiej klasy okolicznych pachciarzy, szynkarzy, faktorów, przekupniów trudniących się drobnym handlem. Ciemne twarze ich, chude ciała i zgrubiałe ręce objawiały życie ubóstwa, troski i ciężkiej walki o byt. Najdrobniejszy pieniądz, wyłożony za domem na konieczne pożywienie, byłby dla nich wydatkiem i uszczerbkiem znacznym; przybывая też na targi do Szybowa, dążyli oni wprost ku domowstwu Ezofowiczów, którego drzwi szeroko i gościnnie otwierały się przed nimi zawsze, a w którym ugaszczanie ich chętnie i dostatnie zwyczajem było, trwającym już parę setek lat.

Dwie kobiety więc, w jedwabnych spodnicach, w złotych kolecach i kwiecistych czépcach, z uśmiechami na rumianych ustach, krzątały się żwawo pomiędzy piecem kuchennym, z którego buchał jaskrawy blask ognia, a otwartymi oknami, u których obsiadali ławy pokorni i wdzięczni ich goście. Ale i za oknami jeszcze ukazywały się tłumnie nagromadzone twarze i wyciągające się ręce. Tam już był zbiór braci

najuboższych, na targ przybyłych, nie w celu handlu i zarobków, ale dla obudzenia miłosierdzia szczęśliwych swych współwyznawców. Z łachmanów, które ich okrywały, poznać można było żebraków, różnemi kolejami losu w ostateczne ubóstwo wtrąconych, a których miłosierdzie publiczne, jakkolwiek w gminie Szybowskiéj dość szeroko rozwinięte, ogarnąć sobą nie zdołało. Ludziom tym dziewczki służące rozdawały przez okno chleb, zsiadłe mleko i drobną miedzianą monetę. Gwar dziękczyniń ich i błogosławieństw wnikał do izby i błogo snadź rozlegał się w sercach dwóch gospodarujących kobiet, bo uśmiechały się one coraz weseléj i dumniéj i z głębokich kieszeni swych wyjmowały coraz nowe garście miedzianych monet.

Ale i w innéj stronie izby kuchennéj wesołe i gwarne odbywały się sceny. Gromadka dziatwy domowéj, z kilkunastu chłopców i dziewcząt najróżniejszego wieku złożona, skupiła się tam pod ścianą, w odświętnych ubiorach i z odświętnemi łakociami przy ustach. Starsi chłopcy, milcząc, przypatrywali się przybyłym i przybywającym wciąż obcym ludziom i ciekawie rozmów ich słuchali; dziewczynki zdawały się przeciwnie nic nie widzieć dokoła siebie, tak zajęte były barwnemi spodniczkami, w które je przybrano, sznurami paciorek, które otaczały ich szyje, i długimi wstęgami, któremi związano im płowe lub czarne warkocze. Działwa najmłodsza pęzłała po

ziemi, wrzaskliwie śmiejąc się, albo płacząc, a wszystko to żarliwie zajaśniało złociste obwarzanki, albo wielkie kawały chleba, błyszczące grubą warstwą miodu. Tuż obok gromadki téj pra- i pra-prawnuików, siedziała na ławie prababka Frejda. Dnie, dzisiejszemu podobne, gwarem swym, tłumem napływających do domu obcych twarzy, wstrząsały drżącym jéj umysłem i budziły w nim wspomnienia dawnej przeszłości. W dniach takich przed pamięcią pra-staréj kobiety migotały obrazy własnej przeszłości jéj, obrazy dni, w których, szczęśliwą małżonką ukochanego Hersza swego będąc, tradycye i zwyczaje domu jego przyjęła za swoje i do utrzymania ich w całej świetności przykładła się całą siłą serca swego, głowy i rąk. To téż i dziś złotawe źrenice jéj przytomniéj niż zwykle spoglądały dokoła, a na wargach zaledwie widzialnych rozkwitał uśmiech doskonałego zadowolenia. Wnuczki obudziły ją wcześniéj niż zwykle, podniosły z łoża, przyoblokły w najkosztowniejszą szatę, a teraz, przed wprowadzeniem jéj do bawialni, gdzie zwykle miejsce swe u okna na najparadniejszym w domu fotelu zająć miała, strój jéj uzupełniały. Czarnooka Lijka spinała zawój prababki dyamentową gwiazdą; jedna z młodszych siostr jéj wkładała w jéj uszy olbrzymie kolce z hrylantów; druga owijała pomarszczoną jéj szyję sznurami pereł i ciężki złoty łańcuch układała na piersi, aby jak najpiękniejsze tworzył wzory pośród śnieżnéj bieli fartu-

cha. Czyniąc to wszystko, uśmiechały się młode dziewczyny, odchyłały nieco głowy dla lepszego przyjrzenia się własnemu dziełu, niekiedy spoglądały figlarnie w złotawe źrenice prababki, albo głośnie całusy składały na pomarszczoném jéj czole. Pachciarze, arendarze, ubodzy przekupnie spoglądali na grupę tę, złożoną ze stuletniej rodzicielki rodu i strojących ją hożych dziewcząt; kołysali głowami w podziwie nad wielką starością jéj, bogactwem jéj klejnotów i otaczającą ją miłością; z ust ich wychodziły cmokania i wykrzyki zachwytu, a oczy pełne były rozrzewnienia i czci.

Druga zato strona domu, ta, w której przed kwadransem rozlegały się żywe i wesołe rozmowy dojrziałych członków rodziny, pustą teraz była i cichą zupełnie.

Meir przeszedł wązki kurytarz i, otworzywszy drzwi mieszkania stryja swego, Rafała, spotkał się w progu z wybiegającym ztamtąd młodym swym bratem stryjecznym i przyjacielem, Chaimem. Dziecinna jeszcze prawie twarz Chaima, ocieniona kędzierzawymi złotawymi włosy, ożywioną była i rozpromienioną niezmiernie.

— Gdzie stryj Rafał? — zapytał go śpiesznie Meir.

— Gdzie on ma być? — z nadzwyczajnym pośpiechem odpowiedział młody chłopak. — Poszedł z Berem woły na rynku kupować!

— A ty, Chaim, gdzie idziesz?

Chłopak zapytania tego nie usłyszał nawet. Niecierpliwie usunął z drogi brata i, wkładając na głowę czapeczkę, z wesołym nuceniem wybiegł z domu. Jego także rozweselił gwar i ruch dnia tego i nęciły ku sobie tłumne widowiska i różnorodne targi miejskiego rynku.

Meir wyszedł na ganek i rozejrzał się po obszernym placu. Targ rozpoczynał się zaledwie, ale obok kilkudziesięciu wozów, które zebrały się po samym jego środku, zobaczył on Bera, zawzięcie już rozprawiającego z gromadką wieśniaków, u której targował kilka rosłych, u wozów stojących, wołów. Rafała Meir dostrzegł także. Stał on na ganku jednego z domowstw, otaczających rynek, wraz z kilku poważnymi kupcami, przybyłymi z sąsiedztwa, i toczył z nimi ożywioną rozmowę, której treść poznać można było po giestach żywych, jakimi poruszały się ręce ich, liczące jakby na palcach przewidywane na dziś wydatki i zyski.

Zbliżać się do dwóch tych ludzi, najpoważniejszych po Saulu w rodzinie, i chcieć z nimi rozpocząć rozmowę, nietyczącą się bezpośrednio spraw dnia dzisiejszego, daremném-by było. Meir wiedział o tém, daremnych prób nie czynił. Świat cały, tak pstro i ruchliwie otaczający go dnia tego, widział on jakby przez mgłę lub sen. Dziwném wydawało mu

się, że nikt z pomiędzy ludzi tylu nie myślał o tém, o czém on nie mógł przestać myśleć, choć-by chciał.

— Co mi do tego? — mówił sobie w duchu — co ja mogę? — dodawał i mętym wzrokiem spoglądał dokoła, a ktokolwiek by wtedy spojrział na niego, rzec-by mógł, iż znudzonym był, albo zmęczonym. Lecz w głębi piersi wrzało mu i kipiało. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć swych, ale czuł, że czekać w milczeniu pory, w której wszystko w miasteczku uspokoi się i ucichnie, a za miasteczkiem błysnie na niebie ognista łuna pożaru, nie podobna mu będzie.

— Co ten człowiek zawinił nam? — mówił do siebie.

Myślał o dziedzicu Kamiońskim.

Wzrok jego niepewny, zwątpiały, błędząc dokoła rynku, padł na ganek, przyozdabiający dom kupca Witebskiego. Na rynku tym słał właściciel domu, w rozwartym z przodu półkrótkim surducie, z błyszczącym łańcuchem na atłasowej kamizelce. Palił on cygaro i spoglądał na rozpoczynający się wśród rynku ruch targowy, ze spokojną miną człowieka, który w ruchu tym żadnego udziału brać nie zamierza. W istocie, handlując przeważnie drzewem, które w ogromnych ilościach skupywał u właścicieli kilku powiatów, Witebski spraw żadnych na targu Szybowskiem mieć nie mógł. Zbyt wytwornym był zresztą i przekonany o ważności prowadzonych przez się

interesów, aby w pstry motłoch ten, zajęty detaliczną sprzedażą zboża i bydła, mieszać się chciał.

Meir zbiegł ze wschodów ganku i szybko zmierzał ku Witebskiemu, który, ujrawszy go, uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął do niego szeroko roztwartą rękę.

— Aj! aj! — zawołał — rzadki gość! miły gość! Nu! ja wiem, że ty do tego czasu przyjść tu nie mogłeś, ażeby rodzicom narzeczonej swojej pokłon oddać! Srogi *zejde* w Bet-Ha-Midraszu siedzieć kazać i Talmud czytać! Nu! nic to nie znaczy! *Zejde* dobry jest, kochany staruszek! On nie ze złego serca ciebie ukarał i ty nie ze złego serca zgrzeszył! Zwyczajnie młody... poswawolił trochę... Nu! chodź do naszego salonu, a ja zaraz swojej żonie powiem, żeby przyszła i przyjmowała ciebie jak kochanego zięcia!

W ten sposób przemawiając, światowy kupiec uśmiechał się wesoło, poglądał na przyszłego zięcia swego przyjaźnie, i za rękę trzymając, wiódł go ze sobą do salonu. Tam przed zieloną rypsovą kanapą zatrzymując się, figlarnie spojrział mu w oczy i dodał:

— Że ty, Meirze, skromny jesteś i narzeczonej swojej wstydzisz się, to dobrze! ja to lubię! ja sam taki byłem i nasi wszyscy młodzieńcy takimi powinni być! ale moja córka edukowana jest i na wielkim świecie żyła, gdzie zwyczaje inne są. Ona bardzo dziwi się i płacze, że narzeczonego swego nie zna, wtedy, gdy ślub i wesele za miesiąc już nastąpić mają. Nu! ja pójdę przyprowadzę ją tutaj! Okna pozamy-

kam, żeby nikt nie widział, że wy tu razem jesteście. Pogadajcie z sobą trochę... poznajcie się...

Mówiąc to, chciał odejść, ale Meir przytrzymał go za rękaw surduta.

— Rebe! — rzekł — mnie teraz nie narzeczona i nie wesele w głowie siedzi! ja do ciebie z innym zupełnie interesem przyszedłem...

Witebski spojrzał przenikliwie w poważną i pobladłą twarz młodego człowieka i spochmurniał nieco.

— Nie ze swoim interesem ja do ciebie, Rebe, przyszedłem... — mówił dalej Meir; ale Witebski mu przerwał.

— Jeżeli to nie twój i nie mój interes, to na co my mamy o nim mówić?

— Bywają na świecie takie interesa — odparł młody człowiek — które do wszystkich należą i wszyscy o nich mówić i myśleć powinni.

Mówiąc tak, miał zapewne na myśli to, co w cywilizowanym języku nosi imię spraw publicznych. Nazwy tej nie znał, ale głęboko i gorąco czuł rzecz, którą ona wyraża.

— Ja dziś o jednym strasznym sekrecie dowiedziałem się...

Witebski poskoczył z fotelu, na którym usiadł był przed chwilą.

— Ja o żadnym strasznym sekrecie wiedzieć nie chcę! — zawołał — po co ty masz mi o nim mówić? ja nieciekawym!

— Po to, Rebe, żebyś ty jemu na przeszkodzie stanął...

— A na co ja mam stawać? a co mnie do tego? a dlaczego ty do mnie z takim gadaniem przyszedł?

— Dlatego *Rebe*, że ty bogaty jesteś i pięknie mówić umiesz, i z całym światem zgodę trzymasz, nawet z samym wielkim rabinem, który aż uśmiecha się, jak ciebie zobaczy. Twoje słowo wiele może, i żebyś ty chciał...

— Ja nie chcę! — przerwał Witebski ze stanowczością w głosie i chmurą na czole. — Ja bogaty jestem i zgodę ze wszystkimi trzymam, to prawda; ale ja tobie coś powiem, Meir...

Tu zniżył głos i dodał:

— Żebym ja w sekreta ludzkie wdawał się i interesom cudzym na przeszkodzie stawał, jabym ani bogaty nie był, ani zgody z nikim nie znalazł i mnie-by nie było tak dobrze na świecie, jak teraz jest...

— *Rebe*! — po chwili namysłu rzekł Meir — mnie bardzo miło słyszeć, że tobie na świecie dobrze jest; ale jabym nie chciał, żeby mi dobrze było przez krzywdę ludzką...

— Nu! a kto mówi o krzywdzie? — uśmiechając się rzekł Eli — ja nigdy nie krzywdzę nikogo; ja handluję uczciwie, i wszyscy, z którymi handluję, kontenci ze mnie są i przyjaźń dla mnie mają... Ja, dziękować Bogu, wszystkim ludziom śmiało w oczy pa-

trzyć mogę i na majątku, co go dla dzieci swoich zbieram, niema lży ani szkody cudzej.

Meir z uszanowaniem głowę przed mówiącym pochylił.

— Ja wiem, *Rebe*, że tak jest, jak powiedziałeś. Ty interesa swoje uczciwie prowadzisz, a uczciwością swoją i tym rozumem, który ci Przedwieczny dał, honor domowi Izraela przynosisz. Ale mnie się zdaje, że kiedy człowiek sam uczciwym jest, to on na cudzą nikczemność obojętnie patrzeć nie powinien; bo kiedy on może przeszkodzić krzywdzie ludzkiej, a nie przeszkodzi, to tak jest, jakby on sam krzywdę tę sprawił. Ja dowiedziałem się, że człowiekowi niewinnemu, przez jednego z braci naszych Izraelitów, wielka krzywda stać się ma. Sam ja nic nie mogę, ale szukam ludzi takich, którzy mogą niewinnego od nieśczęścia ratować...

Tu, najniespodzianieć w świecie, przerwał mówiącemu głośny i wesoły śmiech Witebskiego, który wstał z fotela i żartobliwie gościa swego po ramieniu poklepał.

— No, no! — rzekł, — już ja widzę, że u ciebie, Meir, gorąca głowa! Ty chcesz z niej kłopot jakis wyjąć i w moję głowę go włożyć! Nu! ja tobie bardzo pięknie za ten prezent dziękuję, ale go od ciebie nie wezmę! Daj pokój! po co my mamy życie sobie truć, kiedy dzisiejszy dzień może być dla nas bardzo wesoły? Ot, siadaj tu sobie na tym fotelu,

a ja pójde i narzeczoną twoję tobie przyprowadzę. Ty nie słyszałeś jeszcze jej muzyki!... aj! aj! jak ona gra! Dziś nie sabbat i ona będzie mogła pograć sobie trochę, a ty posłuchasz...

Mówiąc to z ożywieniem i figlarnością w głosie i wzroku, odejść chciał, ale Meir przytrzymał go znowu za rękaw odzienia.

— *Rebel*! — zawołał, — wysłuchaj ty mię przynajmniej...

Witebskiemu niecierpliwie trochę oczy błysnęły. Śmiejąc się jednak, odpowiedział:

— Aj! aj! Meir! jakim ty swawolnikiem jesteś! Ty chcesz starszych od siebie ludzi gwałtem przymuszać do tego, czego oni robić nie chcą. Nu! ale ja ci to przebaczam i idę, żeby narzeczonej twojej tu zawołać...

Mówiąc to, posunął się znowu ku drzwiom, ale Meir raz jeszcze zastąpił mu drogę.

— *Rebel*! — zawołał, — ja ciebie nie puszcze, póki ty mnie nie wysłuchasz! Bo do kogoż ja więcéj udam się? Dziś wszyscy zajęci gośćmi i interesami swemi, ty jeden, *Rebe*, nic nie robisz i masz czas...

Umilkł, bo Witebski przestał uśmiechać się i, z chmurą niezadowolenia na pogodnym zazwyczaj czole, poważnym giestem dłoń mu na ramieniu położył.

— Słuchaj, Meir, — rzekł, — ja tobie coś powiem. Ty na niedobrą drogę wszedłeś. Wszyscy ludzie gło-

śno o tém gadają, i są tacy, co bardzo na ciebie za to gniewają się; ale ja tobie pobłażam. Pobłażam ja tobie dlatego, że sam nie zawsze tak myślę, jak wszyscy, i wiem, że niektóre rzeczy u nas, w Izraelu, inaczej być powinny, niż są. Nu! ja tak myślę, ale ja tego nigdy nie mówię i po sobie nie okazuję! na co ja mam mówić i okazywać? co ja mogę? Jeżeli sam Pan Bóg rzeczy te takimi zrobił, to ja, sprzeciwiając się Jemu, obrócił-bym Go przeciw sobie; a jeżeli to ludzkie wymyslenia i omyłki są, to i beze mnie przyjdą ludzie tacy, co je przerobią. Moja rzecz siebie, swojej familii i swoich interesów patrzeć. Czy ja sędzia? ja i nie rabin! więc ja sobie milczę, Panu Bogu i ludziom dogadzam, nikomu w drogę nie włożę. Ot, jak ja robię, i chciałbym, żebyś ty, Meirze, tak samo robił. Jabym i tobie rad swoich nie dawał, i pozwalał-bym tobie żyć jak chcesz; ale kiedy ty mężem mojej córki masz zostać, to ja na ciebie oko muszę już mieć..

— *Rebe!* — przerwał Meir, któremu w rozognionych źrenicach migotać zaczynały łzy rozdrażnienia, — nie gniewaj się na mnie za zuchwałe słowo, które ja tobie powiem. Ja córki twojej za żonę swoją nie pojme i mężem jej nigdy nie będę!

Witebski osłupiał ze zdumienia.

— Nu! — zawołał po chwili, — a to znów jaką ja nowość słyszę? Czyż dziad twój nie umówił się

ze mną o moję Merę, a potem, czy nie przysłał od ciebie dla niej zaręczynowych prezentów?

— Dziad mój umówił się z tobą, — drżącym głosem odpowiedział Meir, — ale on to zrobił przeciw mojej woli.

— Nu! — z najwyższym już zdumieniem zawołał Witebski, — a dlaczego? Co ty masz przeciw córce mojej?

— Ja, *Rebe*, przeciw niej nic nie mam, ale mnie serce do niej nie ciągnie. I ona także, *Rebe*, nie chce mnie... Ja, przechodząc koło waszych okien, słyszałem raz, jak ona płakała i skarżyła się, że ją chcą za prostego, ciemnego żyda wydać. Nu! to prawda! ja prosty, nieedukowany żyd... ale jej edukacya mnie także nie w guście... Poco na nią i na mnie łańcuchy nakładać... My już nie dzieci i wiemy, czego żąda dusza nasza, a czego nie żąda...

Witebski osłupiałem wciąż okiem na mówiącego patrzył. Obie ręce podniósł ku głowie i zawołał:

— Czy moje uszy dobrze słyszały? czy mój rozum dobrze słowa twoje zrozumiał? Ty nie chcesz mojej córki?! ty nie chcesz mojej pięknej i edukowanej Mery?!

Rumieniec wytrysnął mu na czoło. Łagodny i dyplomatyczny światowiec zmienił się w obrażonego i rozgniewanego ojca. Lecz w téjże chwili, ze stukiem i tuż przy rozmawiających, roztworzyły się

drzwi, prowadzące do dalszych pokoi mieszkania, i w progu, z twarzą w ogniu i płomiennemi oczyma, zjawiała się pani Hana. Kończyła snadź ona przed chwilą toaletę swą, ale nie skończyła jęj jeszcze, nie miała bowiem na sobie zwykłej jedwabnej sukni, tylko krótką czerwoną spodniczkę i luźny szary kaftan. Przednia część jęj peruki starannie już była ufryzowana i uczesana, ale z tyłu wisiał, nie spleciony jeszcze i sznurkiem tylko u głowy związany warkocz. W progu stanęła i krzyknęła:

— Ja wszystko słyszałam!

I nie mogła mówić dalej, tak była wzburzoną. Pierś jęj dyszała szybko, z oczu sypały się iskry. Poskoczyła na koniec ku Meirowi, ramiona szeroko rozłożyła i krzyknęła:

— Co to? ty córki mojęj nie chcesz? ty, prosty, ciemny żyd z Szybowa! ty nie chcesz za żonę swoje wziąć takiej pięknej panny, z taką wielką edukacją! Pfuj! głupiec! *miszugiener!* rozpustnik!

Witebski próbował miarkować uniesienie żony, przytrzymując ją za łokieć i sycząc jęj w same prawie ucho:

— Sza! Hana! Sza!

Ale cała dystynkcya układu, cała dbałość o estetyczne wyglądanie osoby własnej, opuściły w tęg chwili najzupełniej panią Hanę. Miotła się wciąż przed

Meirem, ściśniętą pięścią wygrażała mu przed samą prawie twarzą i krzyczała:

— Ty Mery nie chcesz? ty córki mojęj nie chcesz? Aj, aj! jaka bięda! my przez to ze zgryzoty poumieramy! Ona sobie już męża nie znajdzie i po tobie oczy wypłacz! Oj, oj! tyle biędy, że jęj głupi, ciemny żyd Szybowski za żonę wziąć nie chce! Ja ją do Wilna powiozę i za generała, za grafa, za samego księcia ją wydam! Pfuj! co ty sobie myślisz? że dziad twój, Saul, bogaty kupiec jest, i że ty sam po ojcu wielki majątek masz, to już ty wielki *puryc*, i tobie wszystko można! Ja pokażę twemu dziadowi i twojęj całej familii, że my o was tyle dbamy, co o stary pantofel!

Eli okna i drzwi starannie zamykał, a pani Hana ku komodzie jesionowęg, w pobliżu fortepianu stojącęj, poskoczyła, szufladę odsunęła i z nięj pudełka różne z kosztownościami wyjmować zaczęła.

— Na! — krzyknęła, rzucając pudełka na ziemię, — na! masz nazad swoje prezenta! Zanieś je tęg karaimskięj dziewczynie, z którą romans prowadzisz! Ona dla ciebie żoną będzie jak raz!

— Sza! — rozpaczliwie już syknął ku żonie Witebski, i pudełka z kosztownościami z ziemi podnosić zaczął. Ale wyrwała mu je z rąk pani Hana.

— Ja to sama dziadowi jego odniosę i zaręczyń zerwę, — mówiła.

— Hana! — persadował mąż, — ty głupstw

tam narobisz... ja sam pójdę i rozmówię się z Saulem.

Ale pani Hana nie słyszała nawet słów męża.

— Pfuj! — krzyczała, — ten głupiec, ten wariat, ten rozpustnik mojej córki nie chce! jemu karaimska dziewczyna od mojej córki lepsza! Nu! to i chwala Bogu, że my jego pozbędziem się! ja Merę do Wilna powiozę i za wielkiego barona wydam!

* * *

Było już około południa, gdy Meir domowstwo Witebskich opuścił, ścigany łajaniem i złorzeczeniami pani Hany, a cichemi wymówkami i pojednawczemi słowami Elego.

Na rynku wrzał już w całej pełni ruch targowy: obszerna przestrzeń okryta była wozami, ludźmi, końmi i bydłem, tak ściśle, że najmniejszy choćby przedmiot nie pomieścił-by się już w tłumie tym gęstym, pstrym, krzyczącym tysiącami głosów i mrowiącym się tysiącami głów ludzkich i zwierzęcych. Znajdował się wszakże w jednej stronie rynku kątek mniej nieco natłoczony. Wznosiła się tam dość wysoka ściana lichy pobielonej budowy jakiegóż, a pod białawą ścianą tą siedział na ziemi starzec przygarbiony, w szarém, podartém, długim ubraniu, z grubą czerwoną chustką, okręconą w koło szyi. Nogi jego w obuwiu znoszoném i opyloném, przykryte były całkiem prawie, zgromadzonemi dokoła w znacznej ilości, koszami

i półkoszkami, z łoży uplecionemi, słomianemi kobiałkami i tym podobne okazy koszykarskiej roboty.

Był to Abel-Karaim.

Jakkolwiek dzień był letni i słoneczny, głowę okrywała mu wielka czapka, obłożona lisiem futrem, złotém i puszystém; z pod niej spływały na plecy i ramiona jego gęste pasma białych włosów, a długa, żółtawa broda, szerokim wachlarzem rozkładała mu się na piersiach. Promienie słońca padały na twarz jego okrągłą, małą, i zaledwie z pod ogromnego zarostu widzialną; sierść lisiego futra opuszczała się na pomarszczone czoło, lecz od rażących blasków dnia nie chroniła oczu, których też nabrzmiałe i czerwone powieki mrużyły się, całkiem prawie zakrywając źrenice.

Obok starego Abła stała Gołda, wysmukła, prosta, poważna jak zawsze, z koralowym naszyjnikiem swym, spuszczonej nizko na szarą koszulę, i z opływającym plecy kruczym warkoczem.

O kilka kroków, przed dwojgiem ludzi tych, stały rzędy wozów, obciążonych zbożem, drzewem i najrozmaitszemi przerobami drobnych produkcyi wieśniaczych; pośród wozów ryczały woły i krowy, beczwały cielęta, rżały konie, uwijali się drobni faktorzy i przekupnie, z krzykiem wielkim targowali się o cenę towarów swych, barczyści i łokciami wokoło siebie tłum rozpychający, wieśniacy. W tłumie tym nic więcej słyszeć nie było, nad krzykliwe wymienianie cyfr

różnych, zacięte targi, grube śmiechy, wszczynające się kłótnie, wrzaskliwe płacze dzieci i piskliwe krzyki kobiet; a z całą wrzawą tą mieszał się stary, chrypiący głos Abła, prawiącego niezmordowanie izraelskie powieści. Kipiąca dokoła niego wrzawa, nie straszała go snadź, ale owszem, podniecała; bo im głośniejszą stawiała się, tém bardziej on głos swój wysiłał i podnosił, tak, że słowa jego przez kipiątek ten wzburzonych gwarów przepływały wyraźne, choć drżące.

— A kiedy Mojżesz zstąpił z góry Synai, — mówił, a raczej wyśpiewywał donośnie stary, drżący głos Abła, — z oblicza jego biła światłość taka, że lud upadł na twarze i zawołał jako jeden człowiek: „Mojżeszu! powtórz nam słowa Przedwiecznego!” I stała się wtedy na niebie i na ziemi wielka cisza; grzmoty umilkły, błyskawice pogasły i wichry pokładły się na ziemię, a Mojżesz zawołał do siebie siedmudziesięciu izraelskich starców, i kiedy oni otoczyli go, jak gwiazdy otaczają księżyc, powtarzać zaczął ludowi słowa Przedwiecznego!

W téj chwili wyłonił się z wrzaskliwego tłumu dwaj ludzie, poważnie, choć dość ubogo wyglądający, i przechodzili koło opowiadającego Abła. Szli śpiesznie, ale, wymówione imię Mojżesza dosłyszawszy, stanęli i spojrzeli na Abła.

— On znów opowiada! — rzekł jeden.

— On zawsze opowiada! — dodał drugi.

Uśmiechnęli się, ale dalej nie poszli. Owszem, kobieta jakaś i dwóch czy trzech wyrostków obok nich stanęło. Kobieta stanęła w nasłuchującej postawie i zapytała:

— Co on takiego opowiada?

— Historyą i Zakon izraelskiego ludu, — spokojnie odpowiedziała Gołda.

Wyrostki pootwierali usta, kobieta bliżej ku Ablowi pochyliła głowę, dojrzali mężczyźni uśmiechali się, ale stali i słuchali; Abel mówił dalej:

— Kiedy lud usłyszał rozkazania Pana, jednym głosem krzyknął: „Pełnić je będziemy!” Wtedy Mojżesz oparł o górę Synai dwanaście kamieni, wypisał na nich rozkazania Pana, a do ludu powiedział: Izraelskie pokolenia wszystkie: starzy, młodzieńcy, kobiety i dzieci, i każdy człowiek z Izraelowego domu, i cudzoziemiec, co się pomiędzy wami znajduje, i ten, co ścina drzewo, i ten, co czerpie wodę, przychodźcie wszyscy zawierać przymierze z Jehową, abyście za-prysięgli pełnić rozkazania Jego tak, jak On przysiągł dotrzymać wam obietnic swoich!

— Nu! — odezwał się pomiędzy otaczającymi głos jakiś, — on piękne rzeczy pięknie opowiada.

— I ten, co ścina drzewa, i ten, co czerpie wodę... — powtórzył człowiek jakiś w nędzném ubraniu, westchnął przytém i rzucił okiem ku roziskrzonym obłokom.

Kobieta, z pochyloną ku Ablowi głową, przysłu-

chująca się słowom jego uważnie, wydobyla z kieszeni bezbarwnej spodnicy brudną chustkę i, rozwiązawszy węzełek, znajdujący się u jednego z jój końców, rzuciła na kolana Abła wielką miedzianą monetę.

Za kilku osobami temi stanęło teraz już kilka innych. O kilka zaledwie kroków od nieruchomój gromadki tój zajadle kupczyli, kłócili się, krzyczeli ludzie, żądni zarobku i zysku. Żydzi i chrześcijanie, niewiasty, mężowie i podrastające zaledwie dzieci; lecz tu, pod białawą ścianą wysokiego parkanu, kilkanaście jednostek, od szumiącego tłumu tego oderwanych, w milczeniu i skupieniu myśli, z uśmiechem na twarzach, a westchnieniami w piersiach, mimowoli przerzucało się w świat inny, duchowy, śród którego migotały obrazy i rozlegały się głosy prastarój, wspañiałej, świętój przeszłości. Zdawać się mogło, że Abel czuł tę zwróconą na siebie uwagę otaczającój go gromadki, i że mu wszystkie oczy te, w jego twarz wlepione, rozpałały serce i zapładniały pamięć. Z za czerwonych, mrużących się powiek, źrenice jego błysnęły srebrzyście, ze zmiętego czoła zsunęła się w tył nieco puszysta czapka lisia, a gdy podniósł głowę, żółtawe pasma długiej brody jego rozłożyły się szerzej jeszcze i podniosły się aż na ramiona. Wyglądał wtedy, jak stary, wpół ślepy lirnik, radujący i doskonałający pieśniami swemi duszę narodu. Śpiewnym tóż, przewlekłym a donośniejszym, niż kiedykolwiek, głosem, mówić zaczął znowu:

— Kiedy Izraelici przeszli Jordan, Jozue położył na miejscu tém dwa wielkie kamienie i wypisał na nich 10 rozkazań Jehowy. Jedna połowa ludu oparła się o górę Geryzim, a druga o górę Hebal, a wszyscy usłyszeli mocne głosy, które wołały tak, aby je każdy człowiek z Izraelskiego domu uchem swoim słyszeć mógł. „Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto pokłon odda fałszywym bogom, i kto czcić nie będzie ojca swego i matki swojój! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto zażąda majątku cudzego, albo ślepego wprowadzi na drogę błędną! Zerwie przymierze swe z Panem ten, kto krzywdzi cudzoziemca, sierotę i wdowę, kto kłamstwo włoży do ucha bliźniego, a o niewinnym powie: „niech umrze!“ A kiedy mocne głosy do uszu Izraelitów wszystkich słowa te włożyły, lud cały odpowiedział tak, jakby wszystkie usta jednemi ustami i wszystkie głosy jednym głosem były: „Niech się tak stanie!“

— Niech się tak stanie! — zaszepotało wokoło Abła kilkanaście ust, które, przed kwandransem jeszcze, porwane wirem powszednich potrzeb i trosk, zapamiętałe walczyły o szeląg straty lub zysku.

Przed skupioną gromadkę przebiła się teraz chrześcijańska wieśniaczka. Podjęła z ziemi jeden z koszy, nagromadzonych dokoła Abła, i o cenę jego zapytała. Gołda udzieliła jój odpowiedzi zwykłym swym spokojnym głosem. Wieśniaczka targować się zaczęła, ale Gołda nie odpowiedziała już jój po raz

drugi. Nie dlatego, aby odpowiadać nie chciała, ale dlatego, że słów jej, dość grubo jednak i krzykliwe wymawianych, nie słyszała nawet. Wzrok jej utkwiał w jednym punkcie rynku; na czoło i twarz całą wybuchnął płomienny rumieniec, a na ustach poważnych rozkwitał uśmiech, dziecięcy prawie i razem namiętny. O kilkadziesiąt kroków od miejsca, na którym znajdowali się Abel i wnuczka jego, wynurzył się z tłumu Meir i, swobodniejszym nieco przejściem szybko postępując, zmierzał prosto ku nim. Nie widział ich jednak; patrzył prosto przed siebie oczyma, w których malowały się pośpiech i niepokój. Minął Abła i Gołdę, nie spostrzegłszy ich nawet, i wszedł w bramę synagogałnego dziedzińca.

Przez synagogałny dziedziniec niewiele łatwiej było przejść dnia tego, niż przez plac targowy.

Meir ciągnął ku czarnej chatce rabбина Todrosa, ku niej też parł się tłum ludzi różnego wieku i pozoru. Im bliżej było chatki tej, tém większy panował ścisk i natłok, a wśród natłoku tego tém mniej rozmawiano, i ciszej, ostróżniej stąpano. Nie było tu, jak na targowym rynku, krzyków, kłótni, śmiechów, roztrącań się wzajemnych, nie było też twarzy namiętnie rozognionych, ani oczu, połyskujących gorączką zysku, ani giestów porywczych i grubijańskich. Gęsty tłum płynął ku niskiej lepiance w uroczystém milczeniu, przerywaném nieśmiało tylko szeptami.

Meir wiedział, gdzie i po co dążył tłum ten i z ja-

kich żywiołów był złożonym. Stałych mieszkańców Szybowa nie było tu wcale, albo było niewielu bardzo; posiadając bowiem w bezpośredniej bliskości wielkiego rabбина, nie potrzebowali oni oczekiwać dni szczególnych, aby mózdz cieszyć się radami, naukami i samym widokiem jego. Lud, zalegający teraz synagogałne podwórze, składał się z mieszkańców blizkich, dalszych i dość nawet oddalonych okolic Szybowa. Zamożnych kupców, ludzi w ubraniach, znamionujących dostatek i pewien wyższy stopień światowej oglady, znajdowała się tu ilość pewna, ale bardzo nieznaczna. Ogromną większość stanowiły ciała miszerne, obleczone w suknie zszarzone i ubogie, twarze blade, ciężką walką o byt napiętnowane, cierpiące i cierpliwe. Była to zresztą prawdziwa mozaika twarzy młodych, półdziecięcych, niewieścich i męzkich.

W bliskości już chaty znajdując się, Meir zatrzymał się chwilę.

— Poco ja tam pójde? — rzekł do siebie, — on mnie teraz słuchać nie zechce!

— Nu, — dodał zaraz, — a do kogoż ja pójde?

Po chwilowym namyśle, zmieszał się znowu z tłumem i wkrótce znalazł się u roztwartych na oścież drzwi czarnej lepianki.

Za roztwartymi drzwiami, w ciasnej, ciemnej sionce stał istny mur, z pleców ludzkich złożony, i panowało najgłębsze już milczenie, przerywane tylko trudnym oddechem kilkudziesięciu piersi. Meir wśród

muru tego torował sobie drogę, co przychodziło mu tém łatwiej, że większą część ludzi, tłoczących się w sionce, składali ubodzy i pokorni goście, tak uprzemnie przed parą godzin częstowani w zamożnej kuchni Ezołowiczów. Spostrzegłszy członka rodziny, pod której dachem znajdowali częstą i chętną gościnność, rozstępowali się oni, jak mogli, aby mu przejście pomiędzy sobą umożliwić. Z pośpiechem to jednak czynili i roztargnieniem wielkiem, gdyż wzrok ich skierowany był ku wnętrzu izby, sąsiadującej z sionką. Ażeby dojrzyć i dosłyszeć, co się we wnętrzu izby tej działo, wspinali się oni na palce, wyciągali szyje i szeroko roztwierali oczy, rozpromienione, zdumienie, ciekawe, pożądlive i zarazem trwożne. Ile razy uszu ich dosięgnął ułamek jaki rozmów tam wiedzionych, na ustach ich, uwiedłych i bladych od biedy, choroby i pracy, rozkwitały uśmiechy błogości niewymownej, tak, jakby słowa i same nawet dźwięki głosu uwielbianego mędrca były wonną oliwą, gojącą wszystkie rany ich życia.

Izba, w której drzwiach roztwartych także stał teraz Meir, wyglądała dość dziwnie. W głębi jej, na ławie, umieszczonej pomiędzy ścianą a stołem, siedział Izaak Todros, w którego ubraniu i postawie nie znać było święteckości żadnej. Miał on na sobie tę samą, co zawsze, długą suknię, zszarzaną i podartą, a głowę jego przykrywała zrudziała czapka, na tył zsunięta w taki sposób, iż zmięty daszek jej ster-

czał nad czołem żółtém, ocienioném ogromną gęstwiną włosów kruczych, z lekka tylko przypruszonych siwizną. Przygarbiony, jak zwykle, górną połową ciała na przód podany, siedział on w nieruchomości zupełnej i tylko czarnemi oczyma wodził po twarzach i postaciach kilkunastu istot ludzkich, które, stłoczone u przeciwległej ściany, podnosiły ku niemu wzrok nabożny, złękiony, błagalny.

Pomiędzy szczupłym, zgarbionym, nieruchomym mędrcom, siedzącym na ławie, a kilkunastu istotami temi, które dopuszczonemi już zostały przed obliczność jego, znajdowała się przestrzeń kilku kroków, której nikt bez wyraźnego wezwania przekroczyć nie śmiał, i krzyżowały się dwa odmienne rodzaje światła. Jedno ze światła tych, błękitne od pogodnych obłoków i złociste od słońca, wnikało tam przez otwarte okno; drugie, jaskrawe, rażące, dymne, buchało z komina, na którym paliło się szeroko rozniecone płomień.

U komina, na podłodze, okrytej grubą warstwą brudu, siedział nieodstępny uczeń i sługa rabina — melamed nad melamedami, pobożny i mądry Reb Mosze. W grubej koszuli swój, opasany powrozem, siedział on na nagich swych piętach i, przykładając coraz drewek do ognia, sypał garście ziół suchych do wody, gotującej się w kilku garnkach. Zajęty czynnością tą, jak się zdawało, aptekarską, pełnił on także urząd woźnego. Wywoływał z pomiędzy ludu, znaj-

dującego się w izbie i sionkach, tych, na których, według mniemania i woli jego, przypadła kolój zbliżenia się ku mistrzowi.

Teraz wyciągnął gruby, czarny swój palec ku ciśnącym się do ściany ludzkim postaciom, i ochryplym głosem zawołał:

— Szimszel, arendarz!

Wezwany, nosząc przeinaczone i zepsute z biegiem czasu imię Samsona, w najmniejszej mierze nie przypominał powierzchownością swą imiennika swego, poetycznego bohatera i potężnego atlety Biblii. Mały, suchy, ogniście rudy, wysunął się on z tłumu i, stanawszy na środku izby, pochylił białą, piegowaną twarz swą, aż prawie do samej ziemi.

— Pozdrawiający mędrca, pozdrawia wspaniałość Przedwiecznego! — zawołał lekliwym i drżącym głosem. Nietylko zresztą głos jego drżał, ale drżały mu także ręce i ramiona, a gdy podniósł nieco twarz swą, błękitne źrenice jego obiegać poczęły izbę z niepokojem i zmieszaniem, blizkiem obłędu.

Izaak Todros siedział jak skamieniały. Oczy tylko jego utkwily w przerażoną twarz stojącego przed nim ryżego człowieka, i po chwili dopiero, gdy człowiek ten, w przerażeniu swém do słowa przyjść nie mogąc, milczał ciągle, mędrzec wydobył z siebie gardłowo-nosowy dźwięk i przeciągle zawołał:

— Nuul!

Szimszel podniósł ramiona i ze wsuniętą w nie głową mówić zaczął:

— *Nassi!* niech światłość twoja oświeci ciemności moje! *Rabbi!* ja wielki grzech popełniłem i serce moje drży od strachu, kiedy usta moje przed tobą grzech ten opowiedzieć mają! *Nassi!* ja jestem niešťczęśliwy człowiek... żona moja, Ryfka, zgubiła duszę moję na wieki, i chyba ty, *Rabbi*, nauczysz mię, jak ja ją teraz od wielkiego grzechu tego oczyścić mam!

Zająknął się tu pokorny pokutnik, i po chwili dopiero zebrał się na odwagę i siły nowe.

— *Nassi!* ja i żona moja, Ryfka, i dzieci nasze, siedliśmy zeszłego piątku do sabbatowej uczty. Na jednym stole stała u nas misa z mięsem, na drugim stole stał garnek z mlekiem, które żona moja, Ryfka, dla najmniejszych dzieci naszych zgotowała. Moja żona, Ryfka, czerpała mléko z garnka, i łyżką nalewała je najmniejszym dzieciom na miski. A kiedy ona to robiła, u niej raz ręka zatrzęsła się, i kropla mleka z łyżki upadła na to mięso, co było w misie... Aj waj! głupia kobieta! co ona zrobiła! Ona mięso strefiła i zrobiła je nieczystém...

Znowu utknął w mowie swój trwożliwy Samson, a mędrzec, bez najlżejszego poruszenia w postawie, lub mrugnięcia okiem, zapytał:

— Nu! a co ty z mięsem zrobiłeś?

Zapytany głowę swą znowu bardzo nisko pochylił i, nie zmieniając postawy téj, wyjąkał:

— *Rabbi!* ja z niego jadłem, i żona moja, i dzieci moje z niego jadły!

Tym razem z płomiennych oczu Todrosa posypały się iskry.

— A dlaczego ty nieczystości téj na śmietnisko nie wyrzucił? — krzyknął — dlaczego ty obrzydliwością tą usta swoje i dzieci swoich zanieczyścił?

Po chwili milczenia, głos pokorny, drżący, po ziemi jakby czołgający się, odpowiedział:

— *Nassi!* ja biedny bardzo jestem, lichą karczmę w arendzie trzymam, i zarobku z niéj mam niewiele. A mam, *Nassi*, aż sześcioro dzieci i ojca starego, którzy przy mnie mieszka, i dwoje wnuków sierot, których ojciec i matka odumarli! *Rabbi!* mnie trudno bardzo wyżywić siebie i familią moją, i my raz w tydzień tylko, w święty wieczór sabbatu, mięso jemy! Koszerne mięso drogie... więc ja go każdego piątku trzy funty kupuję, a z tych trzech funtów jedenaścioro nas jé, i siły swoje wzmacnia! *Rabbi!* wiedziałem ja, że przez cały tydzień my już nic do ust naszych nie włożym, prócz chleba, cebuli i ogórków... to ja tego mięsa pożałowałem i, choć na niem była kropla mleka, jadłem z niego i jeść z niego pozwoliłem familii mojej...

W ten sposób żalił się i obwinał zarazem mizer-

ny Samson, a mistrz słuchał go z zachmurzonym i groźnym obliczem.

Potém mówić zaczął. Mówił z gniewem i oburzeniem z razu, a jednak nieruchomym i sztywnym pozostał. Szyję tylko ku wylekłemu i upokorzonemu Szymszelowi wyciągając, wpijał się weń coraz ognistszém i groźniejszém wejrzeniem. Długo, obszernie i subtelnie tłómaczył: zkąd pochodzi zakaz mieszania potraw mięsnych z mlecznymi, co o zakazie tym pisali różni Tonaici i Rabbini wielcy i, jak pisanie ich tłómaczyli, objaśniali i komentowali późniejsi niezliczeni następcy ich; jak wielkim przestępca jest człowiek taki, który, z zakazem tym rozmiijając się, do ust swych wkładać śmie kęs mięsa, na który upadła kropla mleka.

— Grzech twój ogromnym jest w obliczu Pana! — zagrmiał nakoniec, ku stojącemu wciąż w kornéj postawie pokutnikowi — ty, dla łakomstwa swego, zerwałeś przymierze, które Jehowa zawarł z wybranym ludem swoim, przekroczyłeś jedno z 613-stu przykazań, które spełniać powinien każdy prawy Izraelita, i zasłużyłeś na to, aby na ciebie spadło przekleństwo, którym Elizeusz przeklął prześladowające go chłopięta, i którym Jozue Nawin przeklinał miasto Jerichon! Ale za to, że ciało tylko twoje zgrzeszyło, a dusza pozostała wierzącą w świętość zakazu jedzenia mięsa z mlekiem, i za to, że ty z wielkim żalem do mnie przyszedłeś i przede mną upokorzyłeś się, ja ci ten

ogromny grzech twój przebaczam, i tylko rozkazuje, żebyście, ty i żona twoja, i dzieci twoje, przez cztery tygodnie ani mięsem, ani mlekiem ciał swoich nie karmili, a pieniądze, które wydajecie na mięso i mleko, ubogim rozdali. A kiedy cztery tygodnie przejdą, dusze wasze oczyszczone zostaną z wielkiego plugawstwa, które na nich osiadło, i będziecie żyć w pokoju i pobożności, razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami. Wołajcie: niech się tak stanie!

— Niech się tak stanie! — zabrzmiały chórem głosy tych, którzy znajdowali się w izdebce, i tych, którzy napełniali sionkę, i tych jeszcze, którzy, tłocząc się dokoła lepianki, chciwemi oczyma zaglądali do wnętrza jęj przez otwarte okno.

Mały, rudy Samson, oswobodzony od ciężaru tłoczącego mu sumienie w sposób straszliwy, chociaż z innej strony obarczony pokutą czterotygodniowego postu, mającego do ostateczności obostrzyć i tak już wieczny post wszystkich dni jego, ze łzami rozrzwinięcia w oczach i dziękczynnym szeptem na ustach, cofnął się ku sionce i zniknął w napełniającym ją tłumie.

Wtedy Reb-Mosze wyciągnął znowu ku stojącym pod ścianą ludziom wskazujący palec i zawołał:

— Reb-Gerszon, melamed!

Na wołanie to, z tłumy wybił się człowiek krępy zgarbiony, z czarnym włosem, rozrzuconym w nie-

ładzie na wielkiej, schylonej głowie, z twarzą chmurną i zadumaną. Był to kolega Reb-Mosza, umysłowy przewodnik izraelskiej diatwy, w miasteczku, blisko Szybowa położonem, żyjący i nauczający. Stał on na środku izby z grubą księgą rozwartą w obu rękach i, według zwyczaju, pozdrowiwszy mistrza, zaczął w te słowa:

— *Rabbi!* dusza moja znalazła się dwa dni temu w wielkim kłopotcie. Bachory moje czytały w świętej księdze, że wieczorne *Szemy* odmawiać rozkazano jest do końca pierwszej straży. Nul — zapytały mnie bachory moje: — a co to takiego pierwsza straż? Kto, przed kim i gdzie tę straż trzyma. — Jak oni tak zapytali się, usta moje oniemiały. A dlaczego one oniemiały? Dlatego, że ja nie wiedziałem, co im odpowiedzieć mam. Do ciebie, *Rabbi*, przyszedłem, żeby na ciemny rozum mój spłynął promień twojej mądrości. Powiedz ty mi, *Rabbi*, jakie to straże są, według których izraelita każdy mierzyć powinien długość modlenia się swego? gdzie i przed kim są ustawione, i co ja o tém powiedzieć mam bachorem moim?

Chmurny, zgarbiony człowiek mówić przestał, a zgromadzenie całe z ciekawością nadzwyczajną wlepiło oczy w zapytywanego mędrca i odpowiedzi jego czekało. Odpowiedź ta dała się słyszeć wkrótce. Nie zmieniając postawy swjej, na przód podanej, Izaak Todros mówić zaczął.

— A jakie mogą być straże te, o które ty mnie

zapytujesz? Anielskie to są straż. A gdzie Aniołowie straż te trzymają? W niebie je oni trzymają. A przed kim oni je trzymają? Trzymają je przed tronem Przedwiecznego! Kiedy dzień kończy się i zmrok zapada, Aniołowie dzielą się na trzy wielkie chóry. Pierwszy chór staje u tronu Przedwiecznego i straż przed nim trzyma aż do północy, i wtedy jest pora odmawiania modlitw wieczornych. Drugi chór przychodzi o północy i trzyma straż aż do świtu; a o świcie, kiedy kolor biały od koloru blado-błękitnego odróżnić można, przychodzi chór trzeci i straż przed tronem Przedwiecznego trzymać zaczyna. Wtedy jest pora modlitw porannych...

Umilkł mędrzec. W tłumie ozwały się ciche emocje i szept, objawiające podziw i zachwyt. Gerszon mełamed jednak nie ruszał się jeszcze z miejsca swego. Ze wzrokiem wlepionym w ciężką rozwartą księgę, ozwał się znowu:

— *Rabbi!* spuść na ciemny rozum mój jeden jeszcze promień swojej mądrości i rozprosz nim wątplenie, które ogarnęło duszę moję... Blisko miasteczka, w którym mieszkam, jest dwór bogatego jednego pana. Do dworu tego chodzą czasem niektóre bachory moje i różne rzeczy tam słyszą. Raz jeden bachor mój, wróciwszy ze dworu, opowiadał w miasteczku, że słyszał, jak we dworze mówiono, że grzmot pochodzi z grzmot. Mówiono tam, że grzmot wylatuje z nieba wtedy, gdy dwie chmury spotkają się z sobą i wy-

puszczają z siebie siłę jakąś, która nazywa się *elektryczność*. Ja o takiej sile nigdy nie słyszałem i nie wiem, czy to prawda, że ona jest na świecie i że z niej wielkie grzmoty powstają...

W czasie mowy tej Gerszona, nieruchomy dotąd mędrzec uczynił parę niecierpliwych poruszeń, a po wargach jego, wąskich i surowych, przesunęły się szyderskie uśmiechy.

— To nieprawda! — zawołał — takiej siły na świecie niema i z niej nie powstają grzmoty. Kiedy Rzymski cesarz świątynię zburzył i lud izraelski rozproszył się po całej ziemi, na świecie ryknął grzmot. A z kąd on pochodził? On pochodził z piersi samego Boga, który nad gruzami świątyni swojej i nad niedolą swojego ludu głośnie zapłakał. A teraz Pan Bóg często po wspaniałości świątyni swjej i po minioném szczęściu ludu swego płacze, a kiedy On zapłacze, to łkanie Jego rozchodzi się po całym świecie wielkim grzmotem, a lzy Jego padają do morza i takie są ogromne, że morze od nich wzbiera i podnosi ziemię, która trzęsie się i ognie z siebie wypuszcza. Oto powiedziałem ci, z kąd powstają grzmoty i te wielkie trzęsienia, które ziemia znosi. Idź w pokój i nauczaj bachorów swoich słów, które ode mnie usłyszałeś!

Z kornym pokłonem i dziękczynnemi wyrazami oddalił się, i w tłum wpłynął ponury mełamed z wiel-

ką swą księgą w rękę, a w tej samej chwili, kędyś pod samą ścianą, głośnie zapłakało dziecko.

Reb-Mosze zawołał:

— Chaim pachciarz z Kamionki i żona jego Małka...

Z tłumu wyszli: mężczyzna i niewiasta. Oboje mieli twarze zbolale i zlekniome — niewiasta na rękę swychniosła blade, wynędzniałe dziecko. Rzucili się do kolan mędrca i, wyciągając do niego, obwinięte w bezbarwne szmaty, z cicha płaczące dziecko, błagali go, aby udzielił leków na trapiącą ich z dawna chorobę syna. Todros pochylił się nad drobną, bladą twarzyczką i zatopił w nią bystre, uważne spojrzenie. Reb Mosze zaś, u komina siedząc, wlepił wzrok w mistrza i, mieszając łyżką gotujące się w garnkach zioła, oczekiwał jego rozkazów.

W ten sposób długo i z kolei zbliżali się do uwielbianego mędrca, nauczyciela, lekarza i niemal proroka swego, ludzie najróżniejsi, zadający mu najróżniejsze pytania i zanoszący do niego prośby. Był tam pomiędzy innymi strapiiony małżonek jakiś, który, wiodąc ze sobą żonę swą młodą i hożą, prosił wielkiego rabбина, aby uczynił nad nią rodzaj *próby bożej*, za pośrednictwem tak zwaną *wody zazdrości*, po której wypiciu niewiasta, podejrzana o niewierność małżeńską, umrzeć musi natychmiast, jeśli jest winna, a zdwojoną pięknoscią i zdrowiem rozkwitnie, jeśli podejrzewano ją niesłusznie. Ktoś inny zapyty-

wał, co czynić trzeba, jeżeli pora modlenia się zaskoczy człowieka w podróży, a on ku wschodowi twarzy swój obrócić nie może tak, jak przykazanem jest, bo ze strony tej wiatr wielki, wielką chmurę kurzawy w oczy mu niesie! Znaczna też była ilość takich, którzy, skarżąc się, płacząc i biadając nad nędną dolą swoją, błagali mędrca, aby proroczym okiem swym rzucił w przyszłość i oznajmił: rychło-li nadejdzie radosny dzień Messyasowy, dzień wyzwolenia, spoczynku i obfitości?

Większość jednak ludzi, zgromadzonych w chatce i dokoła niej, nie nie żądała, żadnych nie zanosila prośb i nie zadawała pytań, lecz przybyła tu i dusiła się w ciasnocie niezmierniej dlatego tylko, ażeby móżdż odetchnąć tym samym powietrzem, którym oddycha pierś uwielbionego mędrca, napoić uszy swe słowami, wychodzącymi z ust jego, a oczy światłością bijącą z jego oblicza.

Widać też było, że Izaak Todros czuł i rozumiał wysokość stanowiska swego. Sprawował on czynności swe z powagą niezachwianą, z niezmordowaną gorliwością i cierpliwoscią niezmaconą. Nie odtrącał od siebie nikogo, nikomu niczego nie odmawiał. Gromił, objaśniał, tłumaczył, opowiadał, pokuty zadawał, leków udzielał, postawy swej nieruchomej ani na chwilę nie zmieniając, i zatapiając tylko w twarze zbliżających się do niego ludzi oczy swe surowe, lub zadumane. Parę razy, gdy w izdebce rozległy się

najżałośniejsze skargi i prośby o prorocze przepowiednie dnia Messyasowego, czarne te, jak noc, i płomienne, jak namiętność, oczy, zaświeciły wilgotną powłoką. Kochał snadź lud ten, którego żałośliwe zwierzania i jęki lżą oblewały mu surową żrenicę. Chwilami też bujne krople potu spływały po żółtém czole jego, a pierś, strudzona długim mówieniem, ciężko oddychać zaczynała. Podartym rękawem odzieży ocierał pot z czoła, wznosił się na siły nowe i wiódł dalej dzieło nauczania, karcenia i pocieszania ludu. Pracował ciężko myślą, pamięcią, wyobraźnią i pierśią, z głębokim poczuciem obowiązku, z żarliwą wiarą w zbawienność i świętość trudu swego, z najwyższą bezinteresownością człowieka, który nie potrzebował dla siebie nic, prócz czarnej lepianki, odziedziczonej po przodkach, szczupłej strawy codzienną, dostarczaną mu rękoma wiernych, i tej lichą, brudną, podartą odzieży, która od dziesiątka lat już może osłaniała chude ciało jego.

Przez synagogalny dziedziniec tymczasem przechodził człowiek, śpieszący się widocznie i kogoś w tłumie szukający.

Był to Ber, zięć Saula. Przejrzał on bacznie mnogie twarze ludzi, otaczających lepiankę rabбина, wparł się do natłoczonej sionki i, dostrzegłszy nakońiec stojącego w progu izby Meira, pociągnął go za rękaw od surduta.

Młody człowiek, obudzony z ołowianej zadumy,

która pogrążała go w nieruchomość kamienną, obejrzał się i zamyślonym wzrokiem spójrzył na stojącego za nim krewnego.

— Chodź ztąd! — szepnął mu Ber do ucha.

— Ja nie mogę ztąd iść — również cicho odpowiedział Meir. — Ja mam ważny interes do rabбина i czekać tu będę, aż ludzie ci wszyscy rozejdą się, ażeby z nim pomówić...

— Chodź! — powtórzył Ber, i ujął za ramię opornego młodzieńca.

Meir targnął się niecierpliwie, ale Ber powtórzył raz jeszcze:

— Chodź! jeżeli zechcesz, przyjdiesz potem, jak ci ludzie rozejdą się.. ale ja wiem, że nie zechcesz...

Wyszli obaj z natłoczonej chaty. Ber, śpiesznie idąc i milcząc, wiódł towarzysza swego w oddaloną stronę obszernego podwórza, kędy panowała samotność zupełna. Tu, ścianą Bet-ha-Midraszu zakryci przed tłumem kupującym na rynku, i w znacznym oddaleniu od tego drugiego tłumu, który oblegał chatę rabina, pewnymi być mogli, że nikt rozmowy ich nie podsłucha.

Meir oparł się plecami o ścianę budowy, Ber stanął przed nim i, milcząc jeszcze, wpatrywał się w niego przez chwilę.

Powierzchność Bera była jedną z tych, około których miliony ludzi obojętnych przejść-by mogło,

nie zauważywszy jój nawet, lecz w której oko baczne-go i myślącego człowieka odkrywało cechy zacieka-wiające i ciekawości godne. Czterdziestoletni, szczu-pły, ze staranną czystością, jakkolwiek ze ścisłą też wiernością starym przepisom i zwyczajom, ubrany, z rzadkim, jasno-płowym zarostem i jasnymi miękkie-mi włosy, nosił on na twarzy swój, bladawej i deli-katnie zarysowanój, wyraz szczególnego zobojetnienia jakiegoś, leniwstwa i sennosci, które znikwały i ustępo-wały przed ruchliwem, nerwowem ożywieniem wtedy tylko, gdy rzecz szła o kombinacye i działania interco-sowe. Po-za zobojetnieniem jednak i sennością, baczne oko odkryć-by mogło utajone, spodnie niby war-stwy uczuć i charakteru. Było coś marzycielskiego i cierpiącego zarazem w oczach jego wielkich, szero-ko rozwartych, o błękitnój źrenicy, obleczonój szkli-stą powłoką. Tęsknoty jakieś zaznane i stłumione przemocą, pragnienia jakieś niezaspokojone i w głę-biny piersi zepchnięte, malowały się w zarysie warg jego cienkich, pojętnych i noszących na sobie piętno kamiennój jakby rezygnacyi. Niekiedy na czole bia-łym i gładkiem powstawały mu dwie poprzeczne bru-zdy. Wywoływały je może wspomnienia jakieś odle-głe, lecz wiecznie bolące, bo w chwili, w której zja-wiały się, Ber dotykał dłonią piersi swój i krótkie, urwane westchnienie podnosiło mu ramiona. Widać było, że w przeszłości człowieka tego odegrał się kie-dyś dramat cichy, nikomu w całej swój pełni niezna-

ny, lecz którego rozwiązanie, pograżając w sennosc wolę i myśl jego, w piersi mu pozostawiło wiecznie zamierające i wiecznie odradzające się echa...

Teraz stał on naprzeciw młodzieńca, którego prze-mocą prawie wyprowadził z tłumu, i długo wpatry-wał mu się w twarz szklistém swém, cierpiącym okiem.

— Meir! — rzekł наконец — dziad twój Saul miał, godzinę temu, długą rozmowę z synem swoim, Abramem. On gości swoich porzucił, ażeby z nim rozmawiać, i mnie rozmowy tej słuchać kazał, bo chciał, żeby słowa, z ust jego wychodzące, i słuchają-ce ich sumienie syna jego, świadka we mnie miały. Bądź już spokojny, Meir. Stryj twój do wielkiego grzechu tego i wstydu, które niezadługo staną się, na-leżąc nie będzie...

— Staną się! — z uniesieniem przerwał Meir — one nie staną się! ja tak zrobię, że one nie sta-ną się!

Uśmiech, niewesoły wcale, przeleciał po ustach Bera.

— Ty tak zrobisz! — zaśmiał się z cicha. — A jak ty to zrobisz? Ja domyśliłem się, że ty rabinowi o tém mówić chcesz i szukałem ciebie, żeby ostrzedz cię i nieszczęście od głowy twojej odwrócić. Ty myślałeś sobie, że jak ty rabinowi cały interes rozpowiesz, on zaraz zerwie się i krzyknie, aby nikt brzydkiej rze-czy takiój robić nie śmiał. Jeżeli-by on tak zrobił,

wszyscy byli-by mu posłuszni, to jest prawda—ale on tego nie robi...

— Dlaczego on tego nie robi? — zawołał Meir.

— Dlatego, że on na interesach takich nie zna się...

Uśmiechnął się znowu i mówił dalej:

— Żebyś ty jego spytał się, jakie jedzenie czyste jest, a jakie nieczyste? czy w sabbat można świecę objaśniać i chustką do nosa biodra swoje opasywać? czy, siadając do jedzenia, błogosławić trzeba piérwój wino, albo chleb? albo, żebyś ty jego zapytał się, jak dusze ludzkie przechodzą z ciała do ciała? ilu Jehowa wypuścił z siebie Sefirotów, i jak te Sefiroty nazywają się? i jak układać trzeba litery imion Bożkich, żeby z nich słowa wielkich tajemnic ułożyły się, i kiedy nadejdzie dzień Messyaszowy, i co w tym dniu dziać się będzie?... on na te wszystkie zapytania twoje znalazł-by odpowiedzi długie i uczone. Ale, jak ty jemu opowiadać zaczniesz o gorzelniach, podatkach, o dworach pańskich i tych zamiarach, które na nie źli ludzie mają; on wytrzeszczy na ciebie oczy i będzie ciebie słuchał, jak słucha człowiek głuchy, bo on wszystkiego tego nie rozumie i dla niego, za księgami temi, z których on mądrość swoją czerpie, cały świat jest, jako pustynia, okryta ciemną nocą!...

Meir pochylił głowę.

— Ja czuję, że ty prawdę mówisz — rzekł — a jednak, żebyś ja zapytał się jego: czy wolno jest dla własnej korzyści krzywdzić niewinnego człowieka?

Ber odpowiedział:

— On-by ciebie zapytał się: a kto jest niewinny człowiek? — Izraelita, czy Edomita?

— Edomita! — echowym głosem odpowiedział Meir.

Spójrzał w górę, jakby namyślał się; wzruszył ramionami, jakby czemuś dziwił się wewnętrznie; a potem zatopił wzrok w twarzy Bera.

— Ber! — wyrzekł — czy ty Edomitów nienawidzisz?

Zapytany wstrząsnął przecząco głową.

— Nienawiść przykra jest sercu — odpowiedział. — Kiedyś... jak ja młody byłem... chciałem nawet pójść do nich i zawołać: ratujcie! Teraz kontent jestem, że nie zrobiłem tego i ze swoimi zostałem, ale nienawiści żadnej w sercu mojem dla nich nie mam...

— I ja nie mam — żywo potwierdził Meir. — A czy ty myślisz — zapytał — że Kamionker ich nienawidzi?

— Nie — zaprzeczył Ber — on tylko doi ich, jak krowy, i ma dla nich wsgardę za to, że oni interesów swoich nie pilnują i pozwalają, żeby on ich oszukiwał.

— A Todros czy ich nienawidzi? — zapytał jeszcze Meir.

— Tak — energiczniej, niż kiedy, potwierdził Ber. — Todros ich nienawidzi. A dlaczego on ich nienawidzi? Bo on nie żyje w tym samym czasie, co my wszyscy... on żyje ciągle w tym czasie, w którym Rzymski cesarz świątynią Jerozolimską zburzył i lud izraelski z Palestyny wygnał, i w którym żydów palili na stosach i po całej ziemi gnali. On oddycha, ję i chodzi teraz, ale myśli i czuje tak, jak gdyby był dwa tysiące i tysiąc lat temu. On nic nie wie o tém, że od śmierci przodka jego, Todrosa, co z Hiszpanii tu przybył, mnóstwo lat płynęło ciągle, jak wielka i bystra rzeka, i że na téj rzece pływali mądrzy i dobrzy ludzie, przynoszący światu mądre i dobre rzeczy, i że od tego dalekiego czasu świat zmienił się, a ludzie, którzy nienawidzili i prześladowali jedni drugich, ręce sobie do zgody podali... On nic nie wie, co na świecie dzieje się... nula jak on ma wiedzieć? on od urodzenia swego nigdy z Szybowa nie wyjeżdżał, a oczy jego nie widziały innych książek, jeno te, które mu po dziadach, pradziadach zostały, i żadnego człowieka z innego rodu, jak tylko z narodu izraelskiego.

Meir słuchał i głową z lekka wstrząsał, jakby w myśli swój potwierdzał słowa towarzysza.

— To ja nie mam po co do niego iść... — rzekł po chwili namysłu.

— Ja dlatego szukałem ciebie, ażeby ci to powiedzieć — odparł Ber. — On nie zabroni Kamionkero wi krzywdzić dziedzica Kamiońskiego, bo jemu będzie zdawać się, że dziedzic Kamioński pochodzi z narodu Idumejczyków, który wojował z Jozuem, albo z narodu Rzymskiego, który bałwanom kłaniał się i świątynią Jerozolimską zburzył, albo z narodu Hiszpańskiego, który, pięćset lat temu, bardzo żydów udręczał... On nawet z tobą rozmawiać nie zechce, bo ty w jego oczach *kofrimem*, niedowiarkiem jesteś, i on do tego czasu na głowie twojej rozgniewanej ręki swój nie opiera, tylko przez wzgląd na wielką familią twoją i tę miłość, którą lud dla dziada twego, Saula, ma. Ale, żebyś ty Kamionkera przed nim oskarżył, Kamionker popchnął by go do zemsty nad tobą, tak, jak go już popycha Reb Mosze. Meir! bądź ty ostrożny! zguba twoja niedaleko! uciekaj ty od niej!

Meir na przestroję tę nic nie odpowiedział.

— Ber! — wymówił — ja temu bardzo dziwuję się, ale mnie się zdaje, że w człowieku tym głupim, złym i mściwym, mieszka wielka dusza... On bardzo cierpliwy, dnie i noce siedzi nad księgami swemi... on litościwy! oczy jego łzami zachodzą, jak przed nim ludzie biedni skarżą się i płaczą... on wszystkim do siebie przystęp daje, naucza i pociesza każdego... dla siebie nic nie chce i tak mocno... Ber! on tak mocno wierzy...

Słuchając słów tych, Ber uśmiechał się i szklistym wzrokiem swym spoglądał ku obłokom.

— Ty, Meir, tak o rabinie mówisz — odparł zwolna — a co ty powiesz o tym biednym narodzie, którego ciało wyschło od głodu, którego głowy, od kłopotów bolące i od pogardy, co na niego przez dwa tysiące lat pada, nisko pochylone, a który, jak spragniony do źródła, biegnie do rzeki mądrości, żeby z niej pić? Ty nie pytasz o to, czy mądrość ta prawdziwa jest, albo fałszywa, ale ty patrz na to, jak on w biedzie, w nędzy, w małych interesach żyjąc, mądrości tej pragnie... i jak on mędrców swoich cześci, a tego, co za święte przykazanie ma, wiernie trzyma się? Czy tobie zdaje się, że naród ten, głupi, chciwy i brudny, wielką ma w sobie duszę?

Meir podniósł głowę. Rumieniec opłomieni mu czoło, jak zwykle, gdy bywał wzruszonym.

— Izrael wielką duszę ma w sobie, i ja go kocham nad spokojność moją, nad szczęście moje i nad życie moje. Nu!...

Tu zatrzymał się przez chwilę, porywczym giestem pochwycił ramię Bera i zapytał:

— I ja wiem, czego Todrosowi braknie, żeby on ze swoją wielką duszą wielkim człowiekiem był, i czego ludowi izraelskiemu braknie, ażeby on wielkość swoją przed światem pokazał... Trzeba, żeby myśli ich i pamięć wyszły z tych dawnych czasów, w których one zawsze mieszkają, a zamieszkały w nowych

czasach, co teraz na świat przypląnęły, i trzeba, żeby o głowy ich uderzył skrzydłami swemi Sar-ha-Olam, ten anioł poznania, który jest księżciem świata!

Kiedy młody człowiek, z czołem i wzrokiem w ogniu, słowa te mówił, Ber wpatrywał się w niego głębokiemi, radosnemi i zarazem smutnemi spojrzeniami. Po chwili odezwał się:

— Kiedy ja na ciebie patrzę, Meir, i kiedy ja ciebie słucham, mnie się zdaje, że ja widzę siebie samego... wtedy, kiedy mi tyle lat było, ile tobie jest teraz... Ja także tak, jak ty teraz, gniewałem się bardzo i smuciłem się... ja także chciałem...

Umilkł i dotknął dłonią piersi, bo na czole powstały mu owe dwie głębokie zmarszczki, a źrenice jego z za szklistej swjej powłoki spojrzały kędyś daleko... w świat, czy w przeszłość...

W ten sposób rozmawiali ze sobą dwaj ci ludzie, jeden o ścianę Bet-Midrassu oparty, drugi blisko przed nim stojący. Rozmawiali z ożywieniem, z gwałtownemi niekiedy giestami. Meira oczy płomienne były, a twarz blada; Bera czoło fałdowało się zmarszczkami, a wargi drżały lekko. I ktokolwiekby z ludzi obcych świata temu, wśród którego żyli, czuli i myśleli oni, patrzył teraz na nich, a treść rozmowy ich odgadywać chciał, rzekłby: kupują, sprzedają, targują się, o handlu mówią! Alboż ludzie tacy, jak oni, o czem innem myśleć, mówić, nad czem innem cierpieć mogą?

Mogą. Myślą, mówią, cierpią, tylko nikt w mowy ich nie wsłuchuje się, myśli nie rozumie, cierpień odgadnąć nie pragnie. Morze to jest ogromne i tajemnicze, niebadane przez tych nawet, którzy w niem toną!

— Chodź do domu — rzekł Ber do towarzysza swego — dziad twój, Saul, wkrótce z gośćmi swymi do stołu zasiędzie i rozgniewa się, jeżeli ciebie tam nie zobaczy. I tak już wielka burza nad głową twoją wisi. Hana Witebska odniosła prezenta zaręczynowe, które dziad od ciebie córce jej posłał, nagadała jemu przy gościach wiele nieprzyjemności i zaręczyny zerwała.

Meir uczynił niedbały ruch ręką.

— Ja tego chciałem — rzekł — dziada ja przepraszę... Moja głowa tém tylko zajęta, do kogo tu teraz iść...

Ber z rodzajem zdziwienia spojrział na mówiącego.

— Jaki ty uparty jesteś! — zauważył.

Zmierzali już teraz obaj ku bramie podwórza.

Ber stanął nagle.

— Meir! — rzekł — ty tylko do urzędników nie chodź!

Meir powiódł dłonią po czole.

— Ja poszedł-bym do nich — rzekł — ale mnie strach zdejmuj! Jeżeli prawdę wykryją, to Kamionkera srogo karać będą, a z Kamionkerem i tych nie-

szczęśliwych ludzi, których on skusił... Biedni ludzie! głupi ludzie! Ja ich żałuję...

Umilkł nagle i wpatrzył się w punkt jeden. Rykiem, na pół już opustoszałym, przejeżdżała zgrabna najtyczanka, przez cztery dzielne konie ciągniona, a na niej siedział mężczyzna młody, przystojny, w wykwiśniętym ubraniu.

Meir wskazał palcem najtyczankę, która zatrzymała się przed domowstwem Kamionkera, i z oczyma szeroko rozwartemi od myśli jakiegóż, która mu nagle w głowie zawrzała, drżącym głosem zawołał:

— Ber! czy ty widzisz! to dziedzic Kamionki!

* * *

Słońce zbliżało się ku zachodowi, kiedy na ganku domowstwa Ezofowiczów ukazała się gromadka ludzi żywo, uprzejmie i wesoło ze sobą rozmawiających. Byli to dzisiejsi goście Saula, którzy, uczestwowani przy gościnnym stole jego, uściśnieniami rąk żegnali stojącego pośród nich starca, za łaskę, którą okazał im, dziękowali, i z kolei po dwóch lub trzech na oczekujące ich wozy siadając, długo jeszcze zwracali się twarzami ku stojącym na ganku gospodarzom opuszczonego przez nich domu.

W bawialnej izbie niewiasty domowe, z pomocą dziewczek służebnych, sprzątały z długiego stołu liczne

naczynia, chowały do szaf resztki pozostałych jadeł i napojów i związały starannie grubą, lecz dostatnią i czystą bieliznę.

Na rynku tymczasem targ miał się ku końcowi; przerzedzona znaczna ilość wozów i ludzi zajmowała jeszcze pewną część przestrzeni, ale zmniejszała się z każdą chwilą. W zamian dwa czy trzy domowstwa zajezdne, znajdujące się tuż przy placu, wrzały gwarem i hałasem. Ciemne, przepaściste sienie domowstw tych natłoczone były wozami i końmi wieśniaków, którzy pili, tańczyli, kłócili się i bawili w wielkich szynkowniach.

W szynkowni Kamionkera najtłumniej było i najhałaśliwiej. Nie dziw. Obrotny handlarz trzymał w dzierżawie kilka okolicznych gorzelni i kilkanaście karczem, kierował czynnościami i rozrządzał losami całej armii swoich znowu dzierżawców i szynkarzy. Kilkudziesięciu ludzi, podobnych Samsonowi, który raz w tydzień kupował trzy funty mięsa, a jedenaście osób, familią jego składających, jadło z nich i siły swoje wzmacniało, (Samsonowe iście musiały być siły te!) kilkudziesięciu biedaków takich zostawało w zupełnej od Kamionkera zależności. Wspaniałomyślnym władzą nie był on dla nich, oni też nawzajem wspaniałomyślnymi nie byli dla tych tłumów wieśniaczych, które topiły rozum swój i dobrobyt swych rodzin w rozlewaniem rękoma ich morzu alkoholu. W ten więc sposób Kamionker trzymał w ręku swych

losy setek tysięcy może rodzin wieśniaczych, do czego pomagały mu podwójne końce kredek dzierżawców jego, szynkarzy, z kolei oczekujących od przedsiębiorcy głównego polepszenia, albo ostatecznego zniweczenia, nędznych swych, brudnych, mozołnych istnień.

Nic więc dziwnego, że dokoła domowstwa Kamionkera cisnął się tłum największy wozów i koni; a w szynkowni jego piła i hałasowała największa ilość wieśniaków. Kamionker przecież nie ukazywał się tłumowi temu i sam go nie ugaszczwał. Gospodarowała tam żona jego, Jenta, rozstawiając na stołach dzbany, butelki i czarki, a dopomagały jej dwie brzydkie, barczyste córki, sprzedające u końca jednego ze stołów obwarzanki, chały i śledzie. I ktokolwiek-by wtedy patrzył na postać Jenty, chudą, podaną na przód, obleczoną w luźną, spłowiałą suknię, i na twarz jej uwiedłą, zgorzkniałą, żółto odbijającą od sterczącej przy rudym czepku czerwonej róży; ktokolwiek-by widział postać tę i twarz, leniwo przesuwające się w atmosferze dusznej od tłumnych oddechów ludzkich i odurzającej wyziewami alkoholich napojów; przypuścić-by nie mógł, że była to żona handlarza i przedsiębiorcy na wielką skalę, właściciela jednej z największych w prowincyi fortun pieniężnych.

Trudno-by też było odgadnąć przedsiębiorcę i posiadacza kapitałów znacznych w rudym, małym człowieczku, który w wyszarzanym, długim aż do ziemi

surducie, z szyją ukrytą w zwojach czerwonej chusty, stał teraz w jednym z gościnnych pokoi domu swego, o kilka kroków załedwie od progu.

Był to ten pokój właśnie, w którym świetniały żółte, odwieczne sprzęty z podartem i brudnym obiciem, a także stojące na oknach w glinianych wazonach czarne monstra roślinne.

Reb Jankiel Kamionker stał o kilka kroków od progu, a gość jego, dziedzic Kamioński, siedział na żółtym fotelu, paląc cygaro i półzartobliwym, półzamyślonym wzrokiem patrząc na Reb Jankla.

Młody pan był wysoki, słusznej i silnej postaci; ciemne włosy miał nad otwartem czołem, a na całej twarzy, delikatnej choć pozłoczonej zlekka od skwarów letnich, wyraz łagodny, trochę dobroduszny i dość myślący.

Wesoła żartobliwość, która kiedyniekiedy świeciła w oczach szlachcica, obudzona snadź była widokiem niepozornej postaci, piegowatej twarzy i długich ognistych pejsów Reb Jankla. Zamyślał się zaś on chwilami dlatego zapewne, że niepozorny Rebe z długimi pejsami rozmawiał z nim o ważnym dla niego interesie.

Młody pan zresztą, z otwartem, myślącym czołem i łagodnymi ustami, nie a nie nie wiedział o tém, z kim właściwie rozmawia. Stał przed nim Żyd, dzierżawca jego gorzelni, i koniec na tém. Kimże mógł on być więcej, jak Żydem i dzierżawcą gorzelni?

Że mógł on być jeszcze czynnym i wpływowym członkiem pewnego silnie i odrębnie zorganizowanego społeczeństwa, doskonałym pobożnym, zostającym u prawowiernej części społeczeństwa tego we czci wysoki, mistykiem, oczekującym nadejścia dnia Messyasowego, z wiarą taką, z jaką oczekiwali go ludzie plemienia jego przed kilkunastu wiekami; że był on uczonym i bogaczem, przed którym powstali z głębokim szacunkiem wszyscy biedacy i prostacy narodu jego; że nakoniec około niekształtnych, piegowatych, niedobrze umytych rąk jego, obmotywały się nici licznych losów ludzkich, żydowskich i chrześcijańskich: o tém dziedzic Kamioński, z myślącym czołem i łagodnymi ustami, najlżejszego nie miał wyobrażenia.

To też na myśl mu nawet nie przyszło zachęcić piegowatego, rudego Żyda, aby zbliżył się do niego o parę kroków więcej i usiadł w obecności jego. Reb Jankiel także o zbliżaniu się i siadaniu w obecności szlachcica nie myślał. Nie myślał o tém, bo w okolicznościach podobnych stanie pokorne było mu zwyczajem, po ojcach i dziadach odziedziczonym; a jednak blado-błękitne oczy jego połyskiwały niechętnie i złośliwie, ile razy młody pan zwrócił wzrok w inną stronę i wyrazu ich widzieć nie mógł. Być może, iż Reb Jankiel, nie myśląc wcale o tém i sprawy sobie z uczucia swego nie zdając, czuł przecież, jak od stojących w pokorze nóg jego ku sercu, które w codzienném życiu w wielkiej nurzało się dumie,

płynął gryzący jad otrzymanej i wzajem oddawaną wzdargę, która, gdy na grunt złego serca upadnie, zasiewa nienawiść i zbrodnią.

— Nudzisz mnie, mój Janklu, z temi wiecznemi targami i kontraktami swemi! — niedbale i paląc cygaro, mówił dziedzic Kamioński; — wstąpiłem do ciebie na chwilę tylko, ażeby mi konie odpoczęły trochę a ty mnie już tu na dobre złapałeś...

Reb Jankiel ukłonił się szybko i giętko.

— Ja za śmiałość moję bardzo Wielmożnego Pana przepraszam — rzekł z uśmiechem — ale gorzelnia pańska otworzy się za miesiąc a ja chciałem pierwszeństwo u pana mieć...

— Dobrze! dobrze! — odparł szlachcic — dla czegoż nie miał-bym dać ci pierwszeństwa, skoro od trzech lat dzierżawisz już gorzelnię moję... ale poco tak śpieszyć... miesiąc czasu jeszcze...

— Co to szkodzi zawczasu o interesie pomyśleć? ja woły już skupuję; a przy gorzelni Wielmożnego Pana sto wołów postawić trzeba. Sto wołów! czy to żart?? ja takich dużych pieniędzy wydawać nie mogę, nie mając jeszcze od Wielmożnego Pana żadnej pewności. Jeżeli Wielmożny Pan pozwoli, ja jutro do dworu przyjadę i kontrakt napiszem...

Młody pan wstał z fotelu.

— Dobrze — rzekł — przyjedź... nie wcześniej jednak, jak po południu, bo zrana mnie w domu nie znajdziesz.

— Wielmożny Pan nocować będzie w sąsiedztwie? — zapytał Jankiel i powieki drgnęły mu nerwowo.

— W blizkiem sąsiedztwie — odpowiedział szlachcic i chciał coś jeszcze mówić, ale za plecami Reb Jankla, zwolna i nieśmiało widocznie ręką poruszone, drzwi otworzyły się, a do pokoju wszedł młody Żyd, wysmukły, kształtny, czysto ubrany, z twarzą bladą i bardzo zmieszaną, a okiem gorejącą i śmiałą.

Na widok wchodzącego, Reb Jankiel instynktowym ruchem odskoczył w tył parę kroków. Po białej i piegowatej twarzy jego przebiegały drgnienia przestachu.

— Czego ty tu przyszedł... — zaczął, ale głos uwiązał mu w gardle.

Młody pan zato, z obojętną na przybyłego spojrzeniem, zapytał:

— A czego chcesz, mój kochany? czy interes jaki do mnie?

— Do Wielmożnego Pana — odpowiedział młody człowiek, głosem niższym prawie do szeptu.

Uczynił zwolna kilka kroków na przód, ale Jankiel zagroził mu sobą drogę.

— Niech Wielmożny Pan nie pozwoli jemu rozmawiać ze sobą! — krzyknął — niech Wielmożny Pan ust jemu otwierać nie pozwoli! To bardzo zły człowiek jest... on wtrąca się do wszystkiego...

Dziedzic Kamioński wyciągnął rękę i usunął z przed siebie gorączkowo gięsty kuliującego człowieka.

— Pozwól mu mówić — rzekł — jeżeli ma interes jaki do mnie, czemuż-bym porozmawiać z nim nie miał...

Mówiąc to, patrzył na przybyłego, którego twarz, o pięknych, wyrazistych rysach, bladeścią wzruszenia powleczone, zaciekawiła go widocznie. Przytém obrażała go i rozśmieszała zarazem nagle powstała gwałtowność gestów i mowy Jankla.

— Wielmożny Pan mnie nie zna, ale ja Wielmożnego Pana znam... — zaczął przybyły cichym wciąż, ciężkim głosem...

— Poco Wielmożny Pan znać ma łajdaka takiego, jak ty... — spróbował znowu wpaść mu w mowę Jankiel; ale dziedzic Kamioński uczynił ku niemu gest, nakazujący milczenie.

— Ja Wielmożnego Pana widziałem kilka razy u dziada mego, Saula Ezofowicza, którego syn, Rafał, u Wielmożnego Pana zboże zawsze kupuje...

— Więc jesteś wnukiem starego Saula?

— Tak, ja jestem jego wnukiem.

— A Rafał Ezofowicz to twój ojciec?

— Nie; ja jestem synem Benjamina, najmłodszego z synów Saula, który, dawno już temu umarł.

Meir wyrażał się polszczyzną łamaną nieco, lecz dość znośną. W domu dziada swego słyszał on często rozmowy, prowadzone w tym języku przez przybywających tam za interesami dziedziców dóbr sąsiednich, a i stary Edomita, który uczył go czytania

i pisania innego, niż hebrajskie, tym samym językiem mówił.

— Czy Rafał przysłał cię do mnie — zapytał szlachcic.

— Nie; ja sam przyszedłem...

Milczał chwilę, jakby wzmagał się na siły i odwagę. Wzmógł się, podniósł głowę i śmielszym już nieco głosem zaczął:

— Ja przyszedłem, żeby Wielmożnego Pana ostrzedz przed wielkiem nieszczęściem, które źli ludzie dla pana przygotowują...

Jankiel poskoczył znowu i, rozpościerając ramiona, zasłonił go przed Kamiońskim.

— Czy ty będziesz milczał? — krzyknął — poco ty masz Wielmożnemu Panu głowę turbować swoim głupiem gadaniem...

Zwracając się do szlachcica, rozpaczliwie mówił:

— To waryat jest, *miszugener*, łajdak...

Tym razem jednak nie Kamioński usunął już go z przed siebie, ale uczynił to Meir. Ze zdwojoną gorączką w oczach i przyspieszonym oddechem, odepchnął Jankla i śpiesznie mówić zaczął:

— Ten człowiek mówić mi nie pozwala, dlatego ja Wielmożnemu Panu prędko wszystko powiem. Niech Wielmożny Pan jemu nie ufa; on jest bardzo złym człowiekiem i nieprzyjacielem pana... on panu wielkie nieszczęście zrobi... niech pan jego strzeże się i niech pan domu swego strzeże, jak oka w swojej

głowie... Ja donosicielem nie jestem i dlatego przyszedłem tu, aby Wielmożnemu Panu powiedzieć to przy nim... On będzie mścił się nade mną, ale niech mści się... ja musiałem zrobić to, co każdy prawy Izraelita zrobić powinien... bo napisaném u nas jest: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzony z potomków Izraelowych”, a w drugiem miejscu napisane jest: „Jeżeli milczyć będziesz, na głowę twoję spadną nieszczęścia Izraela!”

Przestał mówić, bo w piersi głosu mu nie stało. Widać było, że drżał cały i że kipiący zapal boleśnie walczył w nim z tajemną, dojmującą trwogą.

Kamioński spoglądał na mówiącego z zajęciem, ze zdziwieniem i z uśmiechem. Tak przywykł uśmiechać się, patrząc na Żydów, że i teraz drżąca postawa Meira, zagadkowe słowa jego, a szczególnie uczynione przezeń biblijne cytaty, piękne same w sobie, ale dziwnie brzmiące w niewprawnej i łamanej mowie Żyda, bardziej śmieszyły go, niż zadziwiała i zaciekawiała.

— Jak widzę — zaczął — stary Saul ma wnuka uczzonego w Piśmie Świętém i obdarzonego darem proroczym. Powiedz-że mi jednak, mój młody proroku, jaśniej i wyraźniej, jakie to nieszczęście grozi mi i dlaczego ten pocziwy Jankiel, który od trzech lat jest moim dobrym znajomym, powziął nagle taką nieprzyjaźń dla mnie?

Jankiel stał teraz tuż przy fotelu, na którym sie-

dział dziedzic, i schylony trochę ku niemu, ze słodkim uśmiechem na ustach, szeptał:

— To waryat! jemu zdaje się ciągle, że on prorokiem jest i on wszystkim ludziom różne rzeczy zawsze przepowiada, a na mnie on zły zato, że ja z niego bardzo śmieję się i drwię...

— No, to już ja śmiać się ani żartować nie będę, żeby on i na mnie zły nie był — wesoło odparł szlachcic, a zwracając się ku Meirowi, z pewną jednak ciekawością, zapytał:

— Jakież to nieszczęście spotkać mnie może? powiedz jasno i wyraźnie, a jeżeli powiesz prawdę, zrobisz dobry uczynek i wdzięcznym ci za to będę...

Meir odpowiedział:

— Wielmożny Pan żąda ode mnie rzeczy bardzo trudnej... ja myślałem, że Wielmożny Pan zrozumie wszystko z kilku słów... mnie ciężko o tém mówić...

Powiódł dłonią po czole, na które wystąpiło kilka kropel potu.

— Czy Wielmożny Pan przyrzecze mi, że, kiedy ja powiem straszne słowo, ono wpadnie w ucho pana jak kamień wpada w wodę, i że pan nie powtórzy słowa tego przed sądem, tylko sam użytek z niego zrobi? Czy Wielmożny Pan mnie da na to swoje słowo?

Bladość mówiącego zwiększała się i głos drżał.

Młody pan walczył widocznie pomiędzy ciekawością a wesołym śmiechem, który go napastował.

— Daję ci słowo honoru — rzekł, uśmiechając się, — że słowa twoje wpadną do ucha mego, jak kamień do wody.

Gorejące oczy Meira zwróciły się ku Janklowi, otworzył usta, ażeby coś powiedzieć, lecz drżały one gwałtownie i żadnego dźwięku wydać nie mogły. Jankiel, korzystając z gwałtownego wzruszenia, które, zdaje się, odebrało na chwilę młodemu człowiekowi siłę i przytomność, nagłym i sprężystym ruchem rzucał się ku niemu, pochwycił za przednie klapy surduta jego i z całej siły popychać go ku drzwiom zaczął. Przypięt krzyczał:

— Co ty do domu mego przychodzisz, żeby memu gościowi głupiem gadaniem swoim głowę turbować? To Jaśnie Wielmożny gość jest... wielki pan, z którym ja trzy lata już handluje i przyjaźń trzymam... Idź ztąd! idź ztąd! idź!

Meir usiłował wyzwolić się z rąk targających go i popychających; ale, jakkolwiek wyższym i silniejszym był od Jankla, Jankiel posiadał większą giętkość i sprężystość ciała, a przypięt dokonywał wysiłen rozpaczliwych. W ten sposób obaj posuwali się ku drzwiom, a młody pan spoglądał na zapasy te z uśmiechem. Nad głową i ramionami miotającego się Jankla podnosiła się bledsza coraz twarz Meira. Nagle oblał ją płomienny rumieniec.

— Niech Wielmożny Pan nie śmieje się — zawołał przerywanym głosem — Wielmożny Pan nie wie,

jak mnie trudno mówić... Niech Wielmożny Pan do mu swego od ognia strzeże...

Przy ostatnim wyrazie zniknął z progu, a Jankiel, zdyszany, zmęczony, z drgającą twarzą drzwi za nim zatrzasnął.

Kamioński uśmiechał się ciągle. Nie dziw. Zapasy małego, rudego Jankla z wysokim i silnym, lecz zbyt wzruszonym, aby dostatecznie bronić się mógł, młodym Żydkiem, rozśmieszający miały pozór. Śród zapasów tych, długa odzież obudów zapaśników rozwiewała się szeroko; Jankiel z uniesienia i wysilenia wielkiego podskakiwał i przysiadął; Meir drżał cały tak, jakby się bardzo lękał i niezgrabnymi ruchami odpychał napastnika. Tworzyło to obraz śmieszny, tém śmieszniejszy, iż składali go ludzie, z których śmiać się ogólnym jest i odwiecznym zwyczajem.

Jakim zresztą sposobem młody szlachcic zrozumieć mógł tajemny, a bynajmniej niekomiczny sens odgrywającej się przed nim sceny? Kiedy rozmawiał z Meirem, czy wiedział, kto właściwie stał przed nim? Młody to Żydek był, łamanym i zabawnym językiem mówiący, wnuk kupca i sam przyszedł kupiec zapewne. Kimże-by innym mógł być, jeśli nie młodym, dość zabawnym Żydkiem i przyszedł zapewne kupcem? Że był on duchem szlachetnym, zbuntowanym przeciw głupotom i nieprawościom wszelkim, duchem aż do rozpaczliwej stęsknionym za swobodą i wiedzą; że, przychodząc tu, dokonywał aktu wielkiej odwagi i kro-

kiem tym gubił całą przyszłość swoją: młody pan naj-
lejszego o tém nie miał wyobrażenia. Albo istnieją
pomiędzy Żydami duchy szlachetne, zbuntowane
przeciw złemu, wysoką tęsknotą rozebrane, odważne?

Po chwili jednak dziedzic Kamioński przestał
uśmiechać się i, patrząc na Jankla, zapytał:

— Wytłómacz-że mi teraz, co to takiego było
i co to za człowiek?

— Ach! co to było i co to za człowiek? — po-
wótórzył Jankiel, który w mgnieniu oka pozór spokoj-
ności odzyskać zdołał. — Było to głupstwo, za które
ja Wielmożnego Pana bardzo przepraszam, że ono
pana w domu moim spotkało; a ten człowiek jest
waryat... On bardzo zły był i ze złości zwaryował...

— Hm, — rzekł Kamioński — nie wygląda je-
dnak całkiem na waryata. Ładną ma twarz i wcale
roztropną.

— On-bo i niezupełny waryat... — zaczął Jankiel,
ale przerwał mu Kamioński:

— Wnuk to Saula Ezofowicza? — zapytał z za-
myśleniem.

— On wnuk Saula, ale dziadek bardzo jego nie
lubi...

— Lubi czy nie lubi, ale rodzzonego dziada pytać
się o niego darmo...

— I owszem, niech Wielmożny Pan zapyta się... —
wykrzyknął Kamionker, a oczy świeciły mu tryumfem.

— Niech pan i stryjów jego zapyta się... to ja zaraz
pobiegnę, i stryja jego, Abrama, tu przyprowadzę...

— Nie trzeba; — rzekł krótko szlachcic.

Wstał i zamyślił się. Spojrzał potem na Jankla
bystro i uważnie. Jankiel spotkał spojrzenie to śmia-
łym okiem. Milczeli obaj chwilę.

— Słuchaj, Janklu! — rzekł Kamioński — jesteś
człowiekiem niemłodym, zamożnym kupcem, ojcem
rodziny; powinienem więc ufać ci więcej, niż młodzi-
kowi, którego pierwszy raz w życiu widziałem i który
zresztą naprawdę waryatem być może... Jednak
w tém coś być musi... ja o młodego człowieka tego
rozpytać się muszę...

— Niech Wielmożny Pan rozpytuje się; — ze
wzgardliwym wzruszeniem ramion rzekł Jankiel.

Kamioński po dość długiej chwili namysłu zapytał:

— Czy wasz sławny rabin jest teraz w mia-
steczku.

— A gdzie on ma być? on od urodzenia swego
nigdy z miasteczka nie wyjeżdżał.

— Stateczny człowiek — uśmiechnął się znowu
Kamioński, i wziął ze stołu zgrabną swą czapeczkę.

— No, Janklu — rzekł — prowadź mię do rabi-
na... choćbym się nie dowiedział nic ciekawego, zy-
skam przynajmniej to, że choć raz w życiu rabina
waszego zobaczę...

Jankiel z pośpiechem drzwi przed wychodzącym

gościem otworzył i wraz z nim na plac, zupełnie już prawie pusty, wyszedł.

Przez plac przechodził w tej chwili Eli Witebski i, spostrzegłszy Kamiońskiego pana, z uśmiechem, pełnym uprzejmości, ku niemu pośpieszył. Kamioński też powitał go grzecznie. Zewnętrznym wyglądem swoim przynajmniej, światowy kupiec, bardziej od innych mieszkańców miejsca tego, zbliżony był do tej odmiany rodu ludzkiego, która nosi nazwę ucywilizowanych.

— Wielmożny Pan do miasteczka naszego zawiatał. Czy za interesem jakim?

— Nie, przejeżdżam tylko.

— A dokąd Wielmożny Pan teraz dąży?

— Do rabbina waszego, panie Witebski.

Witebski zdziwił się.

— Do rabbina? a czego wielmożny pan od niego chce?

— Śmieszna historia! mój Witebski! Ot, powiedz mi, czy znasz wnuka Saula Ezofowicza?

— Którego? Saul ma wielu wnuków!

— Jak mu na imię? — przez ramię ku Janklowi rzucił pan.

— Meir! Meir! ten niegodziwiec! — zakrzyczał Kamionker.

Witebski skinął głową na znak zrozumienia.

— Nu! — zaczął z łagodnym i pobłażliwym uśmiechem, — niegodziwcem on nie jest. Młody jeszcze, poprawić się może... Ale niespokojną głowę ma...

— Cóż? *miszugiener* trochę? — zaśmiał się pan, żartobliwym giestem palec do czoła swego przykładając.

Nu, — odpowiedział Eli, — waryatem on także nie jest... młody, porozumnieje jeszcze... ale on teraz wielkie głupstwa wyrabia... to prawda! On i mnie dziś nieprzyjemności wielkich narobił... aj! aj! co ja przez niego zmartwienia i kłopotu miałem i będę jeszcze miał!

— Tak więc, — rzekł Kamioński, — rodzaj to jest półgłówka i złośnika, który sam nie wie, czego chce, i wszystkim przykrości sprawia?

— Pan zgadł! — odpowiedział Witebski i zaraz dodał: — ale on młody jeszcze, z niego kiedyś porządny człowiek może być...

— Co znaczy, że teraz nie jest porządnym człowiekiem...

— Proszę Wielmożnego Pana tędy, — rzekł w tej chwili Jankiel, wskazując dziedzicowi bramę synagogałnego dziedzińca.

— A gdzież jest mieszkanie waszego rabbina?

Kamionker wyciągnął palec ku przytulonej do ściany świątyni ciemnej lepiance.

— Jaktó! — zawołał szlachcic, — w tej chacie?

I zmierzał ku chacie, ale z Janklem już tylko; Witebski bowiem, spostrzegłszy, że zanosi się na jakąś sprawę ważną, może i przykrą, z ukłonami i uśmiechami szybko synagogałny dziedziniec opuścił.

Drzwi chaty rabбина zamkniętymi już były, ale u otwartego jęj okna stało jeszcze ludzi kilkunastu, z cicha pomiędzy sobą rozmawiających, i od czasu do czasu we wnętrze chaty rzucających nieśmiało spojrzenie. Ale we wnętrzu chaty panowało już milczenie głębokie, i ktokolwiek-by widział wprzód, jak mozolnie i niezmordowanie Izaak Todros pracował przez długi szereg godzin, przypuścił-by niezawodnie, iż teraz używał on spoczynku w śnie lub bezczynności zupełnej. Przypuszczenie takie było-by grubą omyłką. Z wyjątkiem kilku krótkich godzin nocnych, w których sypiał snem tak przerywanym i trudnym, jakim bywa zazwyczaj sen ludzi o wytężającym się wciąż umyśle i rozdrażnionych nerwach, Izaak Todros nie spoczywał nigdy. Było to żyjące wcielenie pracy niezmordowanej, namiętnej, nieznającej co to znienchęcenie, płynące ze zwątpienia jakiegokolwiek, albo trwożliwój o własne zdrowie i życie dbałości. I teraz także, po całodzienném przebywaniu w upalnej i dusznej atmosferze, sprawionój w ciasnej chacie jego ogromnym natłokiem ludzi, po długim wysileniu myśli i piersi, rabbi Szybowski nie legł na twarde łóżce swe, ani wyszedł za miasteczko, kędy świeżość i cisza owiać-by mogły czoło jego, oblane potem i zmięte trudami mozolu; ale pozostał na tēj ławie, na której siedział od wczesnego ranka, i tylko, księgę wielką przed sobą rozwarłszy, wczytywał się w nią pilnie, nabożnie, bezpamiętnie. Księgę tę zresztą, jak wszyst-

kie inne, które posiadał, przeczytał on już tyle razy, że umiał ją na pamięć prawie, od początku do końca. Czytał ją jednak ciągle, bo z za wyrazów jęj błyskały mu coraz nowe sensy i tajemnice, a on, ku ostatecznemu pojęciu sensów tych i odkryciu tajemnic, dążył wszystkimi siłami ducha swego, palącego się w ogniu mistycznych wiar, marzeń i pragnień.

Reb Mosze za to spoczywał, choć także niezupełnie. Siedział on w kątku izby, na ziemi, łokcie opierał na podniesionych kolanach, brodę chował w dłonie, a wzrok zatapiał nieruchomo w twarzy mistrza, schylonój nad księgą. Była to kontemplacya taka, z jaką mistrz chrześcijański wpatruje się w obraz świętego patrona zakonu swego, z jaką wpółdziki murzyn przygląda się fetyszowi, wystruganemu z drzewa, z jaką miłośnik i badacz natury spogląda w przestrzeń, usianą miryadami świecących ciał niebieskich. W oczach Reb Mosza, wlepionych w twarz wielkiego rabina, malowały się: uwielbienie, podziw i miłość.

Nagle otworzyły się drzwi izdebki, i za progiem jęj ukazał się dziedzic Kamioński. Zatrzymał się tam chwilę i rzekł do idącego za nim Jankla:

— Zostań tu, panie Janklu, ja sam rozmówię się z panem rabinem.

Rzekłszy to, pochylił głowę, aby przestąpić próg drzwiczek, zbyt niskich dla wysokiój i okazałój jego postaci.

Przestąpił próg i pytającem okiem powiódł dokoła.

Naprzeciw niego, u czarnój od pyłu i brudu ściany, siedział na ławie człowiek w nędzném odzieniu, z czarnemi jak noc włosami i brodą, z twarzą pomarańczowego prawie koloru, którą podniósł przy wejściu jego z nad księgi o żółtkłych, odwiecznych kartach. Nad czołem człowieka tego, nizkiem i przerniętém kilku grubemi poprzecznymi zmarszczkami, sterczał w półkole zmięty daszek czapki, na tył głowy zsuniętój, a oczy jego, czarne i gorejące, z osłupieniem zdumienia utkwily w twarzy przybysza.

W kącie izby, nisko przy ziemi, szarzała druga jeszcze postać ludzka, ale na nią młody pan przelotnie tylko rzucił spojrzenie. Na myśl mu nawet nie przyszło, aby człowiek, siedzący na ławie, z dziurami na rękawach odzieży i osłupiałym wyrazem w oczach, był tym właśnie rabinem Szybowskim, którego sława, rozchodząc się po świecie żydowskim na wiele mil dokoła, oderwanemi, niewyraźnemi echemi wnikała w świat chrześcijański.

Zbliżył się tedy do człowieka tego i dość grzecznie zapytał:

— Czy mogę widzieć się z Szybowskim rabinem?

Odpowiedzi nie było żadnej.

Siedzący na ławie człowiek wyciągnął tylko ku niemu długą, żółtą szyję, i szerzej jeszcze otworzył oczy i usta. Osłupienie, a może i inne też nagle doznane uczucie, rzuciło na całą powierzchowność jego

wyraz ogłupiałości, do idyotyzmu nieomal posuniętój. I nie dziw wcale, że Izaak Todros podobnie piorunującego doświadczył wrażenia na widok stojącego przed nim szlachcica. Piérwszy to był Edomita, który progi jego przestąpił, odkąd on sam w progach tych żył; piérwszy, którego z blizka ujrzały oczy jego i który przemówił doń dźwiękami, rozlegającemi się w uszach jego obco zupełnie, niezrozumiale, a nieledwie dziko. Gdyby Anioł Metatron, niebieski patron i obrońca Izraela, albo nawet wódz i naczelnik szatanów zjawił się był przed nim, byłby on mniej zdumionym i przerażonym; z nadprzyrodzonymi bowiem jestestwami wiązały go ściśle, jakkolwiek nie bezpośrednie stosunki. Badał i znał pochodzenie ich, naturę, właściwości i czynności wszelkie. Ale ten okazały, wysoki człowiek, w obrzydliwém ubraniu, które do kolan nie sięgało mu nawet, z białém, jak u niewiasty, czołem swojém i niezrozumiałą swą mową, z jakich stron przybywał? poco przychodził? czego chciał? Idumejczykiem-że był on? Filistynem? srogim Rzymianinem, który zwyciężył mężnego Barkobekę? albo co najmniej, Hiszpanem, który mordował słynną rodzinę Abrabanelów, a i przodka jego, Todrosa, bezecnie z kraju swojego wygnał?

Kamioński oczekiwał chwilę odpowiedzi na pytanie swe, a nie doczekawszy się jój, zapytał powtórnie:

— Czy mogę widzieć się z Szybowskim rabinem?

Tym razem, na dźwięk podniesionego nieco głosu

jego, postać ludzka, szarzejąca w kącie izby, poruszyła się i powstała zwolna. Reb Mosze, z otwartymi od zdziwienia usty i osłupiałym, w twarz przybysza utkwionym wzrokiem, wysunął się na światło, i gardłowo, przeciągle wymówił:

— Ha?

Na widok człowieka tego, odzianego z pierwotną i niesłychaną już gdzieindziej prostotą, po całej twarzy Kamiońskiego dziedzica drgnęły i rozbiegły się, szybko jednak powstrzymane, uśmiechy.

— Mój panie! — zwrócił się do Reb Mosza, — czy człowiek ten głuchy jest i niemy? Dwa razy pytałem go już o Szybowskiego rabbina, a odpowiedzi żadnej nie otrzymałem.

Mówiąc to, wskazywał Todrosa, który teraz zwolna zwrócił się ku mełamedowi i, wyciągając ku niemu szyję, zapytał:

— *Wos sagt er? Wos wyl er?* (co on mówi? czego on chce?).

Reb Mosze, zamiast odpowiedzi, szerzej jeszcze otworzył usta, a w téj-że chwili za otwartym okienkiem ozwały się szmery i szepty. Kamioński spojrział ku okienku i zobaczył, że było ono całe napełnione twarzami, spoglądającymi w głąb izby z zewnątrz. Twarze te były ciekawe i nieco przelęknięte. Kamioński zwrócił się ku nim z zapytaniem:

— Czy tu mieszka rabbin Szybowski?

— Tu! — odpowiedziało głosów kilkanaście.

— A gdzież on?

Kilkanaście palców wskazało człowieka, siedzącego na ławie.

— Jakto! — zawołał szlachcic, — człowiek ten jest tym waszym sławnym i mądrym rabinem?

Twarze, zapełniające okno, rozpromieniły się szczególną błogością jakąś i oczyma dawały znaki twierdzenia.

Widać było, że Kamiońskiego ogarniała wielka chęć śmiechu, którą jednak powstrzymywał jeszcze.

— A to kto? — zapytał, wskazując Reb Mosza.

— Nu, — odpowiedziało mu z okna parę głosów, — to jest *mełamed*, bardzo mądry i pobożny człowiek!

Kamioński zwrócił się znowu do Todrosa.

— Szanowny panie rabinie, — rzekł, — chciałbym chwil kilka pomówić z panem bez świadków.

Todros milczał grobowo. Oddech jego tylko stawał się coraz śpieszniejszym, a oczy coraz płomieniej.

— Panie mełamedzie! — rzekł szlachcic do bosonogiego człowieka w grubiej koszuli, — czy to może u was dzień taki, że rabinowi waszemu mówić nie wolno?

— Ha? — przeciągle zapytał Reb Mosze.

Kamioński, wpół śmiejąc się, wpół z gniewem, zawołał ku stojącym za oknem ludziom:

— Dla czego oni nie odpowiadają?

Długie nastąpiło milczenie. Twarze, napelniające okno, spoglądały ku sobie z widoczném zakłopotaniem.

— Nu! — ozwał się ktoś śmielszy, — oni rozumieją tylko po żydowsku!

Kamioński szeroko roztworzył oczy. Nie chciał wierzyć uszom własnym. Śmiech go ogarniał, ale zarazem téż i nieokreślony gniew jakiś.

— Jakto! — zawołał, — oni nie rozumieją języka kraju, w którym żyją?

Milczenie.

— Nu, — rzekł nakoniec ktoś z okna, — nie rozumieją.

W głosie, który krótki wyraz ten wymówił, dzwiała téż głucha jakaś niechęć.

W téj chwili Izaak Todros porwał się z siedzenia swego, stanął, wyprostował się, podniósł obie ręce nad głowę i śpiesznie bardzo mówić zaczął:

— Przyjdzie taki dzień, że Messyas w ptasiem gnieździe, które w raju zawieszoném jest, obudzi się i na ziemię zejdzie. Wtedy na całym świecie rozpostrze się wojna ogromna, Izrael stanie naprzeciw Edomu i Izmaela, a Edom i Izmael, zwyciężeni, u nóg jego położą się, jako ścięte cedry.

Wymawiając wyrazy: Edom i Izmael, mówiący wyciągnął wskazujący palec swój ku stojącemu na środku izby Edomicie. Giest ten jego groźny był i uroczysty; groźnie i namiętnie płonęły mu oczy;

piersią pochwycił szybko powietrze i z wybuchem głosu powtórzył raz jeszcze:

— Edom i Izmael położą się u nóg Izraela, jako złamane cedry, a ogrom pomsty Pańskiej spadnie na nich i zetrze ich w proch.

Teraz kolej nierozumienia przyszła na stojącego pośrodku izby Edomitę. Podobnym on był wprawdzie do smukłego i silnego cedru, ale nie do takiego wcale, który wkrótce uledez ma katastrofie rozsypania się w proch. Przeciwnie, był on bliższym coraz katastrofie homerycznego roześmiania się, której szczęśliwie, choć z niemałym wysileniem, unikał dotąd.

— Co on mówi? — zapytał ludzi, tłoczących się w oknie.

Odpowiedzi nie było. Wszyscy stali, z oczyma wlepionemi w mówiącego mędrca, a na ciemnej, okrągłej twarzy melameda rozlewał się już wyraz niewysłowionego zachwytu.

— Moi kochani! — zawołał Kamioński, — powiedźcie mi, co on mówił?

Głos jakiś z okna, gruby i chropowaty, ale dziwném jakby szyderstwem, dziwną jakby żądzą odwetu nabrzmiały, odpowiedział pytaniem:

— Jasny Pan nie zrozumiał?

Pytanie to naiwne, dziwaczne, niesłychane, położyło kres silnej woli młodego pana. Szafirowe oczy jego zaświeciły nieposkromioną wesołością, a z piersi wybuchnęła długa, głośnie gamuna śmiechu.

Ze śmiechem tym zwrócił się ku wyjściu.

— Dziecy ludzie! — zawołał we drzwiach. Idąc synagogałnym dziedzińcem, śmiał się wciąż i coraz więcej, a ludzie, którzy cisnęli się ku oknu rabina, poodwracali teraz głowy i ścigali go wejrzeniami, pełnemi zdumienia i dotkliwój, głębokiój obrazy.

Nie dziw. Młody pan śmiał się, a pomimo śmiechu, w głębi piersi czuł głuchy gniew i urazę, bo mędracy Izraelscy, których widział przed chwilą, wydali się mu ludźmi dzikimi i wysoce komicznymi, a nie rozumieli nawet języka ziemi téj, którój powietrzem oddychali, a płodami żywili się od wieków. Ludzie zaś, cisnący się do chaty rabina, ścigali go wzrokiem niechętnym, aż do nienawiści prawie, bo śmiechem swym zbluźnił on temu, co oni najgoręcej miłowali i czcili najwyżej. Biedni mędracy Izraelscy i czciciele ich, którzy ścigali Edomitę nienawistnemi spojrzeniami! Biedny Edomita, śmiejący się z Izraelskich mędrców i ich czcicieli! Lecz najbiedniejsza, o! najbiedniejsza ziemia, którój synowie, po wspólnój wiekowej podróży, nie rozumieją wzajem mowy ani ust, ani serc swoich!

W bramie synagogałnego dziedzińca Jankiel Kamionker znalazł się obok młodego dziedzica.

— No, panie Jankiel, — zawołał dziedzic, — mądrego i uczonego rzeczywiście macie rabina!

Jankiel nie odpowiedział na to nic, i zaczął zaraz mówić o przyszłorocznój dzierżawie Kamiońskiej go-

rzelni. Zdawało-by się, że tak lekceważył wszystko, co zaszło, iż zapomniał już nawet o tém. Kamioński nie zapomniał, ale jedyném wrażeniem, które pozostało mu wszystko, co słyszał i widział, było zdziwienie, połączone z wesołością. Młody prorok, rozgniewany na proroka Jankiel z długimi pejsami, rabin, nieznający żadnego innego języka nad żydowski, i towarzysz jego, ubrany z pierwotną prostotą, — wydawali mu się naprzemian to niezrozumiałymi, to oburzającymi, to śmiesznymi. Pilno mu było o doznanej w żydowskiém miasteczku przygodzie opowiedzieć krewnym i przyjaciółom, do których jechał. Jak-że głośno i serdecznie śmiać się będzie z opowiadania jego, rumiany i dobroduszny pan Andrzej! Z jak wdzięcznym uśmiechem na różanych ustach wysłucha go córka pana Andrzeja, prześliczna Jadzia, o którój wdzięcznych uśmiechach od wielu już tygodni i miesięcy dziedzic Kamioński marzył, jak wierny o rajul!

Myśląc o uśmiechu prześlicznej Jadzi, młody pan wskoczył na nejtyczankę swą, a spojrzawszy ku zachodniej stronie nieba, zawołał:

— O! jakżeście mię długo tu zatrzymali!

Skinął potem głową ku Janklowi i krzyknął na furmana:

— Ruszaj!

Dzielna czwórka siwków porwała zgrabny kawa-

lerski powozik, który jak błyskawica przemknął przez plac miasteczka i zniknął w złotych kłębach kurzawy.

Na zachodniej stronie nieba gasły zwolna jaskrawe obłoki, przezroczyście zmrok sierpniowego wieczoru spuszczał się na miasteczko i szarawym cieniem napełniać zaczynał bawialną izbę Ezofowiczów. W izbie téj rozlegały się przed chwilą zgiełkliwe krzyki i kłótnie, wśród których wzbijał się najgłośniejszy i najzapamiętałéj mówiący głos Rebe Jankla. W sposób rozmaity: powolnie i gwałtownie, gniewnie i pojednawczo odpowiadali mu liczni członkowie rodziny, którą rudy Jankiel osypywał skargami, wyrzutami i groźbami. Poczém skarżący się i grożący człowiek, drżąc cały od gniewu, a może i trwogi, wypadł z domostwa i pędem wielkim biegł ku mieszkaniu rabina, a kilku ludzi, w izbie pozostałych, siedziało i stało długo w milczeniu i bezruchu zupełnym, tak, jakby gniewne lub kłopotliwe myśli, w głowach ich powstałe, każdego z nich przykuły do miejsca.

Saul siedział na żółtém kanapie, z głową schyloną i rękoma nieruchomo złożonemi na kolanach, i ciężko, boleśnie, głośno wdychał. Dokoła niego, otrząsłszy się nakoniec z zadumy i wzruszenia, siedli na stołkach: Rafał, Abram i Ber. Przysunęły się téż cicho i za mężami swemi usiadły żony Rafała i Bera, niewiasty lubione i poważane w rodzinie. W kącie izby szarzała jedna jeszcze postać ludzka. Był to

młodzieńki Chaim, syn Abrama, a serdeczny przyjaciel Meira, którego obecności nikt nie spostrzegł.

Saul piérwszy przerwał milczenie.

— Gdzie on poszedł? — zapytał.

— Do rabina na skargę, — odpowiedział Abram.

— On Meira przed sąd duchowny powoła, — zauważył Rafał.

Saul zakółysał się i jęknął:

— Aj! aj! biedna głowa moja! tegoż ja doczekałem się na starość moję, ażeby wnuk mój przed sądem stawiony był, jak rozbójnik jaki albo oszust!

— On, jako donosiciel, przed sądem stanie, — z uniesieniem zawołał Abram i prędko, gwałtownie mówił dalej:

— Tate, z Meirem coś zrobić trzeba. Ty myśl i rozkazuj, co z nim zrobić. Tak dłużej nie może być. On siebie i synów naszych zgubi, a całej familii naszej wstydu i szkód wielkich narobi. Tate! ludzie i tak już gadają, że ród Ezofowiczów ciągle wydaje z siebie ludzi takich, którzy zakon Izraelski rękoma swemi podkopywać chcą i do domu Izraelowego wprowadzać fałszywe bogi!

— To jest prawda. Ja sam słyszałem takich ludzi, którzy mówili, że ród Todrosów i ród Ezofowiczów są jak dwie rzeki, z których jedna płynie w tył, a druga na przód. One ciągle spotykają się z sobą i walczą, która którą pod ziemię zepchnąć ma. Gadanie to ucichło było i zapomnieli o niem ludzie. Te-

raz znowu zaczęło rozchodzić się po świecie. Winien temu Meir. Tak dłużej być nie może. Trzeba z nim coś zrobić. Ty, tate, myśl o tém i rozkazuj, a my rozkazania twoje do skutku doprowadzimy.

Wśród niepewnych światel szarą godzinę widać było, jak na pomarszczone policzki Saula wybijały się ceglaste rumieńce.

— Co z nim zrobić? — zapytał po dłuższej chwili milczenia, a głos jego podobnym był do stłumionego łkania.

Rafał wyrzekł:

— Trzeba jego jak najprędzej ożenić!

Ber, który milczał dotąd, ozwał się:

— Trzeba jego ztąd wysłać.

Saul namyślał się długo, potem odpowiedział:

— Wszystkie wasze rady niedobre są. Karać bardzo srogo ja jego nie mogę. A coby na to powiedziała dusza ojca mego, Hersza, którego drogami on chce chodzić, a którego sądzić mnie nie wolno? Ożenić jego prędko ja także nie mogę, bo dziecko to nie takie jest, jak wszystkie. Harde i zuchwałe ono jest i w kajdany okuć się nie da. On już zresztą tak splamiony i srogimi naganami cały okryty, że jemu żaden bogaty i uczony Izraelita córki swojej za żonę nie da....

Tu głos Saula zadrżał znowu upokorzeniem wielkim. Tegoż doczekał się, że wnuka jego, najulubieńszego niegdyś ze wszystkich, żadna już z dostoj-

niejszych rodzin Izraelskich za syna swego przyjąć nie zechce!

— Wysłać jego ztąd, — mówił dalej, — ja także nie mogę... bo mnie strach, żeby on na szerokim świecie nie wygnał do reszty z serca i głowy swojej wiary swoich ojców... Ja jestem teraz tak, jak ten wielki i uczony rabin, o którym takie pisanie jest, że miał on syna bezbożnego bardzo, który pod sekretem od niego *chazar* (wieprzowinę) jadł. Ludzie radzili jemu, żeby on syna tego w świat wysłał i biedzie a tułaczce srogię w ręce oddał. Ale on powiedział: niech syn mój przy mnie zostanie i na zmartwioną postępowaniem jego, twarz moję patrzy ciągle, bo widok ten serce jego miękkim i posłusznym zrobić może, a sroga bięda przemieni je w twardy kamień...

Umilkł Saul i wszyscy milczeli. Milczenie to prze-rywały tylko od czasu do czasu westchnienia dwóch niewiast, siedzących za mężami swymi. W izbie ciemniało coraz.

Po chwili, przyciszonym nieco i nieśmiałym jakby głosem, Ber mówić zaczął:

— Pozwólcie, ażebym ja dziś przed wami otworzył serce moje. Ja rzadko mówię, bo ile razy mówić chciałem, na mnie spadały dawne przypomnienia z mojej młodości, a głos mój odzywał się z pod nich, jak z pod ziemi, i najcichszym był ze wszystkich głosów w rodzinie naszej. Ja więc przestałem mówić i doradzać, i patrzyłem tylko żony mojej, dzieci i inte-

resów moich. Ale teraz znów mówić muszę. Naco tu tak długo myśleć o tém, co z Meirem zrobić? Dajcie jemu swobodę. Pozwólcie jemu iść w świat, a gniewem waszym, ani wtrąceniem go w biedę srogo nie karzcie go! Co on zrobił? On wszystkie przykazania synajowe wiernie pełnił i nauki świętej pilnie uczył się, a wszyscy bracia i wszystkie siostry w całej rodzinie jego, i nawet ubogi, prosty lud, co w nędzy i ciemnocie żyje, kochają go, jak duszę własną. Czego wy od niego chcecie? zaco wy jego karać macie? co on złego zrobił?

Przemówienie to Bera, wypowiedziane wpół-leniwym a wpółnieśmiałym głosem, wywarło na wszystkich obecnych silne wrażenie. Żona jego, Sara, przełęczona widocznie, ciągnęła go za rękaw od surduta i szeptała mu w ucho:

— Sza! sza! Ber! na ciebie będą gniewać się za zuchwałe słowa twoje!

Saul kilka razy podniósł głowę, i kilka razy pochylił ją znowu. Można-by rzec, że wdzięczność dla Bera walczyła w nim i z obrazą, i gniewem. Porywczy Abram zawołał:

— Ber! twoje własne grzechy przez usta twoje przemówiły! Ty ujmujesz się za Meirem, bo sam byłeś taki, jakim on teraz jest!

Rafał wyrzekł ze zwykłą sobie powagą:

— Ty, Berze, mówiłeś o przykazaniach synajowych i powiedziałeś, że Meir przeciw nim nie zgrze-

szął. To jest prawda. Tylko ty zapomniałeś, że Zakon Izraelski nie tylko na tych dziesięciu przykazaniach stoi, co je Mojżesz na Górze Synaj od Pana usłyszał, ale jeszcze i na 613-tu, które wielcy Tanaici, Amoraici, Gaonowie i rabini w Talmudzie zapisali. My posłusznymi powinniśmy być nie dziesięciu, ale 613-tu przykazaniom, a Meir talmudowych przykazań wiele naruszył...

— On wiele grzechów popełnił! — zawołał Abram — ale największy grzech jego jest ten, którego on dopuścił się dzisiaj. On brata swego, izraelitę, przed cudzym człowiekiem oskarżył, głowę jego wielkim niebezpieczeństwom poddał i naruszył jedność i przymierze izraelskiego ludu! A co z nami stanie się, jeżeli my jeden drugiego przed cudzymi ludźmi skarżyć będziemy? A kogoż my kochać i bronić będziemy, jeżeli nie braci naszych, co są kością naszych kości i krwią naszą krwią? On więc pożałował cudzego człowieka, niż brata swego izraelity, niech-że jemu za to...

Nagle, namiętny i zapalczywy człowiek ten mowę swą urwał, umilkł, i z otwartymi jeszcze ustami nieruchomym, jak posąg, pozostał. Siedział on naprzeciw okna, i w okno to wpatrywał się osłupiałym wzrokiem.

— Co to jest? — zawołał nakoniec drżącym głosem.

— Co to jest? — powtórzyli za nim wszyscy obe-

cni i wszyscy, z wyjątkiem Saula, powstałi z miejsc swoich.

W izbie, ciemnej przed chwilą, widno zrobiło się tak, jak gdyby na placu miejskim zapłonęło tysiąc pochodni i światło swe do wnętrza domowstwa obfitemi strugami wlewało. Pochodnie to były w istocie, ale nie na placu miejskim, tylko kędyś o parę wiorst dalej płonące, i nie wewnątrz domowstwa Ezofowiczów tylko, ale całą firmamentu połowę oblewające morzem jaskrawej światłości.

Wśród nagle rozbłysłego wokoło nich oświetlenia, mężczyźni stali pośrodku izby nieruchomi, oniemiałi, wpatrzeni w słupy ogniste, rozplywające się po niebie coraz szerzej... coraz wyżej...

— Jak *on* prędko zamiaru swego dokonał! — wyrzekł Abram.

Nikt nie odpowiedział.

W miasteczku, cichém przed chwilą, odzywać się zaczęły gwary i hałasy. Żadna w świecie ludność tak łatwo i prędko, jak izraelska, nie daje się porwać wrażeniom wszelkiego rodzaju. Tym razem wrażenie silném być musiało. Budził je żywioł potężny, roznoszący po ziemi zniszczenie, a po niebie prześwieczne blaski. To też słyhać było, jak ze wszystkich ulic i uliczek miasteczka, z tententem stóp śpiesznie biegnących, z szumami wzburzonych jakby strumieni, tysiączna ludność płynęła ku zamiejskim polom. Za oknami Ezofowiczów plac czerniał cały od płynącego

w jednym kierunku tłumu tego, i wrzał gwarem najrozmaitszych zapytań i przypuszczeń. Lecz po nad gwarem tym rozległo się kilka donioślejszych głosów:

— Kamionka! Kamionka! — zawołali ludzie, lepiej od innych z miejscowością obznajmieni.

— *Herste! Herste!* Kamioński dwór! — pochwycił cały chór głosów.

— Aj! aj! taki wielki dwór! taki piękny dwór!

Były to ostatnie wykrzyki, które, nad tłumem szumiącym za oknami wzbijając się, wniknęły do wnętrza domu Ezofowiczów. Potém tłum ten przepłynął plac, oddalił się ku krańcowi miasteczka, a odgłosy stąpań i rozmów jego odzywały się z daleka już tylko i niewyraźnie.

Wtedy stary Saul powstał z kanapy i z twarzą zwróconą ku oknu stał długo, nieruchomy i milczący.

Zwolna potém podniósł ręce, które drżały trochę, i drżącym też głosem wymówił:

— Za czasów ojca mego, Hersza, i za czasów moich, nie działały się rzeczy takie na świecie i grzechów takich pośród Izraela nie było... z rąk naszych płynęły na kraj ten srebro i złoto, ale nie ogień i lzy...

Po chwili milczenia, w głębokiej jakby zadumie pogrążony, ze wzrokiem wciąż wpatrzonym w ogniste niebo, rzekł jeszcze:

— Ojciec mój, Hersz, z dziadem *jego* w wielkiej przyjaźni żył... oni często rozmawiali ze sobą o ważnych interesach, a Kamioński pan, co jeszcze opasywał się pasem złocistym i długą szablę u pasa nosił, do ojca mego Hersza mówił: Ezofowicz! ty wielkie serce w sobie nosisz, i jak nasza strona górę weźmie, my ciebie na sejmie szlachcicem zrobim!... Syn *jego* nie taki już był, jak ojciec; lecz ze mną grzecznie zawsze rozmawiał; ja w majątku *jego* wszystko zboże przez trzydzieści lat zakupywałem, i w każdej *jego* potrzebie kieszeń swoją *jemu* otwierałem, bo do niej z ziemi *tęj*, co własnością *jego* była, wiele zysków płynęło... Kamiońska pani... ona i teraz jeszcze żyje... lubiła bardzo matkę moję Frejdę i raz *jēj* powiedziała: Pani Frejda ma w domu swoim wiele brylantów, a u mnie jest tylko jeden... Ona brylantem syna swego nazywała, który jeden u niej był, jak w oku żrenica... tego samego syna swego, którego dom teraz w płomieniach stoi... — Wskazujący palec wyciągnął ku ognistej łunie, i grozą, czy żalem, czy zdumieniem jakimś zjęty, umilkł, a stojący za nim Rafał z kolei przemówił:

— Kiedy ja ostatni raz w Kamiońskim dworze byłem, stara pani siedziała z synem swoim na ganku i, jak ja o interesie mówić zacząłem, ona do niego powiedziała: pamiętaj, Zygmunt, żebyś ty nikomu zboża swego nie sprzedawał, tylko Ezofowiczom, bo oni są ze wszystkich żydów najuczciwsi i najlepij nam

sprzyjają. A potem ona mnie się zapytała: — czy stara Frejda żyje jeszcze, a syn *jēj*, Saul, czy zdrów i czy dużo już wnuków doczekał się? Potem patrzyła na syna swego i powiedziała do mnie: Panie Rafał! a ja żadnego jeszcze wnuka nie mam! Ja *jēj* grzecznie pokloniłem się i powiedziałem: niech Wielmożna Pani sto lat żyje i prawnuków doczeka się! Ja kłamstwa w ucho *jēj* nie wkładałem. Ja *jēj* szczerze tego życzyłem. A dlaczego ja-bym miał *jēj* źle życzyć?

Przestał mówić Rafał, a po chwili Saul, nie odwracając twarzy, zapytał krótko:

— Rafał! wiele ty lat z młodym Kamiońskim handlujesz?

— Ja z nim handluję od tego czasu, jak on wyrósł i gospodarzem zrobił się... on innego kupca, jak tylko mnie jednego, znać nie chce...

— Rafał! czy ty od niego krzywdę jaką miałeś?...

Rafał po namyśle chwilowym odpowiedział:

— Nie; ja od niego krzywdy żadnej nigdy nie miałem. On trochę pyszny jest, to prawda, i interesów swoich nie bardzo pilnować umie... pohulać on sobie lubi, a kiedy izraelita kłania się *jemu*, on głową z wysoka kiwa i za przyjaciela swego mieć go nie chce... ale u niego serce dobre jest, a słowo rzetelne, i w interesach on łatwiej skrzywdzić się da, niż sam kogo skrzywdzi...

Stojąca za mężem Sara splotła ręce i, wzdychając, a głową kołysząc, jęknęła:

— Aj! aj! taki młody pan, a takie już nieszczęście na głowę jego zważyło się!

— Taki piękny pan i z taką piękną panną żenić się miał! — zawtórowała żona Rafała.

— A jak on ożeni się teraz, kiedy dom jego płomienie pożrą? — rzekł Saul, i dodał ciszej:

— Na duszę Izraela spadł dziś wielki grzech!

Odpowiadając jakby słowom ojca, Rafał wymówił poważnie i z cicha:

— Na głowę Izraela spadła dziś wielka hańba!

Z kąta izby, do którego najmniej dochodziły płynące z zewnątrz jaskrawe światła, wyszedł, wysunął się raczej, Abram. Przygarbiony, z głową schyloną zbliżył się do ojca, drżąc na całym ciele, i rękę jego pochwycił i do ust ją swoich przycisnął.

— Tate — rzekł — ja tobie dziękuję za to, że ty mnie do tego należeć nie pozwoliłeś!

Saul podniósł głowę. Rumieniec opłynął mu po marszczone czoło, energia błysnęła w przygasłych oczach.

— Abram! — rzekł głosem, który brzmiał rozkazująco — niech tobie w ten moment dwa konie do wozu zaprzęgą. Siadaj ty na wóz i jedź prędko do tych państwa, u których Kamioński gości... Ztamąd pożaru nie widać... jedź prędko i powiedz jemu, żeby on jechał matkę swoją i dom swój ratować...

Zwrócił się do Rafała.

— Rafał! idź ty do karczmy Jankla i Lejzora... tam kamiońscy chłopci bawią się i piją... Popędź ich, żeby jechali prędko i dom dziedzica swego ratowali...

Posłuszni, jak małe dzieci, dwaj synowie Saula śpiesznie opuścili izbę; kobiety wybiegły na ganek domu, a wtedy Ber zapytał Saula:

— Tate! a co ty teraz myślisz o Meirze? Czy on źle zrobił, że Kamiońskiego ostrzegł?

Saul pochylił głowę, ale nic nie odpowiedział.

— Tate! — mówił Ber — ratuj ty Meira. Idź do rabina i do dajonów (sędziów), i do kahalnych, i proś, żeby nad nim sądu nie czynili...

Saul długo nie odpowiadał.

— Ciężko mi do nich iść — odrzekł na koniec — a najciężej siwą głowę moję przed Todrosem pochylić... Nu — dodał po chwili — pójdę jutro... dziecka bronić trzeba... choć ono zuchwałe jest, a wiarę i obyczaj ojców swoich za mało szanuje i lubi...

* * *

Kiedy to działo się w domu Ezofowiczów, małą łąkę zamiejską pokrywał całkiem stłoczony, czarny, falujący i szemrzący tłum. Z miejsca tego najlepiej można było oglądać widowisko straszne a świetne. Tutaj też zgromadziła się, ciekawością i żądzą wrażeń wiedzioną, cała ludność miasteczka.

Łuna pożaru podnosiła się z za sosnowego boru. Oświetlony przez nią, stał on teraz różowy cały, a tak przezroczysty, iż zda się, można-by było przeliczyć wszystkie gałęzie, wieńczące wierzchołki gładkich drzew jego. Szeroko, wpół-okrąg rozlana łuna ta, szkarłatna u dołu, przechodziła wyżej wszystkie odcienie złocistości, aż u szczytu samego, rąbkami bladego-żółtym, przerzynała na połowę sklepienie niebios, i zlewała się z bladym jego błękitem. W obec gorejących, przeraźliwych blasków tych, gwiazdy świeciły mdło, jak pozłacane blaszki, a odpowiadał im tylko na drugiej stronie widnokregu, wysuwający się z za gaju ogromny, czerwony księżyc.

Wśród ludu, zalegającego łąkę, toczyły się liczne, skłócone rozmowy. Opowiadano tam, że Jankiel Kamionker, przy pierwszym zaraz błysku pożaru, wielkim pędem poleciał do gorejącego dworu, biadając i rozpaczając głośno nad prawdopodobną stratą wódki swój, której tam ilość wielką posiadał. Znaczna ilość ludzi, opowiadania tego słuchających, uśmiechała się dwaznacznie, inni wstrząsali głową z pożałowaniem nad przypuszczalnemi a ogromnemi stratami Jankla. Większość zachowywała o Janklu i wódce zagrożonej zniszczeniem, milczenie zupełne. Domyślano się snadź prawdy; tu i owdzie wiedzano nawet o niej na pewno, ale wtrącać się w sprawę, brzemieną wszechstronnemi niebezpieczeństwami, jednemu choć-by słowem nieostrożnym, nikt nie śmiał i nie chciał.

W dobrą godzinę po pierwszym błysnięciu na niebie ognistej łuny, zaturkotały w ulicze, przytykając do łąki, z szybkością nadzwyczajną, toczące się koła, i na łąkę wpadła najtyczanka, przez czwórkę koni, w pełnym galopie, unoszona. Nie była to zwyczajna droga do Kamionki, nie było tu nawet żadnej drogi; ale jadąc tędy, dziedzic gorejącego dworu skracał sobie znacznie przestrzeń, którą miał do przebycia. Nie siedział on w zgrabnym powoziku swoim, ale stał; ręką trzymał się poręczy kozła i, pochylony na przód, oczy wlepił w różowy od światła bór, za którym matka jego przebywała w ogarniętym płomieniami domu jego ojców. Gdy jednak konie jego wpadły na łąkę, spostrzegł on tłoczącą się tam gęstą ludność, i krzyknął na stangreta:

— Ostrożnie! ludzi nie rozjeżdż!

— Dobry człowiek! — rzekł ktoś w tłumie, — w nieszczęściu takim myślał jeszcze o tém, żeby ludziom nieszczęścia nie zrobić!

Ktoś inny westchnął głośno.

Kilka głów nachyliło się blisko ku sobie i szepotało. W tym szepcie ozwało się imię Jankla, wymówione cicho... bardzo cicho.

Było jednak miejsce jedno nie na łące, ale wśród przytykającej do niej uliczki, gdzie rozmawiano głośno. U chaty krawca Szmula, na stojącej pod oknami ławie, stał Meir. Patrzył on ztamtąd na łąkę czarną od ludu, i na gorejące za łąką łunę. Poniżej

otaczało go kilkunastu młodych ludzi, zwykłych towarzyszy jego. Z twarzy ich odgadnąć można było, że byli wzburzonymi do głębi. Chaim, syn Abrama, który całą przedgodzinną rozmowę Saula i synów jego usłyszał z kątką, gdzie był ukryty, opowiadał ją przyjaciółom. W uniesieniu nie hamował on głosu swego. Powtarzał każde słowo, które zamienili pomiędzy sobą starsi członkowie rodziny, głośno i dobitnie, a towarzysze jego głośno też i dobitnie mu potakiwali. Młode i nieśmiałe zwykle serca te oburzenie i wstyd uczyniły śmielszemi nieco... W chórze tym nie słyhać było jednego tylko głosu, który jednak zazwyczaj odzywał się wśród niego pełnemi słodczy i mądrości słowami. Eliezer nie stał wśród towarzyszy swych, skupionych dokoła Meira, ale siedział dalej nieco, na ziemi, plecami oparty o czarną ścianę chaty. Łokcie wspierał na kolanach, i z nizko pochyloną głową twarz ukrywał w dłoniach. Zdawać się mogło, że skamieniał w postawie tej, pełnej żalu i wstydu. Czasem tylko zakotłosał się w obie strony. Widać było, że miękki, marzący, trwożliwy duch ten tonął teraz cały w morzu gorzkich, rozpacznych, a może i wzmacniających, rozmyślań.

Nagle, brzegiem uliczki, pod cieniem chat i parakanów, przesunął się, z szybkością nadzwyczajną, wysoki i cienki cień ludzki; obok gromadki, skupionej u drzwi Szmula, dał się słyszeć oddech strasznie zmę-

czonéj piersi jakiejś, głośny i połączony z powstrzymaniami jękami.

— Szmul! — wymówili młodzi ludzie.

— Cicho! — stłumionym głosem zawołał Meir, i z ławki na ziemię zeskoczył. — Niech usta wasze nie wymawiają imienia nędzarza tego, ażeby głowy jego niebezpieczeństwu nie poddać... Ja tu stałem, powrotu jego czekając... rozejdźcie się ztąd i pamiętajcie o tém, że oczy wasze Szmula, wracającego z ognistej strony tamtej, nie widziały...

— Ty prawdę mówisz, — szepnął Aryel, — to jest biedny brat nasz!

— Biedny! biedny! biedny — powtórzono dokoła.

Rozeszli się. Przy chacie nędzarza został tylko Meir, który u progu jej stanął, i Eliezer, którego nie ze skamieniałości, w jaką popadł, obudzić nie mogło.

Szmul, wbiegłszy do izby, z której, prócz najmniejszych dzieci i ślepój matki, powychodzili wszyscy, na brudną podłogę upadł, czołem o nią uderzył, i wzdychając, łkając, przerywanemi wyrazami mówił:

— Ja nie winien! ja nie winien! Ja nie winien! ja nie podpałał, i naczynia z oliwą tą w ręku swoich nie trzymał! On... Jochel... wszystko zrobił... ja stał na polu i pilnował... ale, kiedy przed oczyma memi ogień błysnął... *aj waji! aj waji!* ja wtedy poznał, do czego ja należał...

— Cicho! — ozwał się przy biadającym nieprzytomnie człowieku głos przyciszony i smutkiem na-

brzmiały. — Zamknij usta swoje, Szmulu, a ja okno twojej chaty zamknę...

Szmul podniósł twarz i wnet ją znowu do ziemi przyłożył.

— *Morejne!* — zajęczał, — *morejne!* córki moje więcej niż szesnaście lat mają, trzeba było za męża je wydać! podatków ja za cały rok nie miałem już czém zapłacić!...

— Wstań i uspokój się, — rzekł Meir.

Szmul nie słuchał. Ustami zmiatając pył z brudnej podłogi, zajęczał jeszcze:

— *Morejne!* ratuj mnie! Ja ze wszystkiém już ciało i duszę swoją zgubiłem!

— Ty duszy swojej nie zgubisz, i Przedwieczny na szali grzechów twoich położy nędzę twoją, jeżeli ty pieniędzy tych, któremi skusili cię źli ludzie, nie weźmiesz...

Tym razem Szmul twarz oderwał od ziemi. Twarz ta, wychudła, blada śmiertelnie, nerwowemi drganiem targana, objawiała wszechstronną, do ostatnich granic posuniętą, nędzę człowieka.

Spojrzał na Meira oczyma, w których malowały się naprzemian rozdzierający ból i śmiertelny przestach, a trzęsącą się dłonią, wskazując dokoła izbę swą, wyjąknął:

— *Morejne!* a jak ja bez pieniędzy tych dłużę żyć będę?

Dobre pół godziny upłynęło, zanim Meir opuścił

izbę, w której coraz ciszej już obwiniał się, wyrzekał i rozpaczał Szmul. Wnikający z ulicy szeroki pas jaskrawego światła oświetlał w pełni jeden z kątów ciasnej sionki. W kącie tym, pod czarną, chylącą się ścianą, bieleły dwie kozy, z których jedna stała, a druga leżała. Pomiedzy kozami, na więzi zmiętą słomy, z rękoma wsuniętymi w podarte rękawy szarej surduciny, z głową, ozłoconą światłem pożaru, a wspartą o deskę, wystającą ostro z pod ściany, spał Lejbele. Ani krzyk i wrzawa, ani rażące światłości niebios, ani jęki i wyrzekania ojca, nie przerwały mu snu niewinności, którym, wśród dwóch kóz, przyjaciółek swych, usypiało to dziecię nędzy, ciemnoty i występku...

Nazajutrz w miasteczku całém panował ruch niezwykły. O niczém więcej nie mówiono tam, jak o pożarze, który do szczytu prawie zniszczył dwór Kamioński; o chorobie stariej pani, którą przewieziono na prędko do dworu sąsiadów jakichś czy krewnych, i o ogromnych stratach Kamiońskiego pana, któremu, oprócz zabudowań dworskich, spłonęła stodoła, napełniona, zwiezioném już z pól, zbożem.

Ażeby rozmawiać o wypadku tym, ludzie zchodzili się w gromadki na placu, pośród uliczek, u progów domowstw, a gdyby kto podsłuchiwał rozmowy ciche, żwawe, toczące się pośród gromadek owych, dosłyszał-by tu i owdzie formułowane pytanie:

— A co z *nim* będzie?

Pytanie to dotyczyło się nie Kamiońskiego, lecz Ka-

mionkera. Kamiońskiego żałowano tu i owdzie, jak tu i owdzie ganiono Jankla — lecz był to człowiek całkowicie dla ludności szybowskiéj obcy, nieznający jéj i przez nią wzajem z twarzy tylko znany; Kamionker zaś zżył się z ludnością tą od pierwszych dni swego istnienia, posiadał wśród niéj szeroką sieć stosunków interesowych i przyjaznych, a w dodatku, w obec niższéj jéj warstwy, obleczonej był aureolą bogactwa i prawowiernéj, żarliwéj pobożności. Nie dziw téż, iż przyganiający mu nawet, lękali się o niego.

— Czy jego będą podejrzewać? — zapytywano tu i owdzie.

Ten i ów odpowiadał:

— Na niego żadne nie padło-by podejrzenie, gdyby Meir Ezofowicz *purycowi* złych myśli w głowę nie włożył...

— On zerwał jedność i przymierze Izraelskiego ludu...

— On głowę brata swego niebezpieczeństwu poddał...

— A co to dziwnego? On *kofrim* jest... niedowiarek...

— On na Reb Mosza rękę swoją śmiało podnieść...

— On z karaimską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma...

I ci, co mówili, niechętnie, groźne czasem spojrzenia rzucali na okna domowstwa Ezofowiczów.

Domowstwo to stało dnia tego milczące i martwe,

jak nigdy. Okien nawet na plac wychodzących nie otworzono, choć zwykle przez wiosnę i lato całe bywały one otwartemi tak ciągle i szeroko, że ktokolwiek-by chciał tylko, mógł-by od rana do wieczora patrzeć przez nie na życie licznéj rodziny, która nie nigdy do ukrywania nie miała.

Dnia tego jednak, nikt w domu tym nie pomyślał o otworzeniu okien, ani uprzątnięciu wielkiej izby bawialnéj, starannie zwykle uprzątanéj. Kobiety chodziły z kąta w kąt, jak nie swoje, w czepcach zmiętych nieco od częstego chwytania się rękoma za głowę, stawały przed ogniskiem kuchenném, z twarzami opartymi na dłoniach, i w zamyśleniu wzdychały. Sara miała nawet oczy zapłakane. Nie dziw; mąż jéj, Ber, przez cały ranek nosił na czole swém owe dwie grube zmarszczki, w których ona odgadywała nieznane i niepojęte dla niéj cierpienie, a do niéj słowa nie przemówił, i siedział teraz w izbie bawialnéj, z głową opartą na dłoni, milcząc i szklistym wzrokiem spoglądając z kolei na dwu braci jéj, Rafała i Abrama. Rafał pochylał wprawdzie twarz nad rachunkową księgą, ale widać było, że nie rachował, lecz o czémś ważném bardzo głęboko myślał. Od chwili do chwili podnosił oczy z nad książki i spoglądał na Bera i Abrama. Stary Saul, na żółtém kanapie siedząc, zdawał się także zatopionym w czytaniu grubéj, nabożnéj księgi. W rzeczywistości zaś, mniej jeszcze, niż zwykle, czytana rzecz rozumiał, a z twarzy jego

poznać można było, iż dolegało mu coś srodze i głęboko.

U okna, na zwykłym swém miejscu, więc w poręczowym głębokim fotelu, siedziała prababka Frejda. Z pośród rodziny całej na nią jedną tylko nie znać było zmiany żadnej. Senny uśmiech z warg jej nie zniknął. Przymrużała powieki i podnosiła je, to budząc się, to usypiając znowu.

Zaraz po południu kobiety zasłały stół białym obrusem i poczęły ustawiać na nim stołowe naczynia.

Do izby wszedł Meir. Wchodząc, otwierał on drzwi cicho i powoli, a potem stanął u ściany i spojrzeniem powiódł po wszystkich twarzach. Spojrzenie to było niespokojne, trwożne niemal i pełne głębokiego żalu. Obecne w izbie osoby podniosły nań oczy i wnet je spuściły, ale przez to jedno mgnienie oka, na młodego człowieka, nieśmiało stojącego u ściany, spadł tłoczący ciężar niemych wyrzutów. W wyrzutach tych była uraza gorzka za doświadczone troski, trwogi istnień spokojnych, których spokojowi on zagroził, srodze zagroził; była głęboka litość nad nim, ale także i daleka, niewypowiedziana jeszcze, groźba odrzucenia. Jedna tylko prababka, na widok wchodzącego, podniosła całkiem mrużące się wprzód powieki, uśmiechnęła się szerokim uśmiechem i szepnęła:

— *Kleiniskind!*

Do jej też twarzy przylgnęły oczy Meira, a błysnęła w nich myśl jakaś paląca i niecierpliwa.

W tej chwili rozległ się po izbie brzęk i stuk. Z pośród gromadek ludzi, czerniejących tu i owdzie na placu i ku domowi Ezołowiczów niechętnie spoglądających, ktoś w jedno okno domu tego rzucił spory kamień, który rozbił szybę na drobne kawałki i, przeleciawszy tuż nad czołem Frejdy, upadł po środku izby.

Twarz Saula oblał ceglasty rumianiec; kobiety, nakrywające do stołu, krzyknęły; Rafał, Abram i Ber powstawali z miejsc swych, jak poruszeni sprężyną. Wszyscy utkwili z razu wzrok w rozbitą szybę, lecz wkrótce przenieśli je na prababkę Frejdę, która wyprostowała się nagle i, patrząc na kamyk, leżący pośrodku izby, bezdźwięcznym lecz głośnym szepem swym zawołała:

— Nul to jest ten sam kamień! Oni jego rzucali w okno domu naszego, kiedy mój Hersz z Reb Nochimem kłócił się, i z cudzymi ludźmi przyjaźń chciał trzymać... to jest ten sam kamień... na kogo oni teraz jego rzucili?...

Kiedy mówiła to, wszystkie zmarszczki na twarzy jej drżały, a oczy po raz pierwszy rozwarły się szeroko.

— Na kogo oni teraz znów kamień rzucili? — zapytała i zatoczyła dokoła żrenicą, która pociemniała i błysła.

— Na mnie, *alte bobel!* — odpowiedział z pod

przeciwległej ściany głos drżący niewysłowionym żalem.

— Meir! — krzyknęła prababka, nie bezdzwięcznym już szeptem, jak zwykle, ale donośnym, przeraźliwym niemal głosem.

Meir przeszedł izbę, stanął przed nią i obie jej małe, pomarszczone ręce ujął w swoje dłonie. Spuszczał ku twarzy jej wejrzenie pełne czułości i zarazem pytań i prośb jakichś, niewymawianych ustami, a ona podnosiła ku niemu złotawe swe źrenice, które niespokojnie migotać zaczęły.

Saul wstał z kanapy.

— Rafał! — rzekł — podaj mi płaszcz mój i kapelusz.

— Dokąd ty pójdziesz, *tate*? — zapytali jednocześnie obaj synowie.

Stary z rumieńcami na twarzy, drżącym głosem odpowiedział:

— Pójdę, ażeby głowę moję przed Todrosem pochylić... Niech on nad zuchwałém dzieckiem tém sądu nie czyni, dopóki nie zgaśnie ogień gniewu, który zapalił się w duszy ludu.

Po chwili siwy patryarcha najdostojniejszój w gminie rodziny, długim czarnym płaszczem okryty i w wysokim świecącym kapeluszu na głowie, kroczył przez plac zwolna i poważnie. Stojące na placu gromadki rozstępowały się przed nim, a składający je

ludzie kłaniali się mu nisko. Ktoś jednak wyrzekł głośno:

— Biedny ty jesteś, Rebe Saulu, że masz takiego wnuka...

Saul na zaczepkę tę nie odpowiedział, tylko wąskie wargi jego zacisnęły się silniej.

Dobra godzina upłynęła, zanim Saul z odwiedzin swych powrócił. Znalazł on wszystkich starszych członków rodziny swój zgromadzonych w izbie bawialnej. Meir był tam także; siedział on tuż przy fotelu prababki, której mała, sucha dłoń ścisłała mocno poję odzieży jego.

Sara zdjęła płaszcz z ramion ojca.

— A co ty, *tate*, przyniosłeś nam ztamtąd? — zapytał Rafał.

Saul oddychał ciężko i ponuro patrzył w ziemię.

— Co ja ztamtąd przyniosłem? — odpowiedział po chwili milczenia. — Wstyd i gniew wielki przyniosłem. Serce Todrosa raduje się nieszczęściem, które przytrafiło się domowi Ezofowiczów... Uśmiechy, jak węże, pełzają po żółtej twarzy jego.

— A co on powiedział? — zapytało parę głosów.

— On powiedział, że bezbożnemu i zuchwałemu wnukowi memu za długo pobłążał... Reb Mosze i Kamionker, i cały lud proszą jego, żeby on nad Meirem sąd uczynił... na prośby moje on sąd ten do jutrzejszego wieczora odłożył i powiedział, że jeżeli Meir upokorzy się przed nim, a cały lud o przebaczenie

grzechów swoich prosić będzie... na głowę jego lżejszy wyrok spadnie...

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku Meirowi.

— A co ty, Meir powiesz na to? — zapytano chórem.

Meir myślał chwilę.

— Dajcie mi trochę czasu — może ja sobie do jutrzejszego wieczora ratunek jaki znajdę...

— A z kąd ty ratunek ten mieć możesz? — zawołano.

— Pozwólcie, żebym ja wam do jutrzejszego ranka nie odpowiadał — powtórzył Meir.

Kiwając głowami, umilkli wszyscy. Oznaczało to milczące przyzwolenie.

W sercach wszystkich obecnych uczucia obawy i gniewu walczyły z uczuciem dumy. Gniewali się na Meira, lękali się o niego i o spokój, o pomyślność całego domu swego, ale zarazem przykrą im była myśl, że jeden z członków rodziny ich upokorzyć się ma przed rabinem i ludem.

— Co-to można wiedzieć — szepnął Rafał do brata — może on sobie radę jaką znajdzie...

— Może matka jego pokaże się jemu w nocy i nauczy go, jak on ma czynić — z cicha westchnęła Sara.

Spóźniony obiad odbył się w głuchém milczeniu, przerywaném tylko westchnieniami kobiet i płaczem

dzieci, którym matki zabraniały śmiać się i szczeniotać.

Stroskani i posepnie wyglądający członkowie rodziny z zadziwieniem spozierali od chwili do chwili na starą Frejdę, objawiającą wciąż szczególną jakąś niespokojność. Wprawdzie nie mówiła ona nic, ale nie zadrzemała w ciągu obiadu ni razu, owszem poruszała się wciąż na krześle swém, spoglądając to na stłuczoną szybę, to na Meira, to na miejsce pośrodku izby, na które przed parą godzin upadł był kamyk, rzucony z ulicy.

— Co jój jest? — zapytywali siebie obecni z cicha i z niepokojem.

— Ona sobie coś przypomina — odpowiadano.

— Ona czegoś lęka się!

— Ona chce coś powiedzieć, ale nie może...

Gdy powstano od stołu, dwie prawnuczki chciały, według zwyczaju, wyprowadzić Frejdę do sąsiedniej izby i do spoczynku ułożyć; ale ona silnie stopami o podłogę wsparła się i palcem wskazała fotel swój, przy oknie stojący.

Po chwili osoby napelniające obszerną izbę wysuwać się z niej zaczęły jedna za drugą. Rafał i Ber wyjechali na resztę dnia do sąsiedniego dworu jakiegoś, w którym mieli do załatwienia ważny dla nich i pilny interes. Abram zamknął się w izbie swój, ażeby oddać się rachunkom, albo może i nabożnemu czytaniu. Saul rozkazał córkom, aby w domu

cicho było i, wzdychając ciężko, leżał na łożu swém. Kobiety zgasiły ogień na kuchni, zamknęły z cicha drzwi bawialnej izby i wyszły na dziedziniec, gdzie doglądały bawiących się dzieci, szyły i wiodły ze sobą ciche rozmowy.

Prababka pozostała w izbie bawialnej i — dziwna rzecz! — choć zapanowała wkoło niej cisza głęboka, nie usnęła, nie zadrzémała nawet ani na chwilę. Siedząc w głębokim fotelu swym, patrzyła ona na szybę rozbita i poruszała wciąż ustami, jakby coś do samej siebie mówiła. Czasem też zakolysała głową, obciążoną barwistym zawojem; wtedy dyamentowe spięcie zawoju zdawało się osypywać żółtkie jej czoło potokiem iskier, a długie kolce dzwoniły po ogniwach złotego łańcucha.

Poruszała wciąż ustami, a wkrótce i rękoma też poruszać zaczęła. Mogło się zdawać, że z kimś niewidzialnym i z widmami może, wyłaniającemi się z własnej pamięci jej, toczyła żywą jakąś a trudną rozmowę. Nagle wstrząsnęła głową i wymówiła:

— Tak samo było, kiedy mój Hersz pisanie Seniora znalazł... Na niego wtedy źli ludzie kamieniami rzucali...

Umilkła, lecz łzy duże, szkliste, opłynęły złotawe źrenice jej i nieruchome stanęły pod zmarszczoną, drgającą powieką.

Wtedy z ławy, umieszczonej pod przeciwległą ścianą, wstał Meir, i szybko przeszedłszy izbę, usiadł na

nizkim stołku, o który stara kobieta nogi swe wspierała, a splatając na kolanach jej ręce swe, zapytał:

— *Bobe!* gdzie jest pisanie Seniora?

Na dźwięk głosu tego, który zapewne, tak jak i twarz Meira, przypominał jej człowieka, gorąco miłowanego w dniach młodości i szczęścia, Frejda uśmiechnęła się. Nie spuściła jednak spojrzenia ku siedzącemu u kolan jej wnukowi, lecz z za łez, nieruchomo wciąż w oczach jej stojących, patrzyła w przestrzeń i szeptać zaczęła:

— Kiedy on pierwszy raz pokłócił się z Reb Nochimem i całym ludem, przyszedł do domu swego, usiadł na ławie smutny bardzo i zawołał do siebie żony swój, Frejdy. Frejda była wtedy młoda i bardzo piękna; na głowie swój nosiła zawój, biały jak śnieg, a przy ogniu stojąc, który w kuchni palił się, dzieci i sług swoich doglądała. Ale kiedy usłyszała wołanie swego męża, poszła zaraz do niego, stanęła przed nim i przemówienia jego czekała. A on wtedy zapytał się: — Frejdo! gdzie jest pisanie Seniora?...

Szept stariej kobiety umilkł. Natomiast młody mężczyzna, u kolan jej siedzący, zaciskając mocniej splecione swe ręce, zapytał znowu:

— *Bobe!* gdzie jest pisanie Seniora?

Głowa kobiety, obciążona barwistym zawojem, zakolysała się z lekka, a wązkie, żółte wargi szeptała znowu zaczęły:

— On pytał się: — gdzie jest pisanie Seniora?

Czy je Senior pod ziemię schował?—Nie; on go pod ziemię nie schował, bo ono-by tam zgniło i zjadły-by je robaki.—Czy on je w ściany domu schował?—Nie! on wiedział, że ściany te ogień pożreć może?—To gdzie on je schował?... Tak pytał się Hersz, a żona jego, Frejda, myślała długo nad słowami jego, a potem palcem pokazała szafę, w której były stare książki Seniora, i powiedziała: — Hersz! mój Hersz! pisanie to tam jest!... Kiedy Frejda to powiedziała, Hersz uradował się bardzo, a usta jego wymówiły: — ty, Frejdo, rozum w głowie swojej masz, a dusza twoja tak samo piękna, jak twoje oczy!...

Przy ostatnich wyrazach, łzy, nieruchome dotąd, zsunęły się z jej żrenic, i po zmarszczkach twarzy spadły na usta, które, uśmiechając się do sennych wspomnień młodości i szczęścia, szepnęły jeszcze:

— I powiedział on: — dobra i mądra żona droższą jest nad złoto i perły, przy niej serce męża spokojne!

Młody mężczyzna, u kolan jej siedzący i w twarz jej patrzący wzrokiem pełnym próśb i pragnienia, za-
pytał znowu:

— *Bobe!* a co Hersz z pisaniem tém zrobił?

Stara kobieta nie odpowiadała przez chwilę, poruszając ustami tak, jakby rozmawiała z kimś niewidzialnym, potem znowu opowiadać zaczęła:

— Hersz wrócił raz z dalekiej podróży, usiadł znów na ławie bardzo smutny i do Frejdy powiedział:

— Wszystko przepadło! Pisanie Seniora trzeba schować, bo ono teraz na nic się nie przyda. Frejda zapytała się: — Hersz! a gdzie ty pisanie to schowasz? Hersz odpowiedział: — Ja schowam je tam, gdzie ono wprzód było, a ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz...

Meira oczy zaiskrzyły się radośnie.

— *Bobe!* to pisanie tam jest?

I wskazał na szafę ze starami, pamiątkowemi w rodzinie księgami. Ale Frejda nie odpowiedziała mu, tylko szeptała dalej:

— On powiedział: — Ty jedna o sekrecie tym wiedzieć będziesz, a kiedy dusza twoja rozwodzić się będzie z ciałem twojem, ty powiedz o nim temu synowi, albo wnukowi twemu, który do męża twego, Hersza, najpodobniejszym będzie... A kto z synów i wnuków Frejdy najpodobniejszym jest do męża jej, Hersza? — Najpodobniejszym do niego jest Meir, syn Benjamina... on do niego taki podobny, jak podobne do siebie dwa ziarnka piasku... To moje *kleiniskind!* to moje najulubieńsze! Frejda jemu o sekrecie tym powie!

Meir trzymał teraz w dłoniach swych obie ręce prababki i okrywał je pocałunkami.

— *Bobe!*—szeptał, wskazując szafę z księgami — czy tam jest pisanie Seniora?

Ale stara kobieta i teraz jeszcze nie odpowiedziała mu bezpośrednio, tylko szeptała dalej:

— Hersz powiedział Frejdzie: — Jeżeli na syna albo wnuka twego najulubieńszego starsi w rodzinie ręce podnosić zaczną, i jeżeli na niego lud kamienie rzucać będzie; ty, Frejdo, jemu o sekrecie naszym powiedz! Niech on pisanie Seniora weźmie, na sercu swoim położy, rodziną swoją i majątek swój rzuci, a z niem w świat idzie, — bo pisanie to droższe nad złoto i perły: ono jest przymierzem Izraela z Czasem, co mu nad głową rzeką wielką płynie, i z Ludami, co piętrzą się wokoło niego, jak wielkie góry.

— *Bobe!* na mnie starsi w rodzinie ręce swe podnosić zaczęli... ode mnie odwrócił lud rozgniewaną twarz swoją... ja jestem ten wnuk twój najulubieńszy, o którym tobie mąż twój, Hersz, mówił... powiedz ty mnie: czy tam, między księgami temi, jest pisanie Seniora?

Szeroki, można-by rzec, tryumfujący, uśmiech roztworzył żółte wargi Frejdy. Wstrząsała głową z uczuciem tajemnej radości jakiegś i szeptała:

— Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła... ona jego przed wszystkimi, jakby duszy swojej, broniła... Kiedy ona wdową została, przychodził do domu jej Reb Nochim Todros i starą szafę ze starymi książkami chciał ogniowi na pożarcie dać... przychodził potem syn Reb Nochima, Reb Boruch Todros, i chciał starą szafę ze starymi książkami ogniowi na pożarcie dać... ale ile razy oni przyszli, Frejda starą szafę ciałem swem zasłaniała i mówiła: To dom mój,

i wszystko, co w nim jest, moje jest! A jak Frejda przed starą szafą stawiała, przed Frejdą stawiali synowie i synowie synów jej i mówili: — To matka nasza, my jej krzywdy uczynić nie damy! — Reb Nochim gniewał się i poszedł sobie... a Reb Izaak nigdy już nie przychodził, bo wiedział od ojców swoich, że dopóki Frejda żyje... starą szafę nie poruszy nikt... Frejda skarbu męża swego dobrze strzegła i on leży sobie od tego czasu tam... i śpi sobie...

Przy ostatnich wyrazach stara kobieta wyciągnęła ku szafie oszklonej, o kilka kroków przed nią stojącej, pomarszczony palec swój, a śmiech cichy, śmiech wewnętrznej radości jakiegś, jakiegś dziecinnego prawie tryumfu, pierś jej zatrzęsał.

Meir jednym skokiem znalazł się przy szafie, i silniejszą, niż kiedy, bo zgorączkowaną dłonią targnął zamek jej, skruszony przez starość i rdzę. Drzwi szafy roztworzyły się na oścież, a z głębin jej buchnęła chmura pyłu i, jak niegdyś biały zawój Frejdy i złote włosy Hersza, okryła białą powłoką odzież i głowę prawnuka ich... Ale on na to nie zważał i chciwie ręce zatopił pomiędzy księgi te, z których czerpali mądrość swą dwaj przodkowie jego, a wśród których krył się, namiętnie dla niego upragniony, drogowskaz życia...

Ale na widok rozwartej szafy i wylatującej z niej chmury pyłu, Frejda pochyliła się też na przód, ręce przed się wyciągnęła i zawołała:

— Hersz! Hersz! mój Hersz!

Nie był to już zwykły szept jój bezdźwięczny, ale okrzyk głośny, wyrrywający się z piersi, nawskróś przesytej radością i bólem wspomnienia. Zapomniała o prawnuku... zdawało się jój zapewne, że urodziwy młodzieniec ten ze złotemi włosami, osypanemi kurząwą, był cudownym, z nieznaných światów przybyłym do niój, zjawiskiem jój męża...

Meir zwrócił ku niój bladą twarz i gorejące swe oczy.

— *Bobe!* — spytał dyszącym głosem, — gdzie ono jest? u góry? w dole? W téj książce? w téj? w téj?

— W téj! — zawołała kobieta, palcem wskazując księgę, na której z kolei Meir dłoń swą położył. Po chwili zżółkłe od starości, lecz bujnym i wyraźnym jeszcze pismem okryte, arkusze zaszeleściły pod grubą pergaminową okładką księgi. Trzymając je w dłoni, Meir upadł do nóg prababki, całował stopy jój, kolana i ręce; co chwila chytał się za głowę, a niewyraźne jakieś jęki i śmiechy drżały mu w piersiach.

Frejda uśmiechała się téż i drżącemi rękoma dotykała głowy prawnuka; lecz powieki jój zwolna przymykać się zaczęły, na twarz całą wracał zwykły od lat wielu wyraz cichój senności. Zmęczoną mówieniem i wspomnianiem długim, wpatrzoną jeszcze w jasne widmo młodości, które stało przed nią w srebrzystych blaskach łzy, — stuletnią tę niewiastę ogarniało znowu

ciche, słodkie drzémianie — pierwsza niby łagodna fala snu wiekuistego.

Namiętne dziękczynienia i pieszczoty prawnuka budzić ją przestały. Meir schował na piersi zżółkłe arkusze i wkrótce słyhać było szybki bieg jego po wschodach, prowadzących do izby, u szczytu domu umieszczonej, a zamieszkałej przez Meira i młodszych jego braci.

Przez cały wieczór potem i przez noc całą, w spórém oknie, znajdującym się pod samym już wysokim i spiczastym dachem domowstwa, błyszczało mdławie światelko świecy i widać było przesuwające się za szybami, wchodzące do izby i wychodzące z niój, ludzkie postacie. Z rana, o świcie jeszcze, bocznemi drzwiami domu wyszło na dziedziniec kilku młodych ludzi, którzy wnet rozproszyli się w różne strony miasteczka.

Po miasteczku téż, od samego już nieledwie wschodu słońca, obiegać poczęły wieści niewyraźne, niepełne, rozmaicie opowiadane i tłómaczone, ale zaciekawiające i wzruszające żywo wszystkie warstwy miejscowej ludności. Zajęcia powszednie zdawały się na pozór iść zwykłym trybem, a jednak, na uboższych szczególniej uliczkach, słyhać było nieustanny szmer ludzkich rozmów, który, łącząc się ze stukiem, zgrzytaniem i szelestem rzemieślniczych narzędzi, wydawał się głuchym jakby wrzieniem, szemrzącym na dnie mrowiska. Niewiadomo zkąd, z jakiej strony i z jakich ust wypływały i po wszystkich podwórzach, za-

kątkach, izbach i izdebkach, rozpływały się wiadomości, domysły i przypuszczenia...

„Dziś, kiedy słońce zajdzie, a zmrok wieczorem spadnie na ziemię, zgromadzi się w Bet-ha-Kahole wielki sąd Dajonów i Kahalnych, z rabinem Izaakiem na czele, i sądzić będzie młodego Meira Ezofowicza.“

„Jak on go sądzić będzie? jaki wyrok spadnie na głowę jego? co się z nim stanie?“

„Nie; wielki sąd nie zasiądzie już dziś w Bet-ha-Kahole, bo kiedy słońce zajdzie i zmrok wieczoru spadnie na ziemię, zuchwały wnuk bogatego Saula przyjdzie do Bet-Midraszu, aby w obecności ludu całego upokorzyć się przed wielkim rabinem, grzechy swe wyznać i tych, których obraził, rozgniewał lub zgorszył, o przebaczenie prosić.“

„Nie; upokarzać się przed rabinem i grzechów swych wyznawać w pokorze przed ludem całym on nie będzie.“

„Dla czego nie będzie?“

„Ach! ach! to wielki sekret, ale o nim już wszyscy wiedzą. To taki wielki sekret, że słysząc o nim, wszystkie oczy pałają ciekawością gorączkową, wszystkie piersi drżą, aby co prędzej wchłonąć go w siebie.“

„Młody Meir skarb znalazł!!“

„Co to za skarb? Skarb to taki, który od trzystu, od pięciuset, od tysiąca może lat, nu! od tego czasu może, jak Żydzi do kraju tego przyszli, w rodzinie Ezofowiczów ukrywa się!“

„Skarb ten, to pisanie jakiegoś przodka ich, które on przed śmiercią swoją zrobił i dalekiemu potomstwu w dziedzictwie zostawił.“

„A co w pisaniu tém jest?“

„Nikt o tém z pewnością nie wie.“

Wszyscy mieszkańcy ubogich uliczek o pisaniu tém słyszeli od ojców, dziadów i babek swoich, ale każdy z nich słyszał o niem inaczej. I teraz jeszcze żyli starzy ludzie tacy, którzy o pisaniu tém coś wiedzieli, ale każdy z nich wiedział co innego. Jedni mówili, że pisanie to pochodziło od mądrego i świętego Izraelity, który żył bardzo dawno temu, a przez całe życie o tém tylko myślał, jak naród swój bogatym mądrym i szczęśliwym uczynić. Inni przeciwnie utrzymywali, że ów, dawno temu żyjący, przodek Ezofowiczów, bezbożnikiem był, odszczepieńcem przez Gojów przekupionym, ażeby imię Izraela i Zakon jego z powierzeni ziemi zetrzeć.“

„W pisaniu tém stoi nauka: jak piasek w złoto zamieniać można i co biedni ludzie robić powinni, żeby od razu stać się wielkimi bogaczami.“

„Nie; w pisaniu tém powiedziano jest, jakim sposobem człowiek może odpędzać od siebie dyabłów, ażeby oni go nie dotykali się nigdy, a z liter Imienia Bożkiego ułożyć taki wyraz, że kto go wymówi, ten będzie już mógł spojrzeć oczu swoich zapuścić wskrós nieba i wskrós ziemi...“

„Nie; w pisaniu tém powiedziano jest, co Izraelici

czynić mają, ażeby nieprzyjaciół swoich w przyjaciół zamienić i z ludami wszystkimi, co im wrogie są, przymierze zgody zawrzeć.“

„A ktoś jeszcze słyszał o tém, że w pisaniu tém stoi nauka, jak wskrzesić Mojżesza i wezwać go, aby przyszedł znowu i lud swój z niewoli, ciemności i upokorzenia wywiódł, a do krainy płynącej złotem, mądrością i chwałą zaprowadził.“

„Dlaczego oni do tego czasu nie szukali i nie ogłaszali ludowi pisania tego?“

„Oni bali się; bo kto pisania tego się dotknie, tego ręce zapalą się wielkim ogniem i rozsypią się w proch.“

„Nie; kto pisania tego dotknie się, temu wkoło serca okręcą się jadowite węże...“

„Temu czoło poczernieje jak od sadzy...“

„Od tego szczęście i spokój odbiegają...“

„Na tego posypie się grad kamieni...“

„Ten na czołe swym nosić będzie krwawą kresę...“

„Niegdyś... starzy ludzie, żyjący jeszcze, coś o tém pamiętają... ojciec bogatego Saula, wielki kupiec Hersz, pisania tego dotknął się.“

„A co się jemu stało?“

„Starzy ludzie mówią, że jak on tego pisania dotknął się, jadowite węże okręciły się koło serca jego i tak go we środku kąsały, że on od tego młodo bardzo umarł...“

„A teraz pisanie to znalazł młody Meir?“

„Tak; on je znalazł i czytać je będzie w Bet-ha-

Midraszu przed ludem całym, jak tylko słońce zajdzie a zmrok wieczoru ziemię okryje...“

Pomiędzy ludźmi, w ten sposób rozmawiającymi, uwijał się Reb Mosze, melamed; zjawiał się tu lub owdzie, znikał wkrótce i znowu ukazywał się na innej uliczce jakiegś, wśród innego podwórza, pod otwartym oknem innej chaty. Nadstawiał ucha, przysłuchiwał się; uśmiechy przelatywały po wypukłych jego ustach, ostre błyski strzelały mu z burch, okrągłych oczu. Nie mówił przecież nic. Pokornie, a czasem i natarczywie, zapytywany przez ludzi, do których się zbliżał, milczał, albo odpowiadał niewyraźnym tylko mručeniem i posępnym wstrząsaniem głową. Nie mógł mówić, bo o wypadkach i wieściach, które tak silnie poruszały umysł publiczny, nie rozmawiał jeszcze dnia tego z mistrzem swoim, z tym, któremu przez cześć najwyższą, przez wiarę fanatyczną, przez miłość namiętną i mistyczną, ciało i duszę swą w niewolę oddał. Bez wyraźnego rozkazu uwielbianego i ukochanego mistrza tego, nie mógł on ani sądów wydawać, ani hasel wykrzykiwać, ani nawet we własnej myśli swój o czémkolwiek rozstrzygać. A nuż słowo albo czyn jego rozminęły-by się z wolą mistrza? Nuż popełnił-by błąd jaki przeciw któremukolwiek z tysiącnych przepisów?! Wprawdzie on je wszystkie na pamięć umiał, ale w nich nietylko wyraz każdy, lecz każda litera coraz innym tłómaczeniom i zastosowaniom ulegać mogła! I to również wiedział Reb Mosze,

że uczonym był bardzo; cóż jednak znaczyła uczoność ta jego wobec uczoności rabina, której jasność oświecała cały świat ziemski i wnikała nawet aż do samego nieba! Jehowa lubował się, patrząc na nią, i sam siebie podziwiał za to, że mógł stworzyć dzieło tak doskonałe, jakim był rabbi Izaak Todros.

Około południa tedy Reb Mosze, z głową i uszami napełnionemi wszystkiem, co słyszał, wsunął się cicho do czarnej chaty rabina. Nie odrazu jednak mógł rozpocząć z nim rozmowę. Todros rozmawiał ze starcem jakimś, którego opylona odzież objawiała, że przybywał z daleka, a który, wspierając się na kij, stał przed nim z twarzą pokorną i razem radosną. Starzec ten prosił rabina o udzielenie szczypty ziemi, z Jerozolimy przywiezionej.

— Ja bardzo chcę — mówił drżącym od starości i wzruszenia głosem — pojechać do Jerozolimy, aby tam umrzeć i w ziemi ojców naszych pogrzebionym zostać. Ale biedny jestem i pieniędzy na drogę nie mam. Daj ty mi, rabbi, garstkę piasku tego, który tobie każdego roku ztamtąd przywożą, ażeby wnuki moje mogły mi ją na piersi posypać, kiedy dusza moja rozwiedzie się z ciałem. Mnie z tą garścią ziemi lżej będzie spać w grobie; a prawdaż-to jest, że do tych którzy ją mają na sobie, nie zbliżają się robaki i ciała ich nie jedzą?

— To jest prawda, — odpowiedział poważnie rabin, i, wyjąwszy garstkę białawego piasku z wor-

ka, w którym drogocenny przedmiot starannie obwiniętym był i obwiązany, owinał ją w szmatkę papieru i podał starcowi.

Starzec przyjął dar trzęsącą się od radości dłonią, złożył na nim długi, pobożny pocałunek, i schował go na piersi, za połą łachmianstą, cuchnącą odzieży.

— Rabbi! — rzekł, — ja nie mam czém zapłacić tobie...

Todros wyciągnął ku niemu żółtą szyję swoje i przerwał szybko:

— Z daleka widać przybywasz, skoro o zapłacie dla Izaaka Todrosa myśleć i mówić możesz... Ja od nikogo za nic zapłaty żadnej nie biorę; a choć wiem, że bardzo dużo dobrego braciom moim czynię, o jedną tylko zapłatę za to błagam Przedwiecznego: ażeby On dolał choć jedną jeszcze kropelkę do tej mądrości, którą już posiadam, a której, nie syta nigdy, dusza moja pożąda.

Starzec chwiejnym krokiem, o kij, przybliżył się do męża tego, tak już mądrego, a tak nieustannie i namiętnie łaknącego mądrości.

— Rabbi, — westchnął starzec pobożnie, — pozwól mi pocałować dobroczynną rękę twoję...

— Pocałuj, — łagodnie odpowiedział mistrz, — ale kiedy proszący schylał się przed nim, wziął w obie dłonie głowę jego, białemi, jak mleko, okrytą włosami,

mi, i głośny pocałunek wycisnął na sfałdowanej i zeschniętej skórze jego czoła.

— Rabbi! — zawołał starzec z wybuchem szczęścia w głosie, — ty dobry jesteś... ty ojciec nasz, mistrz i razem... brat!

— A ty, — odrzekł Todros, — błogosławionym bądź za to, że do późnej starości dochowałeś wierności Zakonowi Pana i miłości dla ojczystej ziemi naszej, z której garść piasku wydała ci się droższą nad srebro i złoto...

Obaj mieli łzy w oczach i widać było, że obaj także, widząc się dziś po raz pierwszy w życiu, przejęci byli wzajem dla siebie tkliwą, braterską i dziwnie jakos smętną miłością.

Reb Mosze, który, czekając na skończenie rozmowy, usiadł na ziemi, przy czarnym otworze komina, miał także łzy w oczach, i po chwili dopiero, gdy Todros pozostał sam jeden, przemówił zniżonym głosem:

— *Nassi...*

— Haa? — zapytał mistrz, pogrążony już w zwykły swój zadumie.

— U nas w mieście wielkie dziś nowiny są.

— Jakie to nowiny?

— Meir Ezofowicz pisanie przodka swego, Seniora, znalazł, i dziś je przed całym ludem czytać będzie.

Zaduma Todrosa pierzchnęła bez śladu. Wyciągnął ku mówiącemu szyję i zawołał;

— Zkąd ty to wiesz?

— Nu! cały świat o tém gada. Przyjaciele Meira od samego rana po mieście chodzą i wiadomość tę pomiędzy lud puszczają...

Todros nie odpowiedział. Oczy błyskały mu ostro, niemal dziko. Namyslał się.

— *Nassi!* czy ty jemu zrobić to pozwolisz?

Todros milczał jeszcze chwilę, potem odpowiedział stanowczym głosem:

— Pozwolę!

Reb Mosze aż drgnął cały.

— Rabbi! — zawołał, — ty jesteś najmądrszym e wszystkich ludzi, którzy na tym świecie żyli, żyją i będą żyć... ale czy mądrość twoja pomyślała o tém, że pisanie to odwrócić może duszę ludu od ciebie i świętego Zakonu naszego?

Todros groźnie na mówiącego spojrział.

— Ty nie znasz duszy ludu mego, kiedy tak myśleć i mówić możesz. Nie na to pradziad mój, i dziad, i ojciec, i ja sam, nad duszą tą z całych sił naszych pracowaliśmy, aby ją łatwo było od nas odwrócić... Niech on pisanie to przeczyta, — dodał po chwili, — niech obrzydliwość ta wyjdzie raz z pod ziemi, gdzie ukrywała się dotąd, ażeby można było ją ogniem gniewu spalić, a prochy jej kamieniem pogardy przycisnąć... Niechaj pisanie to czyta... on dopełni tém miary grzechów swoich, i spocznie wtedy na nim mściwa ręka moja!

Przez chwilę panowało milczenie. Mistrz myślał, wielbiciel jego patrzył mu w twarz, jak w tęczę.

— Mosze!

— Co, *nassi*?

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

— *Nassi*! a jak je trzeba odebrać?

Rabin stanowczo i mrukliwie powtórzył:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać.

Człowiek skurczony u komina lekliwiej już nieco zapytał jeszcze:

— *Nassi*! a kto pisanie to z rąk jego wyrwać ma?

Todros wlepił w pytającego rozognione oczy i po raz trzeci wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wyrwać i w moje ręce oddać!

Mosze pochylił głowę.

— Rabbi, — szepnął, — już ja zrozumiałem wolę twoją. Bądź ty spokojny. Jak on obrzydliwość tę przez ludem całym przeczyta, nad głową jego zaszumi taka burza, że on od niej złamie się i w proch upadnie.

Milczeli potem obaj długą chwilę. Rabin ozwał się znowu pierwszy:

— Mosze!

— Co, *nassi*?

— Kiedy on i gdzie obrzydliwość tę czytać będzie?

— On ją czytać kędzie w Bet-ha-Midraszu, kiedy słońce zajdzie, a zmrok ziemię okryje...

— Mosze! idź ty zaraz do *szamesa* (posłańca synagogi) i powiedz mu, że rozkazanie moje jest, ażeby on szedł zaraz do dajonów i do kahalnych i ogłosił im, że kiedy słońce zajdzie a zmrok ziemię okryje, oni wszyscy zebrać się powinni w Bet-ha-Kahole na wielki sąd.

Mosze powstał i zmierzył ku drzwiom, a rabin wstrząsnął kilka razy głową i, podnosząc rękę, zawołał:

— Biada zuchwałemu, silnemu i nieposłusznemu
Biada temu, którego naruszył trąd, i temu, który roznosi zarazę! biada mu!

Kiedy to mówił, po całej twarzy jego rozlało się morze ciemnej, nieubłaganej nienawiści. A jednak przed kwadranssem jeszcze twarz ta pełną była tkliwej, braterskiej miłości; usta te wymawiały słowa łagodne i pocieszające; w oczach tych stały łzy rozrzewnienia!

Tak, w jednym sercu tém mieścić się mogły razem, łagodność i gniew, dobroć i mściwość, bezbrzeżna miłość i nieubłagana nienawiść; tak z jednego źródła tego płynąć mogły wzniosłe cnoty i posępne zbrodnie...

Tajemnic podobnych, zagadek podobnych, spotka wiele ten, kto uważnie wpatrzy się w dzieje ludzkości.

W ich-to łonie wyraz: miłosierdzie, dziwacznie płata się z wyrazem: zemsta, — wyraz: bliźni, z wyrazem: wróg. One-to po wielokroć dały światu widok mężów, jedną ręką litościwie gojących rany ludzkie, a drugą rozpalających ogniste stosy i obracających koła tortur... Zkąd pochodzą tajemnice i zagadki szerokich serc i ognistych umysłów tych, tak srodze rozdwojonych i zbłąkanych? O, czytelniku! gdyby nie istniały na ziemi żywioły pewne, wtrącające w straszliwe oblędy serca i umysły ludzkie, rabin Izaak Todros byłby może wielkim człowiekiem...

Bądźmy sprawiedliwi! Rabbi Izaak Todros był by najpewniej wielkim człowiekiem, gdyby nigdy nie stnieli byli ci, którzy, posługując się ogniem, torturą, i stokroć sroższą jeszcze od nich — pogardą, zbudowali dla plemienia jego, aż do dalekich, dalekich w przyszłości pokoleń, ciasne, ciemne, trwóg i niechęci pełne, — moralne i umysłowe Ghetto!

* * *

Słońce zaszło i na ziemię spływał mrok wieczora. Wielkie synagogalne podwórze mrowiło się ludnością czarną, gęstą, szemrzącą. W łonie ludności téj wrzało coś i kipiało...

Wnętrze Bet-ha-Midraszu czerniało całe także masą stłoczonej ludności. Widać tam było głowy starców i płowe kędziory dzieci, długie brody, czarne

jak krucze pióra, jasne jak len i ogniste jak wypolewana miedź. Głowy te poruszały się i falowały, szyje wyciągały się i podnosiły się brody, oczy pały ciekawością i żądzą wrażeń. Wszystko to ukazywało się w pół-mroku. Ogromna sala Bet-Midraszu oświetloną była jedną tylko lampką, zawieszoną u drzwi wchodowych, i jedną łojową świeczką, palącą się w mościeżnym lichtarzu, na stole z białego drzewa, za którym, tuż pod wysoką, nagą ścianą, stał drewniany stołek. Było to miejsce, z którego przemawiali zazwyczaj do ludu wszyscy, którzy kiedykolwiek przemawiać do niego chcieli. W Izraelu bowiem człowiek każdy, od najdostojniejszego i najstarszego, do najniższego i najmłodszego, prawo głosu posiada, a Bet-ha-Midrasz jest nie startym śladem wysoce demokratycznego ducha, który przenikał niegdyś starożytne ustawy Izraela. Każdy, ktokolwiek tylko pochodzi, z domu Izraelowego, posiada prawo wstępować w progi te, modlić się wśród nich, czytać, przemawiać, nauczać.

Ludzie, którzy nie wewnątrz budowy, ale dokoła ścian jęj gromadnie stali, oglądali się często ku stojącemu naprzeciw Bet-Kahołowi. W miejscu tém posiedzeń administracyjnych i sądowych władz gminy, polyskiwać téż zaczęły mdle i nieliczne światła. Nad wchodowymi drzwiami zapalono tam lampkę, a na długim stole, szarzejącym niewyraźnie za dużymi szybami okien, ustawiono parę świec żółtych i dymią-

cych. Po chwili, na ganek Bet-Kahołu wstępować zaczęli ludzie, całej ludności Szybowskiej dobrze znani, a budzący pośród niej szacunek głęboki. Pojedynczo albo parami przybywali tam sędziowie gminy, siwi całkiem, lub siwiejący, poważni ojcowie rodzin licznych, zamożni kupcy lub właściciele posiadłości miejskich. Liczba ich powinna dosięgać dwunastu, tym razem przecież jedenastu ich tylko naliczono. Dwunastym dajonem w Szybowie był Rafał Ezołowicz. Pomiedzy ludem szeptano, iż stryj obwinionego należeć do sądu nie mógł; niektórzy mówili, że nie chciał. Po dajonach przybywali kahalni, pośród których znajdowali się: *Morejne* Kalman, z rękoma w kieszeniach sajetowego chałatu i z wiekuistym uśmiechem miodowej błogości na ustach, i Kamionker, którego twarz żółkła i skurczyła się w dniach ostatnich, a wejrzenie posiadało trwożliwe i ostre błyski człowieka, zagrożonego niebezpieczeństwem. Ostatni ze wszystkich ukazał się Izaak Todros. Wysunął się z niskich drzwiczek swjej chatki i, szczupły, zgarbiony, przemknął w cieniu ścian, otaczających podwórze, tak szybko i cicho, że z tłumu nikt go prawie nie dostrzegł.

W téj saméj chwili, w głębi Bet-ha-Midraszu, nad głuchym szmerem falującego ludu, rozległ się czysty i silny głos mężki:

— W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba, słuchaj Izraelu!

Szmer ludu wzmógł się i przeszedł w gwar, nieledwie we wrzawę. Czuć w tém było niechęć trochę, a więcej jeszcze obawy, walczącej z ciekawością. To téż przez długą chwilę głos człowieka, mówiącego we wnętrzu napełnionej ludźmi budowy, mocował się z pochłaniającym go gwarem, a z pomiędzy słów jego nieliczne tylko wzbijały się nadeń i brzmiały wyraźnie. Nagle ktoś z tłumu zawołał donośnie:

— Uciszcie się i słuchajcie! albowiem powiedzianém jest: „Słuchajcie mowy wszelkiej, czynionéj w imię Jehowy!“

— To jest prawda! — zaszemrano, — on mówić zaczął w imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba!

I stała się cisza wielka, przerywana tylko poruszeniami tych, którzy, u drzwi i za oknami stojąc, wspinali się na palce, aby zobaczyć tego, który przemawiał.

Żaden widok niezwykły oczu ich nie uderzył. Za białym stołem, więc na tém samym miejscu, z którego często przemawiano do ludu, Meir Ezołowicz stał w postawie spokojnej i ze spokojną również twarzą. Bledszym był wprawdzie niż zwykle, i w oczach miał blask gorejącego wzruszenia, ale widać było, że wzruszenie to brało źródło nie w trwodze ni wątpliwości najłżejszej, lecz przeciwnie — w uczuciu potężnej wiary jakiegś i równie wielkiej, uszczęśliwiającej nadziei. W rękę trzymał on kilka żółkłych i bardzo starych arkuszy papieru, z których czytał i które po-

dnosił niekiedy wysoko, jakby chciał ukazać oczom wszystkich, z kąd brał słowa swoje.

— „Izraelu! — zawołał w chwili, gdy gwar ustąpił przed powszechną i głęboką ciszą, — ty jesteś wielkim narodem! Ty pierwszy z pomiędzy narodów wszystkich zobaczyłeś w niebie Boga jedynego, a na ziemi usłyszałeś, w huk gromów i blasku błyskawic, dziesięć ogromnych słów, na których, jak na dziesięciu opokach, inne ludy, przez pokolenia wszystkie budują wschody do słońca doskonałości! Izraelu! ślepe od urodzenia, albo pieprzem złości jest oślepienie oko tego, kto, patrząc na oblicze twoje, nie zobaczy stariej twój dostojności! Suchą od urodzenia, albo wichrem, z piekieł wiejącym, wysuszoną jest żrenica ta, która na wielkie cierpienia, jakie ty przeniosłeś, nie wypuści z siebie łzy. Nieszczęsny jest ten, kto ustami swemi rzeknie na ciebie: nikczemny! Niech ulituje się nad nim i przebaczy mu Pan, albowiem niema w nim tej szali sprawiedliwości, na której wąż się zasluga i winy narodów, ani tego światła mądrości, które pokazuje, jak z bólu i nędzy rodzą się grzechy! Izraelu! z ciebie urodził się Mojżesz, z sercem gorejącym miłością, jako krzak ognisty, Dawid ze złotą harfą; piękna Ester, płacząca nad biedą ludu swego. Machabeusze z potężnymi mieczami z ciebie powstali, i prorocy, idący na śmierć dla prawdy serc swoich. Ty, kiedy w ziemi ojców swoich żyłeś szczęśliwy, brzydziłeś się niewolą brata, na polu swém

dziesiąty snop zostawiałeś łaknącym, a głos dawałeś każdemu, co przemawiać do ludu chciał, i, przed Jehową jednym korząc się, mówiłeś: my wszyscy równi w obliczu Ojca naszego! A kiedy ty potem, nieszczęsny i zwyciężony, oblany krwią synów swoich, co ziemi przodków bronili, we łzach i prochu cały, pomiędzy obcemi narodami stanąłeś, ty wszystkie boleści i wszystkie pogardy przeniosłeś, — jedynemu Bogu swemu wiernym pozostałeś, a pamięci o przodkach swych nie straciłeś, i wszystkie ludy, które kiedykolwiek gnębione i we łzach topione były, uczyłeś — jako bez broni obronić się można! Rozumnym, czystym i miłosiernym stworzył cię Pan, ludu mój; ale oto drugi tysiąc lat już przemija, odkąd nie stało ci jednej rzeczy ważnej: ojczyzny!...

Tu głos mówiącego zadrżał i umilkł na chwilę, drżenie też przebiegło po zgromadzeniu całym, a potem rozległ się szept głosów stłumionych:

— Słuchajmy! słuchajmy! Pisanie to jest mądrego i dobrego Izraelity, który opowiada chwałę ludu swego!

Słuchali, a Meir Ezofowicz czytał dalej:

„Biada ludowi temu, któremu zabraknie ojczyzny! „I zejda z okrętów wszyscy, robiący wiosłem i wszyscy pływający po morzu — i przylgna do ziemi.” Dusza narodu wszelkiego łączy się z ziemią swoją, jak dziecko z piersią matki i od niej bierze pokarm swój, i zdrowie swoje, i lekarstwa na swoje choroby. Tak

chciał i tak uczynił Pan. Ale ludzie poszli przeciw woli Jego; duszę twoją, Izraelu! oderwali od ziemi, do której ona przylgnęła. Jako żebrak, pukałeś ty do wrót cudzych domówstw, i tych, którzy plwali na cię. o zmiłowanie prosić musiałeś; głowa twoja chyliła się pod rozkazami praw, przeciw którym krzyczała w tobie ze wstrętu natura twoja; język twój łamał się, żeby naśladować mowy cudze; podniebienie twoje gorzkniało od goryczy, które piłeś; oblicze twoje czerniało od gniewu i upokorzeń, a w piersiach twych serce kurczyło się od strachu, ażeby nie zniknęło z powierzchni ziemi imię Izraela i jedynego Boga jego, Jehowy. Aż w udręczeniach i nędzach srogich opadła z ciebie stara wspaniałość twoja, i rozmnożyły się się jako gwiazdy grzechy i nieprawości twe, a Jehowa, Bóg twój, patrząc na ciebie, zapytał z gniewem: „Jest-że to ten sam lud mój, wybrany, którego zaręczyłem z sobą w prawdzie i łasce? Azaliż on Zakonu mego inaczej strzedz nie umi, jeno słowami ust, które sprzeciwiają się uczynkom rąk jego? Azaliż Zakon ten widzi on tylko w ofiarach, śpiewach, modłach i kadzidłach, a nie we wstępowaniu na tę wielką drabinę, którą objawiłem we śnie słudze memu, Jakóbowi, aby po wszystkie czasy wiedzieli ludzie o tém, jak wstępować trzeba do mnie, który jestem poznaniem i doskonałością!”

W tém miejscu głos czytającego pochłoniętym znowu został przez głuchy gwar słuchaczy.

— Co on takiego czyta? — zapytano siebie wzajem. — Pisanie to złego Izraelity jest, który na lud swój brzydkie słowa rzuca! A jakież są grzechy te i nieprawości, które rozmnożyły się pomiędzy nami, jak gwiazdy na niebie? A jakoż Pana świata chwalić mamy jeżeli śpiewy i modlitwy nasze nic w oczach Jego nie znaczą?

Bladość Meira zwiększyła się nieco, gdy uczuł, że głos jego ginąć zaczyna znowu we wzdymającej się fali głosów mrukliwych lub strwożonych. Umilknąć nie było przecież w mocy jego. Czytał więc dalej, a w ludzie szemrzącym ciekawość przemogła wkrótce inne uczucia: uciszono się i słuchano.

Słuchano opowieści Michała Seniora, jako z rozkazu królewskiego i dla miłości téj, którą lud dla niego z razu miał, stanął on na czele spraw jego, i chciał wprowadzić go na drogę nową, u której końca widział świtające słońce nowego dnia; jako przeszkodzono mu w dziele tém, odwrócono odeń duszę narodu, okryto go sadzą potwarzy, obrócono go w proch mizerny, po którym deptały stopy nieprzyjaciół jego.

„Szumiały w głowie mojej myśli, których język mój wypowiadać nie miał już komu, bo opuścili mnie wszyscy dawni przyjaciele i uczniowie moi! W piersi méj palił się płomień, przy którym grzać się nikt nie chciał, bo włożono w uszy ludu mego, że roznieciły go we mnie ręce szatana! Zmieniła się twarz moja,

a oczy moje były, jak te smutne gwiazdy, które na świat patrzą z za grubój chmury! Członki moje rozpadały się od niemocy, sen śmierci ogarniać mię zaczął, a z ust moich wychodziły krzyki:

„Panie świata! nie opuszczaj posłańca swego! Daj mu głos taki silny, ażeby przemówić mógł do tych, którzy nie urodzili się jeszcze; bo ci, którzy żyją, słuchać mię już nie chcą!

„Otworzyłem księgę świętą i przeczytałem w niej: „Jeżeli ramię twoje opadnie w niemoc, walczyć będziesz jeszcze za prawdę twoją głosem swoim, miłością swoją i łzami swojemi!“

„Prawnuku mój! który pisma tego szukać będziesz i znajdziesz je, ogłoś ludowi mojemu, czego ja dla niego żądałem. Pierwszą rzeczą, której ja dla niego żądałem, było: zapomnienie. Czy żądałem ja, żeby zapomniał on o Bogu swim, Jehowie, i o tém, że on Izraelem jest — ludem, który swoją duszę ma, i który, w przeszłości swój, wielkich mężów rodził i wielkie myśli z siebie wydawał? Nie, ja nie mogłem żądać, ażeby Izrael zapomniał o tém, bo mnie samemu wspomnienia te miód kładną na podniebienie i serce rozszerzają. Ale ja żądałem, żeby Izrael zapomniał krzywd i boleści, których doznał od obcych narodów. „Krzywd nie pamiętaj! Nie mów: Odpłacę złem za złe.“ Mar Zutra idąc spać, mówił co dzień. „Przebaczam wszystkim tym, którzy mię zasmucili.“ Mar Zutra był wielkim człowiekiem.

„Kiedy zapomnisz ty, Izraelu, wtedy zbliżysz się do płomieni tych, które cudzemi nazywasz, a które do wszystkich ludzi należą. Cudze płomienie te, od których ty uciekasz w zawziętém pamiętaniu swojem, roznieca ręką swoją Sarha-Olam, anioł poznania, który aniołem nad aniołami jest i książęciem świata. Święta jest nauka religii, ale i inne nauki któż stworzył, jeżeli nie Ten, w którym mieszka doskonałość poznania? — Smacznym owocem jest rajske jabłko, lecz czyliż innemi płodami ziemi żywić się nam nie potrzeba? „Przyjdzie taki czas, że świat cały pełen będzie wiedzy, jak pełną wody jest otchłań morza!“ Słowa te powiedział mędrzec twój, którego wykleli mędrcey twoi. Jak nazywał się mędrzec ten? On nazywał się Mojżesz Majmonides, on był prawdziwym prorokiem, który „oczy miał nie z tyłu głowy, lecz z przodu“, a patrzył nie na to, co było, ale na to, co będzie, i lud swój do cudzych płomieni pędził, bo wiedział, że przyjdzie czas, w którym ten, co płomieni tych w siebie nie weźmie, w proch i błoto upadnie, a imię jego pośmiewiskiem i wzgardą stanie się dla wszystkich narodów... On był drugim Mojżeszem... on był mistrzem moim, od którego przyszły do mnie wszystkie radości i boleści moje...“

Tu czytający opuścił na stół ręce, trzymając żółte arkusze, a podnosząc twarz, okrytą wyrazem niewysłowionego zachwytu, powtórzył:

— On był mistrzem moim, od którego przyszedł do mnie wszystkie boleści i radości moje...

Dziwna rzecz! Mistrz przodka zmarłego przed trzydziestu laty, był jeszcze mistrzem żyjącego dziś młodego potomka! Z jednego źródła spłynęły na obu boleści ich i radości. W sercach obu rozniecił on tę heroiczną i męczeńską — najwyższą ze wszystkich miłości ziemskich: — miłość idei. Tylko że potomek, czytając słowa przodka, słowa, które rozpraszały i oświecały wszystkie dotychczasowe wątpliwości i niepewności jego, czuł samą tylko radość. Smutku ni bólu nie było w tej chwili ani śladu w sercu jego, wezbraném potężną, bo młodzieńczą, wiarą i nadzieją.

Lecz w tłumie chrapliwy i zanoszący się głos jakiś zawołał:

— *Herstel herstel!* on cudze płomienie wychwalał! On wyklętego kacerza drugim Mojżeszem nazywał!

Wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, aby zobaczyć, kto słowa te wymówił. Był to Reb Mosze, który, u drzwi wchodowych na ławie stojąc, całą postacią swą wyniesiony nad tłum falujący u bosych stóp jego, trząsł głową, śmiał się szydersko, a wzrokiem rozplamienionym wpijał się w Meira. Ale ciekawość ludu nie była jeszcze nasyconą; pod łachmaniastą odzieżą wiele serc biło przyspieszonym tętnem nieokreślonego, niepojętego im samym, wzruszenia.

— On ustami prawnuka swego z grobu do nas przemawia! Słuchajmy tego, którego dusza mieszka już pomiędzy Sefirotami! — ozwało się głosów kilka.

A starzec jakiś, zgarbiony i wspierający się na kiju, podniósł siwą głowę, mrózce się oczy zwrócił na Meira, i jęklwym nieco głosem mówić zaczął:

— Jakże Izrael miał grać cię przy słońcu poznania, kiedy odpędzali go odeń nieprzyjaciele jego? Mielśmy, Rebe, kiedyś sławnych doktorów naszych i mędrców takich, którzy ministrami przy potężnych królach byli... ale kiedy nas potem odepchnięto od bram mądrości, myśmy odeszli i powiedzieli: Oto Izrael rozwód czyni z narodami cudzemi i stać będzie pośród nich osobno, jak starszy brat, którego młodszy bracia obrazili...

Meir patrzył na przemawiającego do niego starca z wpół łagodnym, wpół tryumfującym uśmiechem na ustach.

— Rebe! — odpowiedział, — w pisaniu przodka mojego znajduje się odpowiedź na mowę twoją:

„Znikną grzechy z powierzchni ziemi“. „I grzeszników już nie będzie“. A kiedy znikną grzechy i przed wami otworzą się bramy mądrości, wchodźcie w nie prędkim krokiem i z wesołym sercem, bo nauka jest największym orężem Pana, który rządzi światem według wiecznych praw rozumu. „Na dzieła Stwórcy patrzeć nie chcą“. O takich powiedziano w piśmie: „Głupcy nienawidzą poznania!“

„Drugą rzeczą, której ja dla ludu mego żądałem jest: pamiętanie. Rawa zapytał Rabe, syna Mory: zkad wzięło się u ludzi przysłowie. „W studnię, z której pijesz, nie rzucaj błota.“ Raba odpowiedział: — Ztąd, że w Piśmie powiedziano też: Nie odpychaj Egipcyanina, albowiem gościem byłeś na ziemi jego!“ Eliezer, syn Azaryi mówił: „Egipcyanie przyjęli Izraelitów dla własnej swojej korzyści, a przetoż Przedwieczny dał im za to nagrodę.“ A jeżeli kraj ten, z którego studzien pijesz wodę i z którego roli spożywasz chleb, przyjął cię, nie jako bydlę robotnicze, ażeby mu ziemię orało, ale jako brata zmęczonego, ażeby na piersi jego odpoczął, jakąż ty mu nagrodę dasz, Izraelu?

„Nie jest powiedzianem: „Będziecie odzierać cudzoziemca z dobra jego“, ale: „Będziecie dzielić się z cudzoziemcem dobrem waszém.“ Nie powiedziano też; „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak pomiędzy szarańczą, która zboże objada z niw jego“, ale: „Niech cudzoziemiec żyje pomiędzy wami, jak gdyby był zrodzony z potomków Izraelowych!“

„Kiedy ja urząd mój, przez samego króla mnie dany, w mocnych rękę trzymałem, znalazło się dwóch niecnym Izraelitów, którzy, do nieprzyjacielskiego obozu uciekwszy, sekrety królewskiego wojska ponieśli tam z sobą i wydali, przez co wielkie szkody i trudności zrzadzili królowi w wojnie. Co ja z tymi niecnymi podwładnymi mymi uczyniłem? Ja rozkaza-

łem po kraju całym, przy dźwiękach trąb, ogłaszać, że oni są zdrajcami względem Boga i Zakonu Jego i że odpycha ich od siebie na wieki wieków łono Izraelowe! Ja tak zrobiłem, bo gdy gniew na nich wezbrał w sercu mojem, zobaczyłem ja we śnie drugiego Mojżesza, który powiedział do mnie: „Odepchnij ich od łona Izraelowego, albowiem odepchnęli oni od siebie tych, na których ziemi gośćmi i przybylcami są?

„Nietylko dla świętości dusz waszych żądałem ja od was, ażebyście pełnili rozkazy wdzięczności, ale i dla szczęśliwości żywotów waszych na tej ziemi.

„Kiedy zasiadałem ja w wielkim Synodzie Izraelskim, który, z pozwoleniem króla i wszystkich wielce możnych panów tego kraju, zebrał się w pięknym i bogatym mieście Lublinie, namówiłem wszystkich mądrych i uczciwych ludzi, którzy zasiadali ze mną, abyśmy pomiędzy Izraelitów puścili taką odezwę, która-by rozumami i sercami ich zatrząść mogła tak, jak trzęsie ogrodnik drzewem, aby z niego dojrzałe owoce spadały.

„Powiedzieliśmy w odezwie naszej do wszystkich braci naszych: „Bądźcie pożytecznymi ziemi tej, na której mieszkacie, a będą was szanować.“ Oto jest pierwszy krok do szczęśliwości, bo wzgarda gorzką, a szacunek słodkim jest sercu ludzkiemu.

„Ale są jeszcze inne rzeczy, które ja w myśli mojej mam.

„Kto jest sługą ziemi swojej, ten naję się chleba

do syta! A jakże do syta nakarmi was ziemia ta, jeżeli wy z nią obchodzić się będziecie, nie jak wierne i pracowite sługi, ale jak przechodnie, o dzisiejszy tylko dzień dbający?

„Kiedy Abraham przybył nad granicę Tyru i ujrzał, jako tam ludzie usiewali ziemię i zasadzali drzewa, to zawołał: „O! gdyby dana mi była częśćka téj ziemi!“ A Pan rzekł: „Potomstwu twemu ziemię tę ja oddam!“ I oddał on ziemię synom człowieczym.“

„Rabbi Papa powiedział: „Nie prowadź handlu, ale uprawiaj ziemię; bo choć jedna i druga robota dobrą jest, ale pierwszą błogosławia ludzi!“ „Kiedy przyjdziecie na ziemię tę, zasadźcie w niej wszelkie drzewo, owoc rodzące!“

„Przyjdzie pora taka, w której znikną grzechy, a ludy świata zawołają do synów Izraela: „Bierzcie w ręce wasze pługi i idźcie uprawiać rolę, abyście żyli na niej spokojnie i chleb spożywali do syta z synami i wnukami waszymi!“ Ale fałszywi wasi mędrcy powiedzą wam: „Nie będą ręce nasze prowadzić pługów po ziemi wygnania.“ Prawnuku mój! który to czytać będziesz, powiedz ludowi twemu, aby zamknął uszy przed głosem fałszywych mędrców! Napełnij pierś twoją wielkim głosem i krzyknij: „Fałszywi mędrcy twoi gubili cię, Izraelu!“

Widać było, że czytający spełniał przekazane sobie rozkazy przodka z wiarą, zapalem i radością niewysłowioną. Czyliż sam on oddawna już w głębi du-

szy swój nie uczuwał wstrętu i żalu do mędrców fałszywych? Dla czego fałszywymi mędrkami byli oni? powiedzieć nie umiał. Język jego skrepowany był niewiedzą, a oko, gorejące żądzą poznania, tłukło się o ściany ciemnicy, w której go zamknęto. Teraz wiedział już — wiedział — rozumiał. To też z głębi piersi głosem donośnym zawołał:

— Fałszywym mędrcom swym nie wierz, Izraelu!

Tłum zawrzał:

„O kim on mówi?“

„Gdzież są w Izraelu fałszywi prorocy i mędrcy?“

„On o wielkich rabinach naszych i uczonych mówi; usta jego wypuszczają ze siebie obrzydliwe bluznierstwa.“

„On same tylko nagany rzuca w oczy ludu Izraelskiego!“

„On żąda, abyśmy uprawiali rękami naszemi ziemię wygnania!“

„Rabbi Nochim, dziad Rabbi Izaaka, mówił dziadom naszym: — Nie prowadźcie pługów po ziemi wygnania!“

„A Rabbi Nochim był mędrcom nad mędrkami; światłość mądrości jego oświecała ziemię całą!“

„Hersz Ezofowicz kłócił się o to bardzo z Reb Nochimem.“

„Hersz Ezofowicz był wielkim grzesznikiem!“

„Dla czego nie przeczytał on nam, jak nędzarze czynić mają, żeby bogaczami stać się?“

„Napisał on, żebyśmy byli sługami ziemi téj, na której mieszkamy! A kiedy Messyasza przyjdzie i zabierze nas ztąd do ziemi ojców naszych, my kraj ten porzucim! Na co nam być jego sługami?”

„Gadali ludzie, że w pisaniu tém napisane stoi, jak piasek w złoto zamieniać...”

„I jak dyabłów odpędzać...”

„I jak Mojżesza wskrzesić...”

„Ludzie nieprawdę gadali! W pisaniu tém niema żadnych rzeczy mądrych i miłych Bogu!”

Pytania te, sarkania i mnóstwo im podobnych krzyżowały się w tłumie wraz z szyderskimi uśmiechami ludzi, zawiedzionych w ciekawości swój i nadziejach. Mełamed, z ławy, na której stał, górując nad zgromadzeniem całém, rzucał w nie wciąż słowa obelżywe lub wybuchy grubego śmiechu, w którym czuć było jad nienawiści. Pod drugą ścianą, tuż naprzeciw mełameda, widać było stojącego téż na podwyższeniu Bera. Dwaj ludzie ci, stojący naprzeciw siebie i górujący nad ruchliwym tłumem, przedstawiali w sobie dwie krańcowe sprzeczności. Mełamed trząsał głową, rozmachiwał rękoma, przysiadał, podskakiwał, śmiał się i krzyczał. Ber stał niemy i nieruchomy; głowę odchylił nieco w tył i oparł o ścianę, a z oczu jego szklistych i w głęboką jakąś dal zapatrzonych, po twarzy okrytej wyrazem cierpienia, zmieszanego z zachwytem, spływały jedna za drugą, ciche, grube łzy. W pewném oddaleniu od tłumy,

a bardzo blisko Meira, stała, ściśle ze sobą zwarta, grupa kilkunastu młodych ludzi, którzy wszyscy wpatrywali się w twarz czytającego, jak w tęczę. Oddychali oni szybko, uśmiechali się błogiemu jakimś uśmiechami, to znowu wzdychali, albo ręce wznosili w górę i dotykali niemi to głów swych, to czół, to oczu. Zdawać się mogło, że nie widzieli, ani nie słyszeli falującego i szemrzącego tłumy; że duchy ich, dawno tęskniące za prawdą i omackiem szukające jęj pośród ciemności, rzucały się teraz całe w ognisty krąg głoszonych idei... W głębi tłumy, kędyś po samym środku sali, bardzo stary i trzęsący się głos mówił: — „O wszystkiém tém dużo gadali ludzie... dawno, dawno temu... w dniach młodości mojej!...” Głośnemu westchnieniu, które towarzyszyło słowom tym zgrzybiałego starca, będącego—któż wie? jednym może z dawnych przyjaciół Hersza, odpowiedziały stłumione chichoty. Byli to chłopcy podrostki, którzy, tu i owdzie wspinając się na ławy, odrzwia i gzymsy, wychylali z pośród ramion starszych głowy w przekrzywionych jarmułkach, a potem zsuwali się z wysokości swych i znikali ze stłumionemi śmiechy.

W rękę Meira zżółkłe stare arkusze drzeć zaczęły. Na bladą dotąd twarz jego wybiły się ogniste rumieńce. Z pod przymrużonej nieco powieki cisnął na tłum spojrzenie, w którym były gniew i prośba, litość i niecierpliwość.

— Uciszcie się! — zawołał. — Pozwólcie, aby

wielki mąż, który leży w grobie, powiedział wam przez usta moje wszystkie słowa swoje... aż do końca. On mnie wybrał za posłańca swego przed wami... ja wier-
ny być muszę rozkazaniom jego...

Głos jego brzmiał przenikliwie, rozkazująco. Siła odwagi i przekonania malowała się w postawie jego i gościu, jakim wyciągnął rękę ku burzącemu się do-
koła żywiłowi.

Małamed krzyknął:

— *Sztyl!* niech czyta! niech obrzydliwość ta wy-
chodzi z pod ziemi, gdzie ukrywała się do tego czasu,
ażeby łatwiej było spalić ją ogniem gniewu i przyci-
snąć kamieniem pogardy.

„Izraelu! — zaczął znowu wśród przycichającego
gwaru głos młodzieńczy i silny, — Izraelu! trze-
cia rzecz, której ja żądałem dla ciebie, jest: *rozpo-
znanie*.

„Byli u nas kiedyś mędrcy wielcy, których nazwa-
nie było *Baale-Tressim*, uzbrojeni. Czém oni uzbroili
się? Uzbroili się oni wielkiem poznaniem Izraelowego
Zakonu. A przeciw czemu uzbroili się? Przeciw
zgubie imienia Izraelowego. Oni powiedzieli: „Nie
zniknie z powierzchni ziemi dom Izraelowy, albowiem
damy mu mocny opłot z wielkiego mnóstwa praw,
które z Zakonu Mojżeszowego wywieziemy, a które
odgradzą go od narodów innych tak, że stanie on po-
między niemi osobno i nie przepadnie śród nich, jak
przepada rzeka, kiedy wpływa do wielkiego morza.“

„Tak powiedzieli sobie Tanaici nasi, a Sanhedryn,
w którym zasiadali, i szkoły, w których nauczali, po-
dobnemi stały się do wojennego pola, na którym leżą
kule i ostrzą oręż. Gamaliel, Eliezer, Jozue, Akiba,
Jehuda świecą pomiędzy nimi, jak słońca pomiędzy
gwiazdami; i następowali oni jedni po drugich przez
całe pięćset lat, i przez całe pięćset lat układali, tłó-
maczyli i pisali tę ogromną księgę, której dali imię
Talmud, a która przez długie wieki była dla synów
Izraelowych opłotem przeciw morzu, co ich pochłonać
chciało. Z niej synowie Izraelowi przez długie wieki
brali wszystką pociechę i wszystką światłość swoją,
a w ciężkiem rozproszeniu swém nie byli rozłączeni,
bo myśli ich i westchnienia dokoła niej zbiegały się,
jak zbiegają się dokoła matki swój myśli i westchnie-
nia rozproszonych po świecie jej dzieci.

„Księga, którą przez całe lat pięćset układali i pi-
sali ludzie, co kochali bardzo i wiele uczyli się, i któ-
ra narodowi całemu przez długie wieki dawała pocie-
chę, nadzieję i jedność, nie może być księgą głupią
i złą. Temu, kto o niej tak mówić będzie, powiedźcie:
„Oczyść naprzód serce swe od złości, a potem otwórz
ją i przeczytaj!“

„Lecz czyliż wszystko, co jest dobre, doskonałem
być musi? Po niebie samém chodzą ciemne chmury,
a w sercu, by najczystsze, wszechwidzące oko Pana
odkrywa skazy. Azaliż Jehowa sam pisał księgę praw
naszych? Azaliż pisali ją aniołowie? Ludzie ją pi-

sali. Jest-że jeden człowiek na ziemi całej i w wiekach wszystkich, który-by nie wiedział, co to błąd? Jest-że jedno dzieło ludzkie, któreby dla wszystkich czasów i pokoleń uczynioném było? Zwalił się tron faraonowy, położyła się w gruzy Niniwa, padł Rzym, który świata połową władał, grecka mądrość ustąpiła przed inną mądrością. Pustynie leżą tam, gdzie ludne miasta kwitły, a miasta wznoszą się na dawnych pustyniach. Kruszą się dzieła ludzkie, by największe, a na ich miejscu wyrastają inne. Tak idzie świat. Izraelu! w pokarmie, który żywił duszę twoję przez długie wieki, są ziarna i jest plewa; w bogactwie twojem są brylanty i jest piasek. Księga wiary twój jest jako to jabłko granatu, które człowiek głupi jadł z lupiną, od której wielki niesmak miał na podniebieniu i srogie we wnętrznościach bóle. Ale kiedy Rabbi Meir głupiego tego człowieka zobaczył, zerwał z drzewa jabłko granatu, twardą i gorzką lupinę odrzucił, a soczyste i słodkie jądro zjadł. Ja pragnąłem uczyć was tak, jak uczył Rabbi Meir człowieka, który jadł z lupiną jabłko granatu. Ja chciałem, żebyście osiągnęli dar rozpoznawania i dla księgi wiary naszej zrobili z rozumu waszego sito takie, które-by wyrzuciło plewy i piasek, a zostawiło wam ziarna i brylanty. Odtrąciłeś mnie od siebie za to żądanie, ludu mój! znienawidziło mnie serce twoje, bo strach i nienawiść wielka zamieszkały w tobie przeciw rzeczom nowym. A przecież powiedzianém jest: „Nie patrz

na naczynie, ale na to, co ono w sobie zawiera. Bywają dzbany nowe, napełnione winem mocnym, i stare, w których niema ani kropki.“

— Meir! — szepnął Ber, rzuć ty okiem na lud!

I ciszej jeszcze dodał:

— Idź ztąd! idź jak najprędzej!

Meir powiódł wzrokiem po falującej i wrzającej czarnej massie ludu; uśmiech na-pół smutny, a na-pół gniewny, przewinał mu się po ustach.

— Nie tego ja spodziewałem się! Spodziewałem się zupełnie czego innego! — rzekł z cicha i pochylił głowę. Wnet jednak podniósł ją i zawołał:

— Ja jestem posłańcem przodka mojego! On wybrał mnie na czytelnika ostatnich myśli swoich! ja woli jego posłusznym muszę być!...

Odetchnął głęboko i dodał głośniejszemu:

— On przeniknął pytania te, które szumieć miały w głowie prawnuka jego i odpowiedź na nie dał! On przeniknął skrytości dusz, które łakną prawdy, i przysłał im przez ręce moje pociechę i naukę. Ja kocham go tak, jak gdyby wyhodował on mnie na kolanach swoich! Ja pokłon składam wielkiej duszy jego, która zarobiła sobie na nieśmiertelność i mieszka teraz w światłości Jehowy! Ja tak myślę, jak on myślał! tego żądam, czego on żądał! ja taki sam, jak on! ja syn duszy jego! — Głos jego dźwięczny i donośny drżał westchnieniami i dziwniejszemi nad nie zachwyconemi uśmiechami jakiemiś; w oczach płomiennych

i głębokich stanęły wielkie łzy, a usta mu drżały i czoło bladło coraz bardziej, i ręce mimowoli jakby wznosiły się w górę.

— W pisaniu przodka mego, — wołał, — napisano, że my stoim na miejscu, kiedy wszystkie narody naprzód idą ku poznaniu i szczęśliwości! że głowy nasze napełnione są takim mnóstwem małych rzeczy, iż wielkie pomieścić się już w nich nie mogą! że nauka ta, która nazywa się Kabałą, a którą wy za świętą macie, jest nauką przekłątą, bo topią się w niej rozum synów Izraelskich i odprowadza ich ona od prawdziwego poznania... Napisano tam...

Tu głos mówiącego zmieszał się tak bardzo z krzykiem, śmiechami i jękami ludzi, że pojedyncze tylko wyrazy dochodzić mogły uszu tych, którzy słuchać chcieli. Nie przestawał jednak mówić; owszem, mówił prędko, coraz prędziej, z piersią dyszącą, z oczyma, które to przymrużały się, to otwierały szeroko. Zdawało-by się, że, widząc bezskuteczność wysiłków swych, pragnął przynajmniej spełniać jak najdłużej to, co za posłannictwo swe uważał; że, zawiedziony w oczekiwaniach swych, zachował jeszcze jedną jakąś iskrę nadziei...

— Biada! biada! — wołali ludzie różnemi głosy, — odszczepieństwo i zgorszenie nawiedziły dom Izraelowy! Usta dzieci pluja bluźnierstwami na rzezy święte!

— Słuchajcie! słuchajcie! — wołał Meir, — daleko jeszcze do końca słów przodka mego...

— Zamknijmy mu usta i odpędźmy od miejsca, z którego przemawiają do ludu mędrcy Izraelowi!

— Słuchajcie! W pisaniu tém napisano, ażeby Izrael przestał spodziewać się Messyasza z ciała i ze krwi...

— Biada! biada! odbierać on chce sercu Izraelowemu pociechę i nadzieję jego!

— Albowiem nie przyjdzie on na świat pod postacią człowieczą, ale spłynie, jako Czas, niosący ludom wszystkim poznanie, nasycenie, miłość i pokój...

— Meir! Meir! co ty robisz? ty gubisz siebie! patrz na lud! uciekaj! — rozległy się w pobliżu mówiącego stłumione szepty.

Ber stał tuż przy jego boku; Eliezier, Aryel, Chaim i kilku innych otoczyli go ścisłym kołem; ale on nie widział ich, ani słyszał. Krople potu występowały mu na czoło, blade jak chusta, lecz wysoko wzniesione, a w oczach błyskały mu na przemian łzy rozpacz i płomienie gniewu.

Nagle, w bliskości drzwi wchodowych, rozległ się głuchy stuk. Melamed zeskoczył z ławy, na której stał, i bosemi stopami swemi pokilkakroć o podłogę uderzył. Potém, w kilku poskokach przesadził salę wśród tłumu, który rozstąpił się przed nim, i gwałtownym giestem ramienia, okrytego płóciennym rękawem, zrzucił ze stołu mosiężny lichtarz z żółtą świecą,

której płomień zdeptali wnet inni. Jednocześnie ktoś wspiał się na ławę i zdmuchnął lampkę, palącą się u drzwi; — gruby zmrok, tu i owdzie tylko rozwidniony blademi smugami księżyca, wnikającemi przez okna, ogarnął wielką salę, w której zagotowało się i zawrzało teraz tak, jak gdyby napełniły ją rozszalałe jakieś żywioły.

Najbystrzejsze ucho nie rozróżniło-by już teraz wyrazów, które sypały się tam, jak grad, i mieszały się z sobą w chaos nierozwikłany. Z brzmień tylko pojedynczych wykrzyków, wzbijających się nad ten szum ogromny, rozpoznać można było: groźby, wyrzekania przekleństwa i prośby. Nakoniec z drzwi Bet-Midraszu, na oścież roztwartych, wypłynęła na synagogalny dziedziniec gęsta, czarna fala ludzi i spotkała się tu z falą drugą, która stała dotąd zewnątrz budowy i spokojniejszą nieco była, choć także wzruszoną i szemrzącą. Tu rozlewała się już na przestrzeni szerokiej powódź jasnych księżycowych świateł, a wśród niej wznosił się Bet-ha-Kahoł, z zamkniętymi szczelnie drzwiami i okiennicami. Na wschodach gankowych tylko siedział tam *szamos*, z łokciami na kolanach i brodą w dłoni, nieruchomy jak posąg, oczekujący rozkazów, mających wyjść z wnętrza budowy téj, która, wśród wrzawy wzburzonego ludu, stała niema i zamknięta, jak grób.

Tłum rozproszył się na grup wiele, z których jedna przekroczyła wrota synagogalnego dziedzińca

i z gwarem niezmiernym, niby olbrzymi i szamocący się ptak czarny, sunęła po białym od księżyca placu. Liczną była grupa ta. Składali ją ludzie w nędznych ubiorach, z długimi brodami i oczyma rozpalonemi złością; dzieci różnego wieku, nachylające się wciąż dla podniesienia kamiami lub garści piasku i błota; a po samym środku jęj cisnęła się ku sobie i człowieka wśród nięj znajdującego się osłaniała gromadka dorosłych lub dorastających zaledwie młodzieńców. Rozpychani i potrącani, walczyli oni chwilę jeszcze całą siłą piersi i ramion swoich; aż obezsileni, czy zleknięci, pierzchnęli i zmieszali się z tłumem. Wtedy na plecy człowieka, którego osłaniał dotąd, posypał się grad kamieni; dziesiątki rąk chwytaly odzież jego i darły ją w szmaty; na odkrytą głowę jego padały garście żwiru i zlepki błota, zaczerpnięte z kałuży. W uszach jego brzmiały chóralne, namiętne okrzyki, przed oczyma migotały twarze rozognione, podnoszące się i opadające ramiona; a za tém wszystkiém, jak za mgłą ognistą, milczący i zamknięty ukazywał mu się dom jego rodzinny. Ku domowi téż temu, niby ku portowi zbawienia, biegł on tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to ręce szarpiące go za odzież i plączące się mu przed stopami ruchliwe gromady dzieci. Z zaciśniętych ust jego nie wydzierał się jęk najlżejszy, ani wychodziło słowo żadne prośby lub skargi; można-by rzec, iż nie czuł on wcale bólu spadających nań razów, ani trwogi przed temi gwizdzącemi kamie-

niami, z których nie jeden lada chwila ugodzić mógł weń śmiertelnie. Piersią i ramionami odpychał on wprawdzie z rozpaczłą siłą tłoczący go tłum, lecz zdawało się, że nie siebie bronił, ale skarbu, który unosił z sobą; bo co chwila dotykał dłonią piersi, jakby chciał przekonać się, że go posiada jeszcze przy sobie. Nagle, zastąpił mu drogę człowiek w długiej, grubej koszuli i, wywijając grubym kijem, który trzymał w ręku, z iskrzącymi się oczyma zawołał do ludu:

— Głupcy! co wy robicie! Dlaczego wy jemu obrzydliwego pisania tego nie odbierzecie? Rabbi Izaak nakazał, abyście pisanie to wydarli mu i w ręce jego oddali! On je na piersi swój schował!

W mgnieniu oka młody człowiek, którego dotąd otaczano z tyłu tylko i z boków, ujrzał się zaskoczonym z przodu. Kilkanaście rąk ciemnych, grubych, sięgnęło ku jego piersi, rozgięło ramiona jego, które on zważył był z całej siły, i targać go poczęło za przednią część odzieży. Wtedy podniósł on ku niebu wyiskrzonemu księżycowóm światłem twarz śmiertelnie bladą i z głębi piersi krzyknął: Jehowa!

W tej chwili uczuł u nóg swych prześlizgujące się, szczupłe, zwinne ciało jakieś, a gorące jakieś usta przylgnęły do jednej z opuszczonych rąk jego długim pocałunkiem. Dziwnie odbić się musiał w sercu jego pocałunek ten, wmieszany w zadawane mu ciosy, — ten objaw miłości wśród wrzących dokoła niego prze-

kleństw i grózb. Ostatkiem sił odepchnął od siebie napastników i pochylił się ku ziemi, a zanim oni zdążyli przyskoczyć znowu ku niemu i podnieść nań ręce, wyprostował się i w ramionach swych podniósł dziecko, którem zasłonił się, jak puklerzem, a ono przylgnęło piersią do piersi jego, oba ramiona zarzuciło mu na szyję i ku ludziom groźnie podnoszącym ręce zwróciło twarz zalaną rzesistemi łzami. I z za łez, czarne, ogromne oczy dziecka patrzyły ze szczególnym, przejmującym wyrazem gniewu, połączonego z błaganiem i strachem.

— To moje dziecko! to mój Lejbele! nie czyńcie mu nic złego! — ozwał się z pośród tłumu jęklivo i trwogi pełen głos krawca Szmula.

— *Rebbe!* — zawołało kilka grubych głosów do mełameda, uwijającego się wciąż przed tłumem z kijem w ręku, — *Rebbe!* on zasłonił się dzieckiem! Dziecko to bardzo go kocha!

— Odbierzcie mu dziecko to! wydrzyjcie mu przekłete pisanie! — krzyczał *Rebbe*.

Ale nie usłuchał go nikt. Szarpano jeszcze Meira z tyłu i z boków; kamień jeszcze jeden i drugi ugodził go w ramię i nad głowę jego przeleciał; ale przed sobą ujrzał on już przejście wolne i kilku podskokami znalazł się na ganku rodzinnego domu, którego drzwi otworzył przed nim ktoś niewidzialny i wnet je za nim zamknął.

Meir postawił dziecko na ziemi w ciemnym kury-

tarzu, a sam wbiegł do bawialnej izby, w której, przy świetle lampy, palącej się przed kanapą, zastał zgromadzoną całą swą rodzinę. Wbiegł i stanął nieruchomo u ściany. Oddychał prędko, wodził do koła mętym wzrokiem i milczał. Milczeli też przez chwilę wszyscy obecni. Nigdy, odkąd ród Ezofowiczów istniał na świecie, żaden członek rodu tego nie wyglądał tak, jak wyglądał teraz blady i zdyszany młodzieniec ten, w opadającej zeń łachmanami odzieży, z głową osypaną prochem ulicy. Czoło jego, zroszone potem śmiertelnego zmęczenia, przerzynała ukośnie czerwona kresa, — ślad chropowatego kamienia może, który się po nim przeslizgnął, albo, kto wie? ostrego narzędzia jakiegoś, które podniosła nań ręka czyjaś w ciemnej sali Bet-Midraszu! Miał on pozór ściganego przestępcy, miałby też pozór żebrzącego nędzarza, gdyby nie duma jakaś, która patrzyła z uznojonego i zranionego czoła jego, i nie gorący blask w oczach, w których, obok niewysłowionego bólu, malował się upór niepokonanej woli.

Saul zakrył twarz obu dłońmi. Kilka kobiet zaszclochało głośno; Rafał, Abram i inni dojrżeli członkowie rodziny podnieśli się z miejsc swych, rozpłomienieni, groźni, i jednym głosem zawołali: — Nieszczęsny! — Chcieli otoczyć go i mówić coś do niego, ale nie mieli czasu; rozwarły się bowiem z trzaskiem wielkim okiennice z zewnątrz zamknięte, zadzwoniły i w drobne odłamy posypały się szyby okien, kilka-

naście kamieni wpadło do izby, uderzając ze stukiem w ściany i sprzęty, a za oknami zakipiała wrzawa namiętna, groźna, wśród której najwyraźniejszy i najnamiętniejszy brzmiał gruby głos melameda. Dopomniano się o Meira i o pisanie Seniora; łajano ród cały, domowstwo to zamieszkujący; odgrażano się pomstą Bożką i ludzką; krzyczano na znieważenie Zakonu i bluźnienie rzeczom, dla Izraela świętym.

Ezofowiczowie stali, jak przykuci do miejsc swych, strachem i wstydem zjęci.

Saul tylko odkrył twarz, wyprostował się dumnie i krokiem szybkim zmierzać zaczął ku drzwiom.

— Tatel gdzie ty idziesz? — z przestachem krzyknęli za nim mężczyźni i kobiety.

Wyciągnął ku oknom wskazujący palec i drżącymi ustami rzekł:

— Stanę na ganku domu mego i powiem głupiej zgrai tej, żeby milczała i szła precz!

Zastąpiono mu drogę. Kobiety oplotły ramionami kolana jego.

— Oni cię zabiją! — jęczano.

Nagle, w jednej chwili wrzawa umilkła i za oknami rozległ się tylko szept mnóstwem ust powtarzany.

— Szamosz! szamosz! szamosz!

W istocie z bramy synagogałnego dziedzińca wyszedł, i przez plac, ku domowi Ezofowiczów, szybko posuwał się człowiek, który przed kilku minutami stróżował nieruchomo u drzwi niemego,

jak grób, Bet-Kahołu. Grób otworzył się snadź i wypowiedział słowa zapadłego wyroku, a sługa synagogalny śpieszył, aby ogłosić go obwinionemu i jego rodzinie. Ale i lud także brzmienia wyroku ciekawym był namiętnie. Dlatego uciszył się i stał, jak mur czarny, przyparty do okien, w których żadnej już prawie szyby nie było. I ci wszyscy także, którzy pozostali byli na synagogalnym dziedzińcu, albo, rozsypani wśród placu, bezczynnie przypatrywali się burzliwej scenie, złączyli się w jedną ogromną masę i zalegli znaczną przestrzeń przed domem Ezo-fowiczów. Drzwi domu tego otworzono znowu i wnet zamknięto. Szamosz wszedł do bawialnej izby.

Wszedł, niespokojne trochę i nieufne spojrzenie rzucił dokoła, a potem pokłonił się Saulowi.

— *Szolem alejchem!* (pokój tobie!), — rzekł z cicha, jakby czuł sam, iż zwykle pozdrowienie to mieściło w sobie tym razem srogą ironią.

— Rebe Saul! — zaczął znowu pewniejszym już nieco głosem, — nie miej za złe słudze swemu, że przynosi w dom twój nieszczęście i wstyd. Spełniam rozkazy wielkiego rabina naszego i wszystkich dajonów i kahalnych naszych, którzy dziś na wnuka twego Meira sąd składali, a wyrok zapadły ogłosić mi kazali jemu i wam wszystkim.

Słowom tym odpowiedziało znowu głębokie milczenie. Po chwili dopiero Saul, który stał wsparty o ramię syna swego Rafała, rzekł przyciszonym głosem:

— Czytaj!

Szamosz rozwinął papier, który trzymał w ręku, i donośnym głosem czytać, a raczej wyśpiewywać zaczął:

„Izaak Todros, syn Barucha, rabin Szybowski, wraz z dajonami i kahalnymi, trzymającymi sąd i rządy nad gminą Izraelską miasta Szybowa, przyjąwszy do wiadomości i mając to stwierdzone przez mnogich świadków i przez dowody, niepodlegające żadnemu wątpieniu, że silny, zuchwały i nieposłuszny Meir Ezo-fowicz, syn Benjamina, dopuścił się srogich przestępstw i, nigdy nie słychanych w Izraelu, zbrodni następujących:

1) iż pomieniony Meir, syn Benjamina, zanie-dbywał strzedz *sabbatu*, według praw i ustanowień Izraelskiego Zakonu, i zamiast oddawać się w dniu tym, jak prawemu Izraelicie przystoi, pobożnym czytaniom i rozpamiętywaniu niezliczonych przepisów talmudu i niezgłębionych tajemnic kabały, ośmielał się strzedz i bronić mieszkania odszczepieńcy Karaima, na dzieci Izraelskie w gniewie ręce podnosić, a w miejscach ustronnych przekłete księgi czytać i świeckie pieśni śpiewać;

2) iż Meir Ezo-fowicz, syn Benjamina, księgę przekłątą: *More Nebuchim*, Mojżesza Majmonidesa, fałszywego mędrca, wyklętego przez mnogich a świętych rabinów i uczonych naszych, nie tylko sam czytał, ale do czytania i rozważania zawartych w niej

kacerstw i obrzydliwości towarzyszków i przyjaciół swych zachęcał;

3) iż Meir Ezofowicz, syn Benjamina, przed towarzyszami swymi i przyjaciółmi buntownicze mowy przeciw Zakonowi i mędrcom Izraelskim z ust swych wypuszczał, przez co dusze młodzieńców Izraelskich psuł i trądem niewiary zarażał;

4) iż, pod pozorem litości nad nędzą i utrapieniem ludu, dawał mu rady zbrodnicze i głupie, mówiąc, żeby baczyli na to, co kahalni czynią z odbieranymi od nich pieniędzmi, — żeby rozróżnili w Zakonie rzeczy Bożkie od rzeczy ludzkich, — żeby rozsypali się po szerokich polach i prowadzili po nich pługi tak, jak to czynią ciemni i nizcy chłopci chrześcijańscy;

5) iż, mając już na twarzy swój i brodzie wyrosłe oddawna włosy, nie chciał pojąć sobie żony, sprzeciwiał się w tém woli rozkazania starszych, a przyrzeczoną sobie dziewczynę Izraelską, Merę, córkę Elego, zuchwale odrzucił, przez co objawił wszeteczne swe postanowienie unikania prawych związków małżeńskich;

6) iż nieczystą przyjaźń trzymał z Gołą, Karaimką, wnuczką odszczepieńca, któremu rabin Izaak i kahalni z wielkiego tylko miłosierdzia w domu ojców jego żyć pozwalają, albowiem Karaimi, jako dobrowolnie odpadli od łona Izraelowego, a świętości talmudu i Kabały uznać nie chcący, niegodni są, aby

ich ziemia na powierzchni swój nosiła — Meir Ezofowicz, syn Benjamina, obcował często z nimi, z Gołą karaimką w ustronnych miejscach schodził się, kwiaty z jej ręki przyjmować śmiał i głos swój dawał za towarzysza jej głosowi, razem z nią świeckie pieśni w *sabbat* śpiewając;

7) iż nie oddawał czci przynależnej uczonym Izraelskim, otwierał usta swe do zuchwałych sprzeczek z Reb-Moszem, ulubieńcem i uczniem rabina Izaaka, i na tegoż Reb-Mosza zbrodniczą rękę podnieść śmiał, tak, iż ręką tą popchnięty, Reb-Mosze przewrócił się na podłogę Hederu, a na niego przewrócił się na stół, i powstały z tego wielkie szamotania się i stukania, dla Reb-Mosza strach i ból, a dla całego Izraela żalność i zgorszenie;

8) iż w niepojętej złości swój oskarżył on przed cudzym człowiekiem Rebe Jankla Kamionkera o zły względem tegoż cudzego człowieka zamiar, — przez co zerwał jedność i przymierze Izraelskiego ludu, i głowę brata swego srogiemu niebezpieczeństwu podał, które, ażeby odepchnąć od siebie, musi teraz Reb Jankiel wiele nieprzyjemności doświadczyć, trudów dokonać i pieniędzy utracić;

9) iż, nie znając granic dla zuchwałości i bezbożności swój, wydobył pismo przodka swego Michała Seniora z ukrycia, w którym oby było zgniło i rozsypało się w proch! — a nabrawszy do serca swego

z brodniczéj śmiałości, przyszedł do Bet-Midraszu, aby pismo to w obliczu ludu całego czytać, a przez to trząść srodze wiarą jego w stare prawa i obyczaje Izraelskie; a że, jak nam o tém mówią świadkowie, których przyzwaliśmy, pismo to napełnione jest najzłośliwzszymi radami i najsroźszymi bluźnierstwami, jakie ucho Izraela słyszało kiedykolwiek — czytanie to przez Meira, syna Ezofowicza, dokonane, uważamy za największą zbrodnią z pomiędzy wszystkich wielkich zbrodni, których się on dopuścił, i na podstawie praw, w świętych księgach naszych zawartych, i władzy, która nam, wedle tychże praw, nad wszelkim synem domu Izraelowego udzieloną jest, stanowimy:

Jako jutro w wieczór rzuconą będzie na silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Benjamina, ustami rabina Izaaka, syna Borucha, wielka i przeraźliwa klątwa, dla której wysłuchania zwołanym będzie przez szamoszów cały naród z miasta Szybowa i okolic, a która, gdy na głowę jego spadnie, odtrąconym on zostanie od łona Izraelowego, i z domu Izraela sromotnie wypchniętym. Wy zaś wszyscy, którzy trzymacie się waszego Boga i Zakonu Jego, żyjcie w pokoju i szczęśliwości wraz ze wszystkimi braćmi IzraELITAMI!“

Skończył czytać szamosz; papier, z którego czytał, w zanadrze włożył, schylił się niskim ukłonem i szybko izbę opuścił.

Nastąpiło parę minut grobowego milczenia, nie-

przerwanego najlżejszym choćby szmerem ludu, który, za oknami czarnym murem stojąc, grobowo téż milczał.

Nagle Meir, który stał dotąd nieruchomy, ze wzrokiem wlepionym w miejsce, na którym przed chwilą stał szamosz, podniósł w górę obie ręce, objął niemi swą głowę i krzyknął:

— Odtrącony od łona Izraelowego! z domu Izraela sromotnie wypchnięty!

Głos jego skończył w łkaniu ogromném, które pierś mu rozdarło. Gwałtownym ruchem odwrócił się od obecnych, twarz ukrył w dłoniach, czoło oparł o ścianę i płakał głośnie, namiętnym, rozdzierającym płaczem. Dość było usłyszeć jedno tylko z łkań jego, aby poznać, że ugodzonym został w samo serce, że rozwód ten, który czynić z nim miał lud jego, targał i rwał w nim najmocniejsze, najgłębsze stróny uczucia.

Wtedy zbliżyli się doń stryjowie jego, żony ich i córki, i różnemi głosy — gniewu i litości, groźby i prośby — wołać nań zaczęli, aby upamiętał się, upokorzył, pismo Seniora na publiczne spalanie oddał; a może przeblaganym zostanie głos starszyny, i wyrok, wydany przez nią, odwołanym. Cisnęli się ku niemu mężczyźni, kobiety obejmowały go ramionami, a do łajañ i wyrzekañ mieszały się i pocałunki.

On nie przestawał płakać, nie odwracał twarzy i nie odrywał czoła od ściany, a na rozlegające się

dokoła krzyki i prośby odpowiadał tylko przeczącem wstrząsaniem głową i krótkim wyrazem:

— Nie! nie! nie!

Wyraz ten, pośpiesznie wyrzucany z ust dławionych łkaniem, wymowniejszym był nad wszelkie długie mowy, bo przechodził wszelkie możliwe intonacje ludzkiego głosu: rozpacz, żalości, gniewu, błagania i miłości.

— Tate! — zawołał Rafał, zwracając się do Saula, który, odosobniony i nieruchomy, siedział na stołku, — tate! dlaczego ty nie powiesz jemu, dlaczego ty nie rozkażesz jemu, aby upokorzył się i upamiętał, nieszczęsne to pisanie w ręce nasze oddał, a my je rabinowi zaniesiemy i o zlitowanie nad nim prosić będziemy!...

Kiedy Rafał to mówił, Meir odkrył twarz i zwrócił ją ku dziadowi.

Saul podniósł też głowę, wyciągnął ręce, jakby szukał przed sobą punktu oparcia się jakiegoś, i powstał ze stołka. Szklisty dotąd wzrok jego stał się dziwnie ruchliwym i niespokojnym, aż spotkał się z utkwioném w twarz jego spojrzeniem wnuka. Otworzył usta, ale nic nie powiedział.

— Mów tate, mów! rozkazuj mi! — wołało głosów kilka.

Starzec zachwiał się na nogach. Okropna walka jakaś, srogie wahanie się ducha, pociąganego w dwa przeciwne kierunki, odbiły się na drgającej jego twa-

rzy. Kilka razy próbował przemówić... nie mógł... aż nakoniec ciężkim szeptem zawołał:

— On jeszcze nie wyklęty... mnie jeszcze wolno... W imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakóba, błogosławię cię, synu syna mego!...

I drżący cały, z brwiami zjeżonemi, a oczyma pełnemi łez, osunął się na stołek.

Obecni zamienili się spojrzeniami, pełnemi zdumienia i uszanowania; Meir poskoczył, upadł na ziemię przed dziadem swym, stopy i kolana jego całował, i śpiesznie, gorąco, cicho szeptał mu coś o miłości swój dla niego, o pisaniu Seniora, o tém, że pójdzie sobie ztąd, i że wróci kiedyś... Podniósł się potem z klęczek i wybiegł z izby.

W téj chwili przed oknami domowstwa nie było już nikogo. Czarna masa ludu odpłynęła na środek placu, i stała tam nieruchoma prawie, i z cicha tylko, z cicha, szemrzająca. Dziwna rzecz! Zaledwie szamosz odczytał słowa srogiego wyroku, gdy fala gniewu niemal wściekłego, wzdymająca dotąd pierś tłumu, opadła nagle. Coś się w nim stało. Natura jego, wrażliwa i gotowa zawsze, naksztalt harfy mnogostrunnej, odpowiedzieć dźwiękiem na dotknięcie każde, drgnęła pod spadłym na nią nowém jakimś uczuciem. Było to uszanowanie dla nieszczęścia i wstydu, które nawiedziły rodzinę starożytną, mozną a dobroczynną! Byłaż to spokojność, następująca po na-

syceniu się pomstą? groza czy litość, czy wszystko to razem?

Tłum, który przed chwilą kipiał cały, przeklinał, groził i gotów był burzyć wszystko, co gniewowi jego na drodze stawało, umilkł nagle, usunął się i posmutniał. Tu i owdzie tylko dawały się słyszeć śmiechy mściwej radości, albo słowa obelgi i potępienia, lecz w gruppach, rozsianych po placu i schodzących w boczne uliczki, płynęły ciche, oderwane szepty:

„Jednak dobry on był i miłosierny...”

„On dumny nie był...”

„On głupie dziecko moje karmił i całował...”

„On starego ojca mego z pod woza, który na niego przewrócił się, rękoma swemi wydobył...”

„On nam, jak prosty robotnik, drzewo piłować pomagał...”

„Twarz jego świeciła pięknością i rozumem...”

„I cieszyły się wszystkie oczy, które na młodość jego patrzyły...”

— *Herem! herem! herem!* — powtórzyło ust mnóstwo. Przytém głowy kołysały się w podziw, twarze bladły od grozy, a z piersi wychodziły westchnienia...

* * *

Na pustych gruntach, oddzielających miasteczko od karaïmskiego wzgórza, po srebrném tle księżycowego

światła sunęły się szybko cienie trzech ludzkich postaci. Pierwszy z nich należał do wysokiego, kształtnego młodzieńca, drugi do dziecka, trzymającego ręce w rękawach odzieży; — dwa cienie te znajdowały się tak blisko siebie, że łączyły się z sobą niekiedy; — ale cień trzeci, rysujący kształty człowieka niskiego i krępego, sunął się zdala od dwóch pierwszych, przystawał, garbił się, a chwilami znikał całkiem za płotem jakimś, krzakiem lub drzewem. Przystawanie to i ukrywanie się objawiało ostrożność człowieka, który spostrzeżonym zostać nie chciał. Podpatrywanie to było jakieś, podsłuchiwanie, czyhanie na coś, lub na kogoś...

U otwartego okna karaïmskiej chaty rozległo się ciche wołanie:

— Gołda! Gołda!

Z okna wychyliła się twarz, ubielona księżycem i opłynięta strugą czarnych włosów. W cichém powietrzu zabrzmiał szept namiętny.

— Meir! Meir! ja wielką wrzawę i okropne krzyki słyszałem! Serce moje drżało od strachu. Ale to nie! ty przyszedłeś!

Dwoje ramion, okrytych rękawami grubej koszuli, wyciągało się ku nadchodzącemu gościem trwogi i radości; korale dzwoniły na piersi, w której łkanie mieszało się ze śmiechem.

Nagle z ust dziewczyny wyrwał się krzyk przeciągły.

Meir stanął teraz tuż przed nią. Zobaczyła odzież jego podartą, i krwawą kresę, przerywnąją mu czoło.

Och! — jęła z głębi piersi i ręce obie podniosła ku swemu czołu, a potem opuściła je i, schylona ku człowiekowi, który usiadł pod oknem na ławie, z powstrzymywanym oddechem i urywanym, śpiesznym szeptem jakimś, wodzić poczęła dłońmi po opylonych włosach jego i zranioném czołe. W namiętnej pieszczocie tej było także coś z uczucia macierzyńskiego, pragnącego uspakajać, goić i pocieszać.

On siedział chwilę w postawie człowieka, który spoczywa po śmiertelném znużeniu. Oparł głowę o ramę okna, w-pół otwartemi usty z trudnością wciągał w pierś powietrze chłodnej nocy, a światło księżyca odbijało się w suchych źrenicach jego, które z wyrazem posępnych pytań jakichś tkwiły w osrebrzonych obłokach.

Po chwili wyprostował się, i śpiesznie, półgłosem mówić zaczął:

— Gołda! ludzie szukać mnie może będą, a jak znajdą, to skarb mój ode mnie odbiorą. Ja skarb ten mój tobie, Gołdo, dam do schowania, a sam, na całą noc, pójdę w pola i lasy, aby tam głośno do Jehowy krzyczyć o zlitowanie.

Dziewczyna, która stała teraz wyprostowana już, poważna i uważna, odpowiedziała:

— Daj!

W ręku Meira zaszeleściły arkusze papieru. Podawał je dziewczynie, mówiąc:

— Schowaj ty na pierś swoją i strzeż skarbu mego, jak źrenicy swojej. To przedśmierne pisanie przodka mego, które zdjęło do reszty ślepotę z oczu moich. To paszport mój, z którym ja pójdę w świat i który przede mną drzwie i serca mądrych ludzi otworzy. Tu cicho i bezpiecznie... nikt nie widzi i nie domyśli się... jak ja w świat iść będę, wtedy pisanie to od ciebie wezmę...

Gołda wzięła podany jej przedmiot.

— Bądź ty spokojny o skarb swój! — odrzekła. — Prędzej ja rozstanę się z życiem, zanim go w ręce inne, niż w twoje, oddam. U mnie on bezpieczny... tu cicho i nikt nie domyśli się...

Meir wstał z ławy.

— Śpij spokojnie! — rzekł. — Ja pójdę... we mnie szumi taka burza płaczu... że muszę iść... iść... iść... Pójdę... pomiędzy drzewami leśnymi twarzą na ziemię padnę, i z wiatrami, które tam szumią, posyłać będę Jehowie głośne krzyki moje... Ja muszę przed Nim skarżyć się... muszę Jego błagać... muszę o wiele rzeczy Jego zapytać się... Pełną jest pierś moja krzyków mojej duszy... ja muszę je z siebie wydać... bo one za gardło mię chwytają i duszą.

Chciał odejść, ale Gołda pochwyciła go za rękaw odzieży.

— Meir! — zaszeptala, — powiedz ty mi jeszcze

co tam stało się?... za co ciebie ludzie bili i kaleczyli? Dlaczego ty w świat musisz iść?

Meir z pośępnym błyskiem oczu odpowiedział:

— Bili mię i kaleczyli ludzie za to, że ja przeciw prawdzie mojej iść nie chciałem, i na wszystko, na co lud mówi: zgoda! nie mówiłem: zgoda! W świat iść muszę dlatego, że jutro rzuconą na mnie będzie wielka i przeraźliwa klątwa, i sromotnie wyklętym zostanę z domu Izraelowego!

— *Herem!* — krzyknęła dziewczyna i splecione ręce swe gięstem zgrozy na głowę swą zarzuciła. Tak stała chwilę, potem jednak zamyślony, lecz łagodny uśmiech rozlał się po jej twarzy.

— Meir! — szepnęła, — *zejde* mój wyklęty jest... i ja wyklęta... ale miłosierdzie Pana większe jest, niż największa groza, a sprawiedliwość Jego głębsza od najgłębszego morza. Tak stoi w Piśmie. Kiedy *zejde* mój to czyta, przestaje smucić się, i mówi: Przeklęty szczęśliwszym jest od przeklinającego... bo przyjdzie czas, że sprawiedliwość Pańska wstąpi w serca ludzi, i błogosławić oni będą imiona przeklętych...

Meir patrzył długo na dziewczynę, mówiącą słowa te z ogniem zapału w zapadłych oczach, z twarzą jaśniejącą blaskiem natchnienia.

— Gołdo! — rzekł z cicha, — ty jesteś połową duszy mojej... idź ze mną w świat... ja cię za żonę pojme, i trzymając się za ręce, będziemy razem zno-

sić przekleństwo ludzkie i starać się, żeby kiedyś na imiona nasze spłynęło błogosławieństwo.

Gołda stanęła cała w ogniu i w promieniach uszczęśliwienia niewysłowionego.

— O! Meir! — krzyknęła. Chciała jeszcze coś powiedzieć, nie mogła. W radości bezprzytomnej, z piersią drżącą płaczem, śmiechem, westchnieniami i niewymienianemi dziękczynieniami, pochyliła się nisko, i całą wysmukłą, giętką kibicią swą zawisała na jego ramieniu.

On szyję jej objął, głowę przycisnął do piersi i usta zatopił w jedwabistym gąszczu jej włosów...

Była to chwila... mgnienie oka. Dziewczyna wyprostowała się szybko i, oblana szkarłatem, z ustami drżącemi i piersią dyszącą, wymówiła z cicha:

— A *zejde*?

Meir patrzył na nią, jak człowiek nagle zbudzony ze snu. Ona szeptała dalej:

— Nogi jego za słabe są, a żeby mógł on pójść z nami! i on od ojców swoich odejść nie chce! a jak ja jego porzucę? jak on będzie mógł żyć beze mnie? on mnie na rękach swych kołysał, prząść i czytać w Biblii uczył, on duszę moję oświecał i serce radował temi pięknymi historyami, które opowiadał mi ciągle... ciągle... Jeżeli odejdę, któż usta jego karmi i poić będzie? Kto w ciemne, zimowe noce położy się u nóg jego, aby ciałem swém zziębłe stopy jego ogrzewać? A kiedy dusza jego rozwód brać bę-

dzie z ciałem, kto na rękach swych siwą głowę jego zakolysze do snu wiecznego? Meir! Meir! I ty masz dziada, którego włosy białe są jako śnieg, i który po tobie szaty swe rozedrze. Ale twój *zejde* ma synów i córki, synowe i zięciów, wnuków i prawnuków, domowstwo bogate i wielkie znaczenie u ludzi... Mój *zejde* na świecie całym ma tylko biedną chatę swoje, starą Biblią i wnuczkę swą, Gołdę...

Meir westchnął.

— Ty prawdę mówisz, Gołdo, — rzekł, — ale cóż ty uczynisz? co z tobą stanie się, kiedy oczy dziada twego zamkną się do snu wiecznego, a ty zostaniesz tu sama jedna, pośród wzgardy ludzkiej i ubóstwa swego?

Gołda usiadła, bo nogi drżały pod nią. Obu dłońmi powiodła po rozpalonej twarzy, a po chwili, z oczyma wzniesionemi w górę, odpowiedziała:

— Przed drzwiami chaty téj usiedę, praść wełnę i kozy moje paść będę, i patrzeć na tę drogę, którą ty kiedyś powrócisz...

Był to ustęp z historyi Akiby i pięknej Racheli.

Meir w rozmarzonej zadumie zapytał jeszcze:

— A jakże ty zrobisz, kiedy ludzie przyjdą, śmiać się z ciebie będą, i powiedzą: Akiba pije u źródła mądrości, a twoje ciało pożera nędza i oczy twoje gasną od łez? .

Przytłumiony namiętném wzruszeniem, lecz poważny, głos odpowiedział:

— Ja im odpowiem: niech ciało moje pożera nędza, a oczy wypływają ze łzami, ja wiary mężowi memu strzedz będę... I żeby stanął on teraz przede mną i rzekł: Wróciłem, bo nie chciałem, żebyś płakała długo, ale ze źródła mądrości mało jeszcze piłem powiedziała-bym mu: Idź i pij jeszcze!

Meir wstał. Nie rozpacz już, ale siła i odwaga malowały się na twarzy i w postawie jego.

— Ja wróce, Rachelo! — zawołał, — Jehowa umie się za mną, i podadzą mi rękę pomocy ludzie, którym pokażę serce moje, spragnione poznania, i pisanie przodka mego, które zaręcza lud Izraelski z innemi ludami przymierzem zgody... Ja długo, długo, chciwie pić będę ze źródła mądrości, a potem tu powróce, biedny lud mój nauczać będę, a na twoję głowę, za wszystką nędzę i wzgardę, którą ty dla mnie przeniesiesz, złotą koronę włożę...

Gołda wstrząsnęła głową. Z twarzy jéj można było poznać, że czuła się ogarniętą jakby snem cudownym. Śniło się jéj, że była piękną Rachelą, witającą z długiej podróży męża swego, Akibę. Z marzącym uśmiechem na ustach, a ogniem namiętnym w oczach, szepnęła:

— Ja wtedy kolana twoje obejmę i oczyma, które! znowu tak pięknemi staną się, jak przed wielu laty, w światłość twoję spojrzę i powiem: Mistrzu! chwała twoja jest moją koroną!

Patrzali na siebie długo przez łzy. Miłość gore-

jąca na dnie ich żreńc wyglądała z za srebrzystej powłoki tak czystą i bohaterską, jak czystymi i bohaterskimi były ich serca.

Wtém o uszy ich obikł się przyciszony, dźwięczny jednak, śmiech dziecięcy. Zdziwieni, spojrzeli oboje w tę stronę, w której zabrzmiął. Na progu otwartych drzwi chaty siedział Lejbele i trzymał w objęciu małe, białe jak śnieg, koźlę. Koźlę to było kupione na targu za pieniądze, zebrane przez Gołdę ze sprzedaży koszy. Ujrzało je dziecko w głębi sionki, oświetlonej księżycem, wzięło w ramiona, wyniosło na próg chaty, a teraz, tuląc twarz swą do miękkiej jego sierści, śmiało się swawolnie i żartobliwie.

— Dziecko to zawsze przychodzi tu za tobą, — rzekła Gołda.

— Ono dziś całowało mnie, kiedy wszyscy mnie bili, i ja niem od rąk silnych skarb mój zasłoniłem, — odpowiedział Meir.

Gołda zniknęła z okna i wnet zjawiła się w progu chaty. Pochyliła się nad dzieckiem tak, że rozplecione jęj włosy spłynęły mu na głowę i ramiona; przytém ustami przylgnęła do czoła jego. Lejbele nie przeląkł się wcale. Czuł się tu snadź bezpiecznym. Widział już nieraz tę kobietę, której ogniste oczy wpatrywały się teraz w twarz jego z wyrazem niewysłowionej słodyczy. Podniósł na nią spojrzenie jasne, wdzięczne, pojętne prawie.

— Pozwól mi pobawić się z koźlęciem, — szepnął.

— Czy chcesz mleka? — zapytała.

— Chcę, — odpowiedział, — daj!

Wyniosła z sionki gliniany kubek, napełniony mlekiem, i sama poila niem dziecko. Potém usiadła przy niem na progu i zapytała:

— Dlaczego ty porzucasz ojca i matkę, a idziesz za Meirem?

Dziecię zakolysało głową i odpowiedziało:

— On lepszy, niż *tatele*, i lepszy niż *mamele*. On mnie karmił i po głowie mnie gładził, i z rąk Reb Mosza mnie wyrwał...

— Czyj ty syn? — zapytała Gołda.

Leibele milczał chwilę; podnosił w górę oczy i kołysał głową. Widoczném było, że bił się z nieposłuszną, bo zgnębioną swą myślą. Nagle wyciągnął palec w kierunku, w którym oddalał się Meir, i głośno zawołał:

— Jego!...

Zaśmiał się przytém, ale nie był to śmiech idyoty, był to objaw radości, którą uczuła biedna dusza dziecięca, gdy z wysileniem wielkiém udało się jęj ująć w wyraz miłość swą i gorące swe, lubo nieokreślone, żądanie.

Ale Gołda spojrzała w stronę, w którą poszedł Meir i westchnęła ciężko. Wstała potém, owinęła się starą jakąś chustką i, wstąpiwszy ku połowie wzgórza, usiadła tam pod karłowato rosnącą sośniną. Chciała może z wysokości tej obejmować okiem szer-

szą przestrzeń i ujrzyć go, jak powracać będzie z dalekich pól i lasów. Oparła łokcie na kolanach, twarz zakryła dłońmi i siedziała tak nieruchoma, jak posąg smutku, a tylko po kruczych włosach jej, które ogromnym płaszczem zakryły ją całą i spłynęły aż na wilgotną trawę, księżyc rozsypał miliony ruchliwych iskier.

W drzwiach chaty Lejbele usnął wkrótce, w śnie jeszcze trzymając przy piersi białe koźle, które spało także.

* * *

W tej samej prawie chwili, otwierały się z cicha niskie drzwi chaty rabina i wchodził przez nie Reb Mosze, przygarbiony, zawstydzony, znękany. Przyśiadł na ziemi u komina i lekko patrzył na Todrosa, który, siedząc u otwartego okna, opierał twarz na obu dłoniach, a wzrok wlepił w księżyc.

— Rabbi! — szepnęła nieśmiało.

— Rabbi! — powtórzył głośniejszym głosem, — sługa twój winien jest w oczach twoich... obrzydliwego pisania nie przynosi on tobie, Rabbi! Burza była sroga, ale bronili go przyjaciele jego, potem on sam bronił się, a potem broniło go małe dziecko... Głupi lud szarpał go, bił, łajał i kamienował, ale pisanie obrzydliwego z rąk mu nie wydarł. *Nassi!* sługa twój pe-

len wstydu jest i bojaźni, ale ty zlituj się nad nim i nie karz go piorunem wzroku swego...

Todros, nie spuszczać wzroku podniesionego ku księżycowi, wyrzekł:

— Pisanie to trzeba z rąk jego wydrzeć i w moje ręce oddać.

— *Nassi!* pisanie to nie jest już w rękę jego!...

— A gdzie ono jest? — nie odwracając twarzy lecz podniesionym głosem zawołał Todros.

— Rabbi! ja przed obliczem twojem nie śmiałbym stanąć, gdybym nie wiedział, co z niem stało się... Ja szedłem za nim... cała dusza moja weszła w oczy i uszy moje... ja widziałem, jak on pisanie to karański dziewczynie do schowania dawał i słyszałem, jak on je skarbem swoim nazywał... On mówił, że to paszport jest, z którym on w świat pójdzie i który przed nim serca ludzkie otwierać będzie...

Todros drgnął.

— To jest prawda! to jest prawda! — zaszeptał gwałtownie. — Pisanie to będzie mu tarczą i orężem, o które stępia się narzędzia pomsty naszej... — Mosze! — dodał podniesionym głosem, — obrzydliwość tę trzeba z rąk karański dziewczyny wydrzeć...

Mełamed przypełzał do samych kolan mistrza i, podnosząc ku niemu twarz, wyrzekł z cicha:

— Rabbi! dziewczyna ta powiedziała, że przed jej pozwole sobie wydrzeć życie, niż to pisanie...

Todros milczał chwilę, potem wymówił:

— Pisanie to trzeba z rąk jój wydrzeć...

Melamed długo milczał i myślał.

— Rabbi! — ozwał się potem cichym bardzo szeptem, — a jeżeli jój co bardzo złego stanie się?

Todros nie odpowiadał chwilę, potem rzekł:

— Błogosławiona ręka, która z domu Izraelowego wymiata śmiecie...

Melamed chciwie pochwycił krótkie te wyrazy i długo wyrozumiewał tajemny sens ich. Uśmiechnął się.

— Rabbi! — rzekł, — już ja rozumiem wolę twoję... spuść się na sługę swego... on znajdzie ludzi, których ręce ubrojone będą w siłę, a serca w niewzruszoność... Rabbi! — dodał błagalnie, — spuść ty na głowę moję łagodny promień twego oka... niech ja widzę, że gniew na sługę twego dalekim jest od ciebie... Dusza moja bez łaski i miłości twojej jest jako studnia bez wody, albo ciemnica, nad którą nie świeci słońce.

Todros odpowiedział:

— Łagodny promień nie powstanie w oczach moich, ani gniew i smutek z serca mego nie wyjdą, dopóki obrzydliwe pisanie to będzie w ręku przekleństw...

Mosze jęknął.

— Rabbi! pisanie to jutro w nocy będzie w ręku twoich!

Księżyc oświecał obie twarze ludzi tych, z których

jeden patrzył w niebo, a drugi w oblicze mistrza swego. Mistrz gorejącym wzrokiem szukał po niebie smug świetlistych, które oznaczają drogi aniołów, wiodących gwiazdy w wiecznej ich po przestrzeniach podróży; uczeń — odbicia nadprzyrodzonych światła tych szukał w źrenicach mistrza.

W obu głowach tych szumiało imię anioła śmierci, którego na pomoc sobie wzywali, — a piersi obu jednak pełnemi były miłości i uwielbienia bez granic.

III.

Wruszenie nadzwyczajne panowało wśród ludności miasteczka. Ze wszystkich stron gromadami, lub sznurem, ciągnęli ludzie ku wielkiej brunatnej świątyni, pod której trzypiętrowym, omszonym dachem w oknach, podobnych do starożytnych strzelnic, błyskać poczynęły długie i wąskie smugi światła. Na niebie występowały też gwiazdy, ale bladły przed świetnym blaskiem wschodzącego w pełni księżyca.

Wnętrze świątyni było salą ogromną, pomieścić w sobie mogącą kilkotysięczną ludność, a wysokością swą dorównyującą budowie o dwu wielkich piętrach. Ściany jęj, zakreślające prawidłowy czworográn, gładkie zupełnie i białe jak śnieg, przerzynała tylko u góry ciężka galerya, o głębokich sklepionych niszach, tworzących rodzaj łóż, osłoniętych przezroczystą, lecz wysoką baryerą. W dole ławy drewniane stały gęsto jedna za drugą, od drzwi wchodowych, aż ku

miejsцу wyniesionemu nad poziom o kilka stopni i otoczonemu też drewnianą ozdobną baryerą. Na wyniesieniu tém był stół, przeznaczony do rozwijania olbrzymiego arkusza Tory (pięcioksięgu) w dniach, w których ustępy z nięj obrządek nakazywał czytać ludowi; służyło ono za kazalnicę, z której w dni uroczyste rozlegały się religijne mowy i nauki; na niém stawały też chóry, złożone z dorastających dzieci i dorosłych młodzieńców, a łączących głosy swe z głosem kantora, intonującego modlitwy. Wyniesienie to kilkunastu krokami tylko oddzieloném było od głównego punktu świątyni, punktu, który uderzał powagą kształtów i świetnością barw, a był ołtarzem — jeżeli nazwy téj użyć można dla miejsca takiego, w którym przechowują się świętości nad świętościami, i które ściągają ku sobie najnabożniejsze spojrzenia i westchnienia wiernych. Szczyt ołtarza tego sięgał sufitu, a złożony był z dwu ogromnych tablic, których tło, z najczystsze go lazuru, zakreślóném było zgłoskami białemi, krętami, podobnemi do sznurów arabesków wschodnich o bagatym i fantastycznym rysunku, a w których oko umiejętnie wyczytywało dzie sięć przykazań Synajskich. Lazurowe tablice, okryte białém, krętém pismem, dźwigane były przez dwa lwy z pozłacanego bronzu, które, w ogromnych rozmiarach i wspaniałych postawach siedziały na dwu grubych, ciężkich słupach, jaśniejących najjaskrawszym szafirem, owiniętych śnieżnemi i misternie rzeź-

bionemi wieńcami z liści i gron winnych, a wspierających się mocno o kamienną podstawę, której szeroka powierzchnia zakreślona była, aż do saméj już ziemi, mnogimi ustępami Pisma. Słupy owe, nakształt potężnych i silnych strażników, stały z dwu stron głębokiej niszy, osłoniętej od góry do dołu oponą ze szkarłatnego jedwabiu, ozdobionego złotemi haftowaniami, z bogactwem olśniewającym oko. Za oponą tą, spuszczoną zazwyczaj, a podnoszącą się w odpowiednich tylko okolicznościach, chroniła się świętość nad świętościami, Tora, — olbrzymi zwój pergaminu, owinięty cenną materią, a związany wstęgą ciężką i sztywną od haftów srebrnych i złotych.

Z szarego i mizernego pozoru miasteczka wnosząc, nikt nie mógłby domyślić się wspaniałości obrazu, jaki przedstawiało wnętrze starożytnéj, przez wieki pobożnie przyozdabianej świątyni téj, w chwili, gdy w dość późnéj, wieczornéj godzinie, zapłonęła ona cała oświeceniem rzesistém i po brzegi nappełniła się ludem.

Siedm świeczników stupłomiennych, spuszczać się od sufitu na szczerosrebrnych sznurach, rzucało powódź światła w sklepiście głębokie galeryi, z za której przezroczystych krat wyglądała prawdziwa mozaika twarzy i szat niewieścich, i na gęste rzędy ustawionych poniżej ław, które obsiadawali mężowie dojrzali, brodaci, okryci cali miękką, wełniastą draperyą białych opon (talesów), których skraje, na wieczny

jakby i rozrzewniający znak żałoby po utraconéj niegdyś ojczyźnie, otoczone były czarnemi szlakami; tu i owdzie zaś u szyj bogaczy i dostojników gminy połyskiwały szerokie taśmy srebrne, o wydatnych liściastych deseniach. Lecz największy ze świeczników pałał i bogatemi wisiorami od chwili do chwili srebrzyście dzwonił, przed niszą, zamkniętą pomiędzy dwoma potężnemi słupami. Tam iskrzyły się złote hafty i frędzle szkarłatnéj opony; z pod stóp wspartych lwów sypać się zdawały delikatne liście i ciężkie grona winne; tam, u saméj góry, wydatnie od lazurowego tła odstawały białe szlaki krętych zgłosek; a w dole, przed ciosową podstawą, pełną napisów, ciągnących się nierównemi liniami, stał kantor, i, z głową okrytą białym kapturem talesu, śpiewał te stare psalmy, których bezbrzeżna, zda się, melodia płynnie pełną gammą ludzkich zachwytów, uwielbień, pragnień, błagań i mąk.

Nigdy jednak prześliczny głos Eliezera nie wypowiedział wszystkich uczuć tych z taką siłą i wyrazistością, jak tego wieczoru; nigdy nie miał on takich wybuchów potężnych, takiego uroczystego brzmienia i takich drzeń głębokich, które, opadając i cichnąc stopniowo, zdawały się tonąć i konać w morzu bezbrzeżnéj jakiśś boleści czy prośby. Zdawać się mogło, że wieczoru tego w pierś jego weszła nadludzka prawie siła skargi i błagania, że u ramion wyrastały mu skrzydła, na których usiłował wznieść się aż do

samych stóp Pana nad Pany, aby tam ciało i duszę swoje złożyć w ofierze za zbawienie czegoś lub kogoś. Olbrzymia sala od brzegu do brzegu i od szczytu do podstaw pełną była brzmień, płynących z piersi jego nieprzerwanym strumieniem; chóry, stojące na wyniesieniu, rzucały w nie od chwili do chwili potężne akorda, a zgromadzenie całe, porwane rozkoszą zachwytu, milczało grobowo, z oczyma wlepionemi w wyiskrzoną złotem szkarłatną opone. Ten i ów tylko, wskazując głową zachwyconego i zachwycającego piewę, szeptał: — To jest anioł Sandalfon, który podaje Panu wieńce, splecione ze wszystkich modlitw ludzkich. — Ten i ów także smutnie wstrząsał głową i wdychał: — On tak modli się za przyjaciela swego, którego głowę wykląć dziś mają!...

Nagle w cudowny śpiew kantora i uroczyste milczenie ludu wmieszał się stuk głuchy, lecz silny i powtarzający się kilka razy. Głos Eliezera zerwał się, jak złota struna, targnięta grubijańską ręką; oczy ludu przeniosły się z ołtarza ku miejscu, w którym rozlegały się gwałtowne stukania.

Z wyniesienia, otoczonego drewnianą baryerą, zniknął chór młodych śpiewaków, a na miejscu ich stał jeden tylko człowiek, szczupły, przygarbiony, z długą, złotą szyją, podaną na przód, z ciemną twarzą, obrosłą czarnym, jak noc, włosem i posępnie rozświetlonych gorejącemi, jak żuźle, oczyma. Trzymał on w obu rękach ogromną księgę i z całej siły uderzał

nią o stół, dając przez to rozkaz powszechnego milczenia. Milczenie też zupełne zapanowało w całej sali, a tylko w przedsionku słychać było szmery jakieś i stłumione wykrzyki. Tam gromadka kiludziesięciu ludzi różnego wieku i stanu otaczała człowieka, który z twarzą bardzo bladą, zaciśniętymi ustami i suchym, palącym się okiem, stał ramieniem wsparty o odrzwia świątyni. Był to Meir. W uszach jego rozlegały się szepty:

„Jeszcze pora! jeszcze czas! zlituj się nad sobą nad familią swoją! upokorz się! biegnij prędko, prędko i padnij do nóg rabina! *O! herem! herem! herem!*“

On zdawał się nie słyszeć. Silnie zwarł na piersi ramiona. Ściągnięte brwi nadawały czołu jego, przerniętemu czerwoną kresą, wyraz ponurj boleści i niezłomnej woli.

„W imię Boga ojców naszych!“ — zabrzmiał basowy a silny głos Izaaka Todrosa.

Po zgromadzeniu całym rozległ się szmer przytłumiony, dreszcz niby, przebiegający całe zbiorowe ciało to, — i wnet skończył w ciszy głębokiej.

Izaak Todros zwolna, wyraźnie, oddzielając wyraz od wyrazu, mówić zaczął:

„Siłą i potęgą świata, w imię świętego Zakonu naszego i 613-tu praw, w Zakonie tym zawartych, *heremem*, którym Jozue Nawin przeklął miasto Jerychon, przekleństwem, którym Elizeusz przeklął prześladowające go chłopięta, *szamta*, która używana była

przez wielkie sanhedryny i sobory nasze, wszystkimi *heremami*, przekleństwami, wypędzaniem i unicestwianiami, które używanymi były od czasów Mojżesza, aż po dzisiejszy dzień, — w imię Boga Przedwiecznego, Pana świata i twórcy wspaniałości jego, w imię Matatrona, który jest aniołem stróżem i obrońcą Izraela, w imię anioła Sandalfona, który z modlitw ludzkich splata wieńce dla tronu Pańskiego, — w imię archanioła Michała, potężnego wodza wojsk niebieskich, — w imię aniołów ognia, wichru i błyskawic, siłą imion wszystkich aniołów, prowadzących gwiazdy i jeżdżących na niebieskich rydwanach, i wszystkich archaniołów, rozwijających skrzydła swe nad tronem Wszechpotężnego, — Imieniem tém, które ukazało się w krzaku ognistym — i tém, którym Mojżesz rozdzielił wody na dwie połowy, Imieniem ręki, która nakreśliła tablice świętego prawa... niszczymy, wypędzamy, hańbimy, unicestwiamy i przeklinamy silnego, zuchwałego i nieposłusznego Meira Ezofowicza, syna Beniaminowego...”

Zatrzymał się na chwilę i gwałtownym ruchem podniósł ręce nad głowę. Potém, wśród ciszy takięj, że słyszonym byłby wśród niej szelest przelatującej muchy, coraz śpieszniej, i coraz bardziej śpiewnym i zancszającym się głosem, mówić, a raczej wołać, zaczął:

„Przeklętym niech będzie on przez Boga Izraelowego! Przeklętym niech będzie on przez silnego

i strasznego Boga, którego imię z trwogą wygłaszają ludzie w dniu Sądny! Przeklętym niech będzie on przez niebo i ziemię! Przeklętym niech będzie on przez Matatrona, Sandalfona, Michała, archaniołów, aniołów i wszystkich mieszkańców nieba! Przeklętym niech będzie on przez wszystkich czystych i świętych, służących Bogu! Przeklętym niech będzie on przez każdą siłę wyższą na ziemi i niebie! Boże, Stwórcu! wytęp i zniszcz go na wieki! Boże, podnosieliu! upokórz go! Gniew twój, Boże! niech rozpiorunuje się nad głowę jego! Szatani niech idą na jego spotkanie! Złorzeczenia i jęki niech otaczają go wszędzie, gdzie się tylko obróci! Własnym mieczem niech on pierś swą przeszyje i niech skruszą się wszystkie strzały jego, a anioły Boże niech gnają go wciąż z miejsca na miejsce, aby nigdzie na spoczynek nie stanęła stopa jego! Drogi jego niech będą niebezpieczne i okryte grubą ciemnością, a wśród nich towarzyszką niech mu będzie rozpacz nadzwyczajna! Niech smutki i nieszczęścia trapią go ciągle, a on niech własnymi oczyma patrzy na uderzające weń ciosy i nasycy się ogniem Bożego gniewu! Niech nie przebaczy mu Pan! Przeciwnie! Gniew i pomsta Boża niech spłyną na człowieka tego, wpiją się weń i przenikną go aż do szpiku kości! Przekleństwem tém, jako szatą, niech owinie się on cały, ażeby zniknął z przed oblicza światłości, a imię jego aby startém zostało z pod niebieskiej przestrzeni.”

Tu Todros umilkł na chwilę, zaczerpnął powietrza w pierś zmęczoną krzykami, które stawały się coraz bardziej urywanemi, głuchemi i ciężkiemi. Twarz miał w ogniu całą, a ręce jego gwałtownemi ruchy miotaly się nad głową.

„Od tego momentu, — krzyknął znowu Todros, — w którym przekleństwo na głowę jego spadło, niech nie waży się on przystąpić do żadnej świątyni Izraelskiej na całym świecie bliżej nad cztery łokcie odległości! Pod karą klątwy i odrzucenia od łona Izraelowego, niech żaden Izraelita nie przybliży się do niego bliżej, nad cztery łokcie odległości i niech nie waży się otworzyć przed nim domu swego, ani chleba, wody i ognia mu podać, chociaż-by widział go zesłanego, upadającego i zgiętego w lęk od tułactwa, głodu, choroby i nędzy! Przeciwnie! niechaj każdy, kto go spotka, pluje na twarz jego śliną ust swoich i przed stopy jego rzuca kamienie, aby on potykał się i upadał. Majątku żadnego niechaj nie używa. Wszystko, co prawem dziedzictwa spada na niego z ojca jego i matki jego, i wszystko, co on własnymi rękoma dla siebie zebrał, niech oddanem zostanie pod rozporządzenie kahału, aby z mienia nieprawego uczynić pociechę i podporę słabych!

„O pomście tej i klątwie, która nań spadła, niech dowiedzieć się Izrael cały.

„Wy wszyscy, którzyście ją własnymi uszysłyszeli, głosicie słowa jej i przykazania na każdym miej-

scu, na które zaniosą was stopy wasze, a my wiadomość o niej roześlemy do wszystkich miast i gmin, w których mieszkają bracia nasi, od końca do końca świata.

„Tak niech się stanie! A wy wszyscy, którzy wiernymi zostaliście Panu waszemu i Zakonowi Jego, szczęśliwie żyjcie!“

Skończył, a w téjże chwili działaniem mechaniki, umiejętnie stosowanej, przyćmiły się rzęsiste światła, gorejące w siedmiu olbrzymich świecznikach, i w czterech rogach sali rozgłośnie dźwięknęły i zawyły trąby. Z urywanem tém, lub przeciągłym i ponurém wyciem mosiężnych instrumentów, złączył się olbrzymi chór ludzkich szlochań, jęków i krzyków. Najgłośniejszy krzyk dał się słyszeć w przedsionku, a był tém przeraźliwszym, że wychodził z piersi mężczyń i silnój. Ruch się téż tam zrobił wielki; słyhać było szamotanie się jakieś, wypędzanie jakby, to przywoływanie. Meir zniknął w progu świątyni. Bliżej ołtarza, pomiędzy ławkami, kilku dojrzałych ludzi, z chrzestem rozdieranych sukien, upadło twarzami na ziemię.

„W prochu leżą moźni Ezołowicze!“ — wskazując na nich, wołano zkądinąd.

W górze, galerya rozlegała się całą szlochaniem i płaczliwém zawodzeniem niewiast, a w głębi sali, gromada ludzi lichu ubranych, bez srebrnych u tańców

tasiem, wznosiła w górę twarde, czarne, spracowane ręce i załamywała je nad głowami.

Todros podartym rękawem odzieży ocierał spływający mu z czoła pot kroplisty, potem obu rękoma wsparł się o drewnianą baryerę i, pochyłony naprzód, z piersią dyszącą i drgającymi wargami, patrzył na kantora. Nie zstępował on z wyniesienia i na kantora patrzył dla tego, iż, wedle obrządku, po wyrazach strasznej klątwy, rzuconych na jednego człowieka, nastąpić powinny były słowa błogosławieństwa, zlewane go na lud cały. Słowa te, błogosławiające lud, wygłosić powinien był kantor. Todros oczekiwał na to dokończenie spełniającego się aktu. Dlaczego kantor milczał tak długo i powinności swojej nie spełniał? Dlaczego nie podchwycił ostatnich słów jego: „żyjcie szczęśliwi! żyjcie!“ i nie wysnuł z nich natychmiast modlitwy błogosławiającej?

Eliezer stał, twarzą zwrócony ku ołtarzowi. Kiedy rabin wykrzykiwał klątwy, widać było, jak ramiona jego drżały pod okrywającym je tałasem. Potem jednak drżeć przestał, zniemiał, i, z podniesioną głową, patrzył kędyś wysoko. Nakoniec — wyciągnął w górę obie ręce. Znak to był, że wzywa lud do milczenia i modlitwy. Trąby, które dotąd dzwoniły wciąż i wyły — umilkły; ustały też krzyki i jęczenia ludzkie. Przyćmione światła zagorzały znowu, a wśród pełnego blasku ich i ciszy, przerywanej tylko tu i ówdzie odzywającym się szlochaniem,

głos wdzięczny jak srebro, i czysty jak kryształ, zwolna, z powagą wielką, z wewnętrznymi łzami, które nadawały mu niezmierną moc błagania, mówić zaczął:

„Ten, który błogosławił praojców naszych: Abrahama, Izaaka, Jakóba, Mojżesza, Aarona, Dawida, proroków Izraela i wszystkich sprawiedliwych świata... On niechaj spuści łaskę i błogosławieństwo swe na człowieka tego, którego niesprawiedliwy herem ten naruszył! Bóg przez miłosierdzie swe niech uratuje i osłoni go od wszelkiego złego i nieszczęścia, niech przedłuży czasy i lata jego, niech pobłogosławi wszelkiemu dziełu jego rąk i niech go od utrapienia ciemności i kajdan oswobodzi razem ze wszystkimi braćmi Izraelitami! Niech taką będzie wola Jego!... Wołajcie: Amen!

Umilkł; w sali panowała przez kilka sekund cisza osłupienia, a potem rozległ się wielki, z kilkuset pierśsi wydobyty okrzyk: Amen!

— Amen! — zawołali Ezofowicze, powstając z ziemi, na którą runęli byli przed chwilą, i z rozdartych sukien swych pył otrząsając.

— Amen! — krzyknęła gromada ludzi, nędznie odzianych i spracowane dłonie załamujących nad głowami.

— Amen! — rozległo się na galerii, pełnej płaczących niewiast.

— Amen! — powtórzył nakoniec w bliskości ołtarza chór głosów młodzieńczych.

Rabin oderwał ręce swe od poręczy baryery, wyprostował się i zdumionemi oczyma powiódł dookoła i krzyknął:

— Co to jest? co to znaczy?

Wtedy Eliezer zwrócił się twarzą ku niemu i zgromadzeniu całemu. Kaptur tałesu opadł mu z głowy na ramiona. Białą twarz jego okrywały rumieńce zapału, a błękitne oczy świeciły gniewem i odwagą. Podniósł rękę i zawołał donośnie:

— Rabbi! znaczy to, że uszy i serca nasze przekleństw takich słyszeć więcej nie chcą!

Słowa te były jakby hasłem bojowem. Za ledwie wymówił je Eliezer, gdy po obu stronach jego stanęło tłumnym szeregiem kilkudziesięciu ludzi młodych i za ledwie dorastających. Byli wśród nich wszyscy najbliżsi towarzysze i przyjaciele wyklętego, ale byli i tacy także, którzy dawniej z rzadka tylko i z dala go widywali, i tacy nawet, którzy przed kilku dniami jeszcze uporowi jego i zuchwałości dziwili się, wcale ich nie rozumiejąc.

— Rabbi! — rozległy się wołania — my przekleństw takich więcej słuchać nie chcemy!

— Rabbi! klątwa twoja zrodziła w duszach naszych miłość dla wyklętego!

— Rabbi! heremem tym obciążylesz ty człowieka, który miłym był oczom ludzi i Boga!

Todros gwałtownym wysiłkiem wyrwał się ze stanu skamieniałości, w jaki rzuciło go z razu zdumienie.

— Czego wy chcecie? — krzyknął — co wy gadacie? czy szatan opętał duchy wasze? Azaliż nie wiecie, że prawa nasze nakazują pomstę i klątwę na zuchwałych, którzy buntują się przeciw Zakonowi?

Nie z pośród młodzieńców już, ale ze środka sali wyszedł głos poważny, który wymówił:

— Rabbi! azaliż nie wiesz, że kiedy w starożytnym sanhedrynie naszym wiódł się spór srogi o to, czy Izrael przyjąć ma za swoją naukę Szamaja, czy Hillela, ozwał się nad zgromadzonymi Bat-Kohl, głos tajemniczy, głos przez samego Boga posłany, który powiedział: Słuchajcie praw Hillela, albowiem łagodność w nich jest i miłosierdzie!

Podnoszono głowy i wspinano się na palce nóg, aby ujrzyć, kto słowa te wymówił. Wymówił je Rafał, stryj wyklętego.

W téjże chwili przez tłum przecisnął się Beri, stając wśród młodzieży, zawołał:

— Rabbi! czy ty liczyłeś kiedy rozumi wszystkie, które zgniotła srogość twoja i ojców twoich Todrosów... i wszystkie dusze te, które napełnione były wielkimi pragnieniami, a które wy twardą ręką waszą strąciliście na zawsze w ciemności i potajemne cierpienia?

— Rabbi! — zawołał głos jakiś młodzieńczy, dziecięcy jeszcze prawie — czy ty i wszyscy, którzy z tobą stoją, będziecie zawsze odpychać nas od tych cudzych płomieni, bez których światłości schną ze

smutku serca nasze, a podłym prochem czernią się nasze ręce...

— Dlaczego ty, Rabbi, nie nauczasz ludu, aby z rozumu swego czynił sito takie, które-by oddzielić mogło ziarno od plewy i perły od piasku?

— Rabbi! ty i wszyscy, co z tobą stoją, zjadacie i nam jeść każecie jabłko granatu razem z twardą i gorzką łupiną. Ale przyszedł już taki czas, że uczuliśmy gorycz na podniebieniu naszym, a we wnętrznościach naszych powstał srogi ból...

— Nieszczęśli! opętani i potępieni! — z całej piersi swjej krzyknąć zaczął Todros — alboż nie widzieliście oczyma własnymi, że lud cały nienawidził człowieka tego, gonił go po drogach jego, kładł mu na plecy silne swe ręce, kamienował go, i krwawą kresą naznaczył mu czoło.

Śmiechy dumne, oburzone, wzgardliwe rozległy się tu i owdzie.

— Nie mów: zgoda! na wszystko, na co lud mówi: zgoda! — zawołało głosów mnóstwo, a jeden z nich ciągnął dalej:

— Przekleństwo, które wyrzekłeś, Rabbi, zmięczyło serce niejednego i ślepotę zdjęło z ocz wielu!

— Usta złośliwe rozdmuchały w sercach naszych gniew przeciw niewinnemu, ale dziś z oczu naszych płyną nad nim łzy, bo ty, Rabbi, klątwą swoją zadałeś śmierć młodości!...

— Gorszą, Rabbi, od śmierci jest klątwa ta któ-

ra ty na niego rzuciłeś, bo on z nią pośród żyjących będzie jako umarły!

— A czyż nie napisano jest w ustawach wielkich sanhedrynów naszych: Sąd, który raz przez lat 70 wyda jeden wyrok śmierci, nazwany będzie sądem morderców!

— W sanhedrynach nie zasiadali ludzie bezdzietni i twardego serca!

— Kto sieje nienawiść, zbiera żal.

Wołania te i mnóstwo im podobnych wychodziły z pośród gromadki, stłoczonej u ołtarza. Mieszały się tam głosy, podnosiły się twarze, błyskały oczy rozognione, a rozgorączkowane ramiona rzucały na rabina i zgromadzenie całe wyzywające, zuchwałe groźby.

Todros nie odpowiadał już. Znieruchomiał całkiem. Z otwartymi ustami i wysoko podniesioną powieką miał pozór człowieka, który przestał rozumieć to, co się wokoło niego dzieje. Ale z tłumu wyskoczył i przed baryerą, oko w oko ze zbuntowaną gromadką, stanął melamed. Trzęsący się cały, rozszokowany, rozpostarł grube ramiona swe, jakby stojącego na wyniesieniu mistrza osłonić niemi pragnął, i krzyknął:

— Biada! biada! biada zuchwalcom, nieoddającym czci temu, który zajęty jest oddaniem posług światła!

Eliezer odpowiedział:

— Żaden mur nie wznosi się pomiędzy nami a Panem naszym! Ustanowiliśmy pomiędzy sobą ludzi takich, którzy uczyć się powinni Zakonu i tłumaczyć go nieumiejętnym. Ale nie powiedzieliśmy im: oddaję wam w niewolę dusze nasze! albowiem każdemu synowi Izraela wolno jest szukać Pana w sercu swoim, i słowa Jego tłumaczyć według rozumu własnego!

Inni zawołali:

— Niema pomiędzy Izraelem wyższego i niższego! Jesteśmy wszyscy bracia równi przed Panem, Stwórcą naszym, i nikomu nie jest dané prawo okuwania w kajdany rozumów i woli naszej.

— Fałszywi mędrcy zgubili nas, bo uczynili różdżkę pomiędzy Izraelem a ludami innymi, tak, że jesteśmy jako więźniowie w ciemnicy, których nikt nie nawiedza...

— Ale przychodzi czas, w którym wstrząśnie Izrael kajdanami swemi, i pospadają z wysokości swych duchy pyszne i ślepe, a duchy więzione wyjdą na wolność...

Teraz Izaak Todros powolnym ruchem wzniosł w górę obie ręce, i powiódł niemi sobie po twarzy, jak człowiek, który usiłuje obudzić się ze snu. Potém oparł się znowu o baryerę i, z oczyma utkwionemi w górze, wydobył z piersi ogromne westchnienie:

— *En Sof*, — wymówił ciężkim, sennym jakby szeptem.

Była to kabalistyczna nazwa Boga, która zawirowała w téj chwili w mózgu jego, przenikany głuchą rozpaczą. Ale wnet, naksztalt głośniego protestu przeciw naleciałościom, przez czas przyniesionym, naksztalt tęsknego wracania do najpierwotniejszego źródła Izraelskiej wiary, rozległ się, kilkudziesięciu usty wydany, okrzyk:

— Jehowa!

Mełamed trząsł się cały, jak w febrze. Gwałtownym ruchem zwrócił się ku zgromadzeniu i wielkim głosem, śpiesznemi wyrazy, nawoływać je począł do obrony znieważonego mistrza, a ukarania zuchwalców. Lecz im dłużej i zawzięciej przemawiał, tém większe i widoczniejsze ogarniało go zdumienie. Nikt nie poruszał się. Bogacze i dostojnicy gminy siedzieli na ławach swych, z czołami w dłoniach i spuszczone mi oczyma, w pochłaniającej zadumie pogrążeni, a lud ubogi stał nieruchomy jak mur, i jak grób milczał. Tu i owdzie widać było ludzi, kręto a szybko prześlizgujących się śród tłumu i usiłujących w nim zniknąć. O czém dumali ci, dlaczego milczeli tamci, a umykali i kryli się inni, — któż odgadnie? a raczej któż przeliczy wszystkie wewnętrzne drgania i chwiania się tłumu, — żywiołu tego, do którego zastosować można w zmienionej nieco formie, słowa poety: „Falo, niewierna falo, a jednak tak wierna!“

Zrozumiał nakoniec mełamed, że wołania jego próżnemi były. Umilkł, lecz w zdumieniu najwyż-

szém oczy roztwierał, bo dla czego nie słuchano go? — zrozumieć nie mógł. Ale przez zmaconą myśl Todrosa przemknął promień światłości, a w nim ujrzał on przelotny obraz strasznej dla siebie prawdy. Szepnęło mu coś do ucha, że w młodych piersiach tych, które z zuchwałością dłoń niepojętą stanęły przeciw niemu, przebudziły się i krzyknęły wszystkie uśpione żądze i opory, których człowiek, przez niego wyklety, przedstawicielem był i ofiarą! Więc nie on jeden takim był w Izraelu, ale istniało wielu, wielu podobnych mu, a tylko tamten śmielszym był od tych, do walki pochopniejszym, bardziej porywczym i dumnym! I słyszał on jeszcze głos jakiś, szepeący mu do ucha, że nad młodemi głowami temi, których zuchwalstwo wprawiało go w odrętwienie — przeleciały i otarły się skrzydła anioła wieku — wieku — który, jak mu z dala, z dala bardzo i mglisto wiadomém było — buntem i burzą tchnął, a obalał wszystko, cokolwiek stawać usiłowało pomiędzy ludźmi a Najwyższą Prawdą! I słyszał on jeszcze szepł jakiś, mówiący mu do ucha: że lud milczał i nie ujmował się za nim, i nie druzgotał tych, którzy przeciw niemu powstałi, bo anioł wieku razem z burzą i z walką roznosił nad światem litość i przebaczenie, a klątwy i nienawiść zmiatał skrzydłem swém ognistém i zarazem miękkim...

Wszystko to niewyraźnie, chaotycznie, mglisto, mglisto bardzo, słyszał i widział Todros, ale dosyć

było tego, aby serce, pełne kamiennój wiary i niezmiennej pychy, zdrętwiało mu w piersi.

„*Bat-Kol!*“ — pomyślał.

Szepty własnej myśli, splątanej i przerażonej, wziął za szepeący mu do ucha głos nadprzyrodzony, głos tajemniczy i od samego Boga przysłany, który niegdyś, w uroczystych i krytycznych momentach życia, słyszeć się dawał starożytnym kapłanom i prawodawcom Izraela.

„*Bat-Kol!*“ — powtórzył drżącemi wargami, i zbłądłą twarz powolnym ruchem zwracać począł na wszystkie strony.

Sala synagogi była już na-pół pustą. Lud odpływał, odpływał zwolna, a milczał wciąż, tak, jakby ogarnęła go bezdenna i nieprzewyciężona zaduma, jakby milczeniem swoim dawał znak smutku ogromnego i wahania się ducha, który na żadną stronę przechylić się nie chciał, lub nie mógł...

Odeszli ubodzy i bogaci, wierni dotąd wielbiciele rabina, i ci, którzy zawsze z dala się od niego trzymali; galerya tętniła od chwili do chwili pod szybkim stąpaniem spóźnionej niewiasty, i u ołtarza nie było już nikogo...

* * *

Jak niegdyś Józef Akiba, w jasną noc miesięczną, wracając z długiej podróży, ze drżeniem szedł ku niz-

kięj chacie swęj pasterskięj, tak teraz ku rodzinnemu domowi swemu drżący i blady przybliżał się Meir.

Szedł on do rodzinnego domu swego, ale bez myśli zawitania do niego. Wiedział, że trzeba mu iść ztąd, iść, i po świecie, wśród tułaczki, odrzucenia i nędzy, ścigać cel ten, do którego tęsknił oddawna, ale który tak dalekim, tak dalekim był i do osiągnięcia trudnym.

Chciał spojrzeniem tylko pożegnać się ze ścianami domu, który był kolebką jego młodości... przestępować progu nie myślał.

Ale wśród rzędu okien ciemnych i cichych zobaczył jedno, w którym połyskiwały migotliwe światełka. Stanął i patrzył chwilę. Za szybami rysowała się wyraźnie ciężka i nieruchoma postać prababki Frejdy, śpiącej w głębokim fotelu. Spływała na nią szeroka smuga księżycowego światła i tysiące iskieł rozpalala w okrywających ją klejnotach.

Meir wstąpił zwolna na wysoki ganek i położył dłoń na klamce drzwi. Wbrew zwyczajowi wszelkiemu drzwi były otwarte. Przeszedł wązki, długi kurytarz i stanął w rozwartych też na oścież drzwiach bawialnej izby.

Dom cały zalegała cisza grobowa. Czy spano tam tak głęboko? Było to niepodobnem. Ale najlżejszy szelest nie powinien był przeszkodzić ostatniemu pożegnaniu prawnuka z prababką, ani odegnąć go od jej kolan. Meir ukląkł przed tą uśpioną i uśmiecha-

jącą się przez sen postacią niewieścią i na kolanach jej złożył swoją głowę. Po raz ostatni spoczywał pod dachem tym.

— *Bobel!* — rzekł zcicha; — *Elte bobe!*

Frejda spała cicho, jak dziecko. Na pomarszczonem czole jej, niby ulotne sny dziecięcia, igrały srebrne ogniki księżycyca.

— Już ja ciebie nie zobaczę nigdy... nigdy...

Przycisnął do ust drobne, suche jej ręce, które tyle razy kołysały go i pieściły, a potem od wszelkich ciosów osłaniały i skarb ten mu oddały, który był zbawieniem i zgubą, życiem i śmiercią jego. Poruszyła się lekko głowa Frejdy, dyamentowe kolce jej zadzwoniły o perły i rozniecili w księżycowém świetle ognisko iskieł.

— *Klejniskind!* — szepnęła, nie otwierając oczu, uśmiechnęła się i znowu zasnęła.

Meir utonął w myślach. Z czołem opartém o kolana prababki zegnał duchem wszystkich i wszystko... Powstał nakoniec i powoli bardzo opuścił bawialną izbę... W kurytarzu ciemnym uczuł, że ktoś objął go nagle silnemi ramionami, a zarazem, że ręka czyjaś wkładała mu za odzież ciężki jakiś przedmiot.

— To ja, Meir! ja, Ber. Dziad twój szukał w familii swojej człowieka odważnego, który-by tobie garść pieniędzy na drogę dał, i znalazł mnie. Wszyscy w domu żałują ciebie... Kobiety płaczą, w łózkach swoich leżąc..... Stryjowie gniewają się na rabina

i kahalnych... Dziad mało nie umiera z żalości... ale ciebie widzieć nikt już nie chce... U nas tak!... Rozum ciągnie w jedną stronę, a stara wiara w drugą... A przytém strach! Ale ty, Meir, nie martw się bardzo! Ty szczęśliwy! ja tobie zazdroszczę! Ty nie zląkłeś się tego, czego ja zląkłem się, i wyjdiesz na światłość! Dziś przyjaciele twoi ujęli się za tobą, a lud milczał i za rabina nie ujął się! To początek, ale koniec jeszcze daleko! Żebyś ty jutro pokazał się tutejszym ludziom, oni-by znowu złości przeciw tobie do serc swych nabrali! Idź ty! idź w świat! Młodość masz, wielką śmiałość masz! życie przed tobą! Kiedyś ty może powrócisz do nas i koniec położysz ciemnocie i grzechom naszym! U nas-to wiele brylantów jest, tylko je trzeba wysiać z plewy! Ty to kiedyś zrobisz, gdy tam, na świecie, uczonym i silnym staniesz się! Teraz idź na wielką wojnę ze wszystkimi przeszkodami, których mnóstwo stanie przed tobą! Walcz ty z niemi! Bądź *Baale Tressim*, uzbrojonym, jak byli dawni, wielcy mężowie nasi, i niech w każdym dniu twoim będą z tobą błogosławieństwa moje i wszystkich ludzi, którzy tak, jak ja, chcieli, a nie mogli, pragnęli, a nie otrzymali, szli, a nie doszli!...

Ucisnęli się. Ber zniknął za drzwiami jakiemiś, zcicha otwartemi i zamkniętymi. Zresztą nic w domu się nie poruszyło! Grobowo milczące ściany rodzin-

nego domu wołać zdawały się ku wyklętemu: wychodź! wychodź!

Wyszedł, Na świecie dniało. Place i uliczki miasteczka spały, owinięte szarą mgłą jesiennego prawie poranku. Mgły téż spuszczały się na puste grunty, po których szedł Meir, śpiesznym już i pewnym krokiem.

Pilno mu było iść ztąd, iść, iść, — a chciał pożegnać się z tą, która przyrzekła mu być wierną Rachelą, i odebrać od niej swój skarb.

Drzwi i okno karaimskiej chaty stały otworem.

— Gołdo! — zawołał z cicha, — Gołdo!

Nikt i nic nie odpowiedziało.

Powtórzył wołanie. We wnętrzu chaty panowała cisza nieskazitelna. Zbliżył się, spojrział ku miejscu, na którym zwykle siadywał stary Abel. Nie było tam nikogo.

Wówczas zjęła go trwoga jakaś, z której przyczyny nie zdawał sobie sprawy.

Spojrzał dokoła, po wzgórzu, po pustych gruntach, daleko, i pełnym głosem już zawołał:

— Gołda!

Szelest dość głośny dał się słyszeć w pobliżu. Pochodził on z wielkiego, głogowego krzaku, który rósł o kilka kroków od chaty, a z którego, z pośród zwikłanych gałęzi, podniósł się teraz, wilgotną mgłą zroszony cały, z mrużącą się od snu powieką, mały Lejbele.

Meir żywo przybliżył się ku niemu. Dziecię wydobyło się do reszty z uplotów głogu, i wnet za surducik ręką sięgnęło.

— Gdzie Gołda? — zapytał Meir.

Lejbele nie odpowiedział, tylko podał mu, wydobyty z za odzieży, żółty zwój papierów.

Meir pochylił się ku dziecku.

— Kto ci to dał? — zapytał śpiesznie.

— Ona! — wskazując chatę, odparł Lejbele.

— A kiedy ona ci to dała? Dlaczego ona ci to oddała?

Dziecko odpowiedziało:

— Kiedy ludzie szli, ona z chaty wybiegła... obudziła mnie... za surducik mi to wsunęła, i powiedziała: oddaj to Meirowi, jak on tu przyjdzie...

Meir drżać zaczął.

— A potem? — pytał, — potem?

— Potem, *morejne*, ona mnie w ten krzak schowała, a sama do chaty swojej pobiegła...

— A wielu było ludzi tych?

— Dwóch, *morejne*... trzech!.. dziesięciu... nie wiem!...

— A co ci ludzie zrobili? co oni zrobili?

— Ludzie przyszli, *morejne*, i krzyczeli na nią, żeby ona pisanie jakieś dała... długo krzyczeli... a ona krzyczała, że nie da! nie da! nie da!... a koza w sieni tak biegała... biegała i beczała...

Meir coraz mocniej drżał, ale dłoń łagodnie opierał na głowie dziecka i pytał ciągle:

— A potem co było? co było?

— *Morejne!* ona potem prząsnęła swoje do rąk wzięła i przed *zejdem* swoim stanęła... ja z krzaku widziałem... Ona była taka biała, i prząsnica była biała, a ludzie byli czarni... i pomiędzy niemi koza biała biegała i coraz głośniej krzyczała...

— A potem... a potem...

Łzy nabiegły do oczu dziecka.

— Potem, *morejne*, już ja nie patrzałem i schowałem się w krzak, i bardzo trząśłem się od strachu, bo w chacie był taki szum... taki szum i takie jęczenie... Potem ludzie poszli... i ją ponieśli... i dziada jęj ponieśli, a koza pobiegła za górę, becząc, i nie wiem gdzie się podziała...

Meir wyprostował się i spojrzał w niebo zmartwiałem prawie okiem. Wiedział już wszystko.

— Gdzie ich ponieśli? — zapytał jeszcze głuchym głosem.

— Tam!

Wyciągnięte ramię dziecka wskazywało stronę, w której z oddali widać było łączkę zieloną — i liliową wśród niej sadzawkę... a za sadzawką były błota, moczary, giętkie, ruchome grunta, w których tak łatwo pograżyć się i utonąć może martwe, sztywne ciało.

Tam, za tą sadzawką, z której wiosną wydobywała ona wodną lilią, podając mu ją z pośród gęstwi-

ny trzcina... Tam, za tą łączką, wśród której po raz pierwszy wyznała mu swą miłość świeżą, a płomienną, jak kwiat dziko wzrosły na bogatym gruncie... tam... w głębiach gaju tego, w którego gąszczach chórem wnet zaśpiewają ptaki, swobodne, szczęśliwe w gniazdach swych, miłości pełnych... tam... kiedyś... ukryta przed wszelkiem okiem ludzkim, leżała ona u nóg dziada swego, owinięta całą płaszcem swych czarnych włosów.

Przed chatą rozległ się trzykrotnie głos, wołający Jehowę, a potem u otwartych drzwi stał już tylko Lejbele, i w podniesionej nieco ręce trzymał nieruchomo zwój papierów.

Meir wbiegł do wnętrza chaty.

Co mu tam opowiedziały żdźbła słomy, wyrzucone z nędznego posłania Abła i uścielające podłogę, i rozsypane, wśród słomy téj, a czerwieniejące, niby krwi krople, korale Gołdy? co opowiadała mu, leżąca na ziemi i na dwoje złamana, prząsnica dziewczyny, i stara, bardzo stara, Biblia starca, na szmaty podarta?... Była to długa, bolesna, krwawa opowieść, którą młodzieniec słuchał, z czołem przyciśniętym do zimnej, dziurawej ściany, i z rękoma, załamanymi nad głową, — była to opowieść tak długa, że godziny płynęły, a on słuchał jęj jeszcze i wtórował słowom jęj rozpaczliwymi tętnami serca i głuchemi jękami, które od chwili do chwili wyrывały się z zaciśniętych i zsiniałych ust jęgo.

Kiedy stanął znowu w otwartych drzwiach chaty, słońce ozlacało już część widnokregu. Jakże zmienionym ukazał się on przy świetle dnia! Czoło jęgo, przerżnięte czerwoną kresą, zmięte było i sfałdowane tak, jak gdyby przez noc tę i ten poranek przesunęły się po niem i zorały je długie, ciężkie, cierniste lata. Ponuro i rozpacznie gorzały mu oczy z pod w pół spuszczonej powiek, a ramiona zwisły bezwładnie, jakby w zniechęceniu, czy obezsileniu śmiertelném... Tak stał chwilę, i znać było, że wyobraźnią i pamięcią słuchał dźwięków głosu tego, który nigdy już do niego przemówić nie miał, aż uczuł, że słaba ręka jakaś ciągnęła go za odzież, i usłyszał cichy głos, mówiący:

— *Morejne!*

Lejbele stał przed nim, oczy swe, ogromne, czarne, smutne, ku twarzy jęgo podnosił, i wyciągał do niego rękę, trzymającą żółty zwój papierów.

Zdawać się mogło, że widok podawanego mu przedmiotu przypomniiał Meirowi coś ważnego, obudził go ze snu, przywołał do czegoś, co dla niego świętém i konieczném było. Powiódł po czołe obu dłońmi, a potem wziął z ręki dziecka przedśmiertne pisanie Seniora, i gdy uczuł je w dłoni swęj, podniósł głowę, a oko błysnęło mu znowu odwagą i wolą.

Patrzył na miasteczko, budzące się ze snu, i długo coś mówił cicho, myślą bardziej, niż słowami. Mówił coś o domu Izraela, o staręj wielkości jęgo i o wiel-

kich jego grzechach, o tém, że nie opuści go nigdy i przekleństwa za przekleństwo nie odda; że poniesie do cudzych narodów przymierze zgody; że ze zdroju mądrości pić będzie, i że wróci tu kiedyś...

— Kiedyś... kiedyś... — powtarzał długo, myśląc o dalekiej, dalekiej zapewne przyszłości, a wzrokiem ogarniał ściany niskiej chaty, jakby żegnał w duchu, na zawsze, przelotny, gorący i czysty, a tak straszliwie przerwany, sen swój o miłości.

Potém zaczął powoli wstępować na wzgórze.

Dziecię, pozostałe u drzwi chaty, stało chwilę nieruchome, patrząc za odchodzącym. Po chwili oczy dziecka, szeroko roztwarte, zachodzić poczęły łzami, a gdy Meir znalazł się u połowy wzgórza, załkało głośno, ale raz tylko, i potém iść także zaczęło. Szło z razu śpiesznie, a znalazłszy się o kilkanaście kroków od odchodzącego, zwolniło kroku i, z rękoma wsuniętymi w rękawy odzieży, postępowało dalej zwolna i poważnie.

Tak jedno za drugim idąc, wyklęty młodzieniec i dziecko nędzarza, zniknęli za wzgórzem, kędy rozślał się przed nimi szlak drogi piaszczystej, wiodącej w świat szeroki i nieznany.

* * *

Czy znieważony, wyklęty i ze wszystkiego odarty człowiek ten, doścignął celu, którego tak namiętnie

pożądał? Czy na szerokim, nieznanym świecie znalazł on ludzi takich, którzy-by przed nim drzwi i serca swoje otworzyli na oścież, a drogę mu utorowali ku zdrojowi mądrości?

Czy wrócił, lub wróci kiedykolwiek do rodzinnego miejsca swego, aby przynieść tam, wraz z przebaczeniem swém, światło to, mocą którego „cedr Libanu“ powstanie tam, gdzie ścięto się „nizka tarnina?“ Nie wiem.

Zbyt niedawna to historia, aby koniec swój mieć już mogła. Lecz dlatego właśnie, że historia ta i liczne, liczne historie podobne, dalekiemi są do końca swego, — czytelniku! — jakiegokolwiek plemienia krew płynie w żyłach twoich i na jakimkolwiek miejscu tej ziemi cześć oddajesz Bogu, — jeżeli kiedyś wśród drogi swój spotkasz Meira Ezofowicza, podaj mu szczerze, prędko, braterską dłoń przyjaźni i pomocy!

The end
KONIEC.





El. Coresense

884-3

Orzeszkowa Meir

